



# **CZARNA PSYCHOZA**

**Konrad T.  
Lewandowski**

 **PRÓSZYŃSKI  
MEDIA**

Konrad T. Lewandowski

**CZARNA  PSYCHOZA**

*Konrad Lewandowski*

 PRÓSZYŃSKI  
MEDIA

Zwiastuny.....	3
Nerwica natręctw .....	9
De profundis.....	16
Linie świata .....	23
Opcja Jeremiasza.....	29
Srebrna klatka .....	37
Omega .....	46
Przysmażyć krzem.....	54
Metastaza .....	62
Pośrednik.....	72
Fatum.....	79
Wiry ciemności.....	85
Osaczeni.....	93
Czama psychoza.....	99
Zzagwienie.....	106

## 1. ZWIASTUNY

Klomb na środku ogrodu kipiał pięknymi, biało-żółtymi kwiatami o długich, lejkowatych kielichach. Laik mógłby pomyśleć, że to lilie. Helena Mirska na ich widok z wysiłkiem przełknęła ślinę. Lilie śmierci, jeśli już. Poznała bielun na pierwszy rzut oka. Bujna, soczyście zielona roślina, od korzeni do kwiatów przesycona koktajlem morderczych alkaloidów, przede wszystkim skopolaminą, serum prawdy... Gdyby była przesadna, mogłaby to uznać za ostrzeżenie. Odepchnęła tę myśl i spojrzała pytająco na swego przewodnika.

- Czy to bezpieczne? - Wskazała na klomb.

- Tradycja - rzucił od niechcenia mężczyzna w rozpiętym białym kitlu. W bramie przedstawił się jako magister Sewczyk, farmaceuta. Chudy, czterdziestolatek, zdecydowanie przeterminowany jako mężczyzna i naukowiec. Na Helenie najbardziej odpychające wrażenie zrobiły jego dłonie. Nie wiedziała dlaczego. Nie były ani zaniedbane, ani obleśnie wypielęgnowane, ot, zwykłe dłonie faceta w średnim wieku, któremu nie obca musiała być praca fizyczna. A mimo to na myśl, że miałyby mu podać rękę, poczuła wstręt. On też nie zainicjował tego gestu. Poprzestali na wymianie ukłonów.

- Do tej części ogrodu ma dostęp tylko personel kliniki - wyjaśnił Sewczyk. - Nie wpuszczamy tu pacjentów ani ich odwiedzających. Tam, w cieniu pod murem znajdzie pani wilczą jagodę oraz kilka innych ciekawych roślin. Mamy tu też naprawdę znakomite mykofitarium z trzema strefami klimatycznymi, środkowoeuropejską, tropikalną i półpustynną, ale o zgodę na zwiedzenie musi

pani prosić ordynatora.

- Ale jednak to kuszenie licha... - stwierdziła Mirska.

- Nad wszystkim czuwa ogrodnik - odparł obojętnie Sewczyk. - Jest mur, a w gałęziach drzew ukryto kilka kamer, które na bieżąco monitorują stanowiska niebezpiecznych roślin. Zresztą mamy formalną zgodę.

- Używacie tych roślin w terapii? - zdumiała się Helena. - Zamiast leków?

- Częściowo. - Sewczyk skinął głową. - Realizujemy oryginalny program leczenia nerwicy natręctw. Jak może pani wie, ta przypadłość rozwija się na podłożu myślenia magicznego. Zabiegi szamańskie dają więc pomyślne rezultaty, o szczegóły proszę pytać ordynatora. Chodzi o to, że terapeuta, który odgrywa rolę szamana, nie powinien podawać pacjentom współczesnych, kolorowych tabletek, bo byłoby to złamanie konwencji, podważające wiarygodność i skuteczność terapii. Dlatego w takich przypadkach przygotowujemy czasem leki według tradycyjnych recept etnicznych, na oczach pacjentów.

Helena uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Robicie tu sabaty czarownic...? - Sama nie wiedziała, czy żartuje.

- Proszę pytać ordynatora - uciał Sewczyk, po czym zrobił coś, jak na zblazowanego naukowego wyrobnika, zupełnie zaskakującego. Podszedł do bieluniowego klombu i z czułością pogładził jeden z kwiatów. - Jak pani sądzi, po co roślinom alkaloidy? - zapytał nagle.

- No, wie pan... - zmrużyła oczy - żeby zabezpieczyć się przed zjadaniem przez zwierzęta...

- Do tego wystarczyłyby intensywnie gorzki lub ostry smak. Tymczasem alkaloidy mają wiele wspólnego z neuroprzekaznikami wyższych kręgowców, dlaczego? Po co roślinom neuroprzekazniki, skoro nie mają centralnego układu nerwowego, neuronów ani synaps?

- To jedno z przystosowań - odparta Mirska, odzyskując pewność siebie. - W ten sposób mogły skuteczniej dokuczyć zjadającym je zwierzętom, więc ewolucja premiowała takie mutacje.

- A może jest inne wytłumaczenie... Je pani marchewkę?

- Oczywiście. Jestem semiwegetarianką.

- A nie sądzi pani, że marchewki mogą być istotami wyższymi od zwierząt?

- Niby jak?

- Osiągnęły oświecenie i doskonałość. Nie muszą już nigdzie za niczym gonić, tylko tkwią w swojej grządce, kontemplując harmonię kosmosu. Po prostu buddyjski ideał, a pani je brutalnie wyrывa i pożera...

- Pan żartuje! - zawołała. Postanowiła, że nie da zrobić z siebie idiotki.

- To kwestia głębi współczucia... Moim zdaniem rośliny czują o wiele więcej i pełniej niż my. Spożywając ich alkaloidy, możemy w części doświadczyć tego, co przeżywają. Wszelka doskonałość pochodzi z ziemi...

*Rany boskie, wariat!*, pomyślała Mirska, w popłochu wypatrując jakichś ludzi. Nikogo wokół nie było.

- Pozory mogą mylić - rzucił od niechcienia Sewczyk. - Jednakże nie każmy czekać ordynatorowi.

- Więc chodźmy! - Odetchnęła z ulgą.

-Tędy. - Pokazał kierunek.

Główny gmach Państwowej Kliniki Psychiatrii i Neurologii im. Andrzeja z Kobylina ufundowano w latach 80. XIX wieku, pierwotnie jako Dom Miłosierdzia Obląkanym. Przez z górą sto lat, pomimo licznych zmian praw własności, ani razu nie zmieniło się przeznaczenie i wykorzystanie gmachu. Ta czcigodna tradycja wręcz wsiąkała w grube i chłodne mury, w których wciąż zdawały się trwać historyczne śmiechy i zawrodożenia. *Genius loci* był tu wręcz namacalny i niewątpliwie szalony... Helena skarciła się w duchu za uleganie irracjonalnym nastrojom.

Minęli ruchliwą, lśniąca szkłem i aluminium izbę przyjęć w nowym, zachodnim skrzydle budynku i weszli sennym, reprezentacyjnym wejściem, używanym najwyraźniej tylko od wielkiego dzwonu. Portier, choć patrzył wprost na nich, nie zareagował w żaden sposób. Wydawał się równie żywy, jak przykurzone, spiżowe popiersie dostojnego patrona w renesansowym bircie, ustawione naprzeciw drzwi. Helena powstrzymała sztubacką chęć, by pomachać portierowi dłonią przed oczami. Pamiętała, że pracuje na pierwsze wrażenie, które powinno być jak najlepsze. Może portier to byty pacjent z trwałym stanem ubytkowym? Wtedy drażnienie go zostałoby przyjęte jak najgorzej. Chociaż z drugiej strony, czy jako studentka powinna pozwolić sobie na odrobinę nonszalancji? Byłaby chyba bardziej

wiarygodna... Pomachała więc przed nosem posągu, a do portiera się uśmiechnęła. Bez skutku. Sewczyk chyba nic nie zauważył.

Jestem zbyt spięta, pomyślała, wchodząc za nim na pierwsze piętro. Tak czy owak będą traktować cię jak pacjentkę, więc weź na luz dziewczyno! Oni już tak mają...

Na górze nie było już sennie, lecz stylowo, wręcz monarszo dostojnie. Na korytarzu siedziało kilka osób, wyglądali normalnie, pewnie rodzina któregoś z pacjentów czekała na spotkanie z lekarzem. Mirska i Sewczyk wymienili z nimi zdawkowe ukłony i podeszli do najbardziej monumentalnych drzwi na końcu korytarza.

*Prof dr hab. lek. med.*  
ALBERT TYCKI  
*Ordynator*

Mosiężna tabliczka na drzwiach była wielkości dwóch dłoni. Sam jej widok sprawił, że Helenie serce podeszło do gardła. Bądź co bądź przysła tu na rozmowę o pracy...

Sewczyk zapukał i weszli do sekretariatu. Tym udziałnym księstwem władala kobieta w wieku balzakowskim, typ złego policjanta, niewątpliwa mistrzyni swego fachu. Właśnie kończyła rozmowę telefoniczną i, sądząc z jej głosu, nie można było mieć najmniejszych wątpliwości, że jest głęboko i skrycie zakochana w swoim rozmówcy.

- Słucham państwa? - Równie dobrze mogła powiedzieć: „Czego tu?!“.

Zmiana tonu była tak szybka i autentyczna, że Helenę przeszły ciarki. Ta kobieta idealnie kontrolowała swój przekaz niewerbalny! Nawet Sewczyk stracił swą flegmę i decymetr wzrostu.

- My do pana profesora - zająknął się. - Byliśmy umówieni...

Przerwała mu, skinieniem głowy dając do zrozumienia, że nie musi jej przypominać.

- Pan magister wejdzie pierwszy, profesor ma dyspozycje - oznajmiła, wstając zza biurka. - Pani chwilę zaczeka, proszę się. - Wprowadziła do gabinetu Sewczyka, cofnęła się i zaczęła przekładać papiery na biurku.

Helena zauważyła, że sekretarka wyjęła jej podanie i list motywacyjny. Przelknęła ślinę. Tylko pokazuje mi, kto tu rządzi, będzie dobrze, uspokajała się w duchu.

- Kawy, herbaty?

*Raczej prozak...* - Mirska ugryzła się w język.

- Nie dziękuję, nie wiem, czy zdążę wypić, zanim profesor mnie wezwie - powiedziała głośno. - Nie chciałabym wchodzić z filiżanką ani fatygować pani po raz drugi, gdyby pan profesor ze swej strony zaproponował mi poczęstunek...

- Bardzo słusznie - stwierdziła sekretarka tonem: *nie bądź za cwana, moja mała, bo nie takie już przychodziły się tu podlizywać.*

Helena powstrzymała chęć, by skomentować to niewerbalne brzuchomówstwo. W końcu starała się tylko o staż, czyli stanowisko najniższe w hierarchii dziobania. Zresztą trzeba być zdecydowanym samobójcą, żeby podpadać sekretarkom.

Otworzyły się drzwi i z gabinetu, łopocząc rozwianym fartuchem, wypadł Sewczyk. Nawet się nie pożegnał. I dobrze... Helena pomyślała o jego dłoniach i odetchnęła z ulgą.

Sekretarka znów wstała zza biurka i precyzyjnie powtórzyła cały, trwający równo dziesięć sekund, rytuał wejścia do gabinetu Szefa.

- Pani Mirska - zaanonsowała.

- Dzień dobry, panie profesorze! - Dygnęła jak pensjonarka. - Jestem Helena Mirska...

Na trzy metry pachniał Old Spice'em i dobrym tytoniem. Tęgawy pięćdziesięciolatek w nienagannym, szarym garniturze w dyskretne prążki. Ciemny blondyn. Krótkie włosy i broda, bez wąsów, podkreślały męską, lecz emanującą głębokim, ludzkim ciepłem twarz. Oczy niebieskie, szeroko otwarte, patrzące wprost. Roztaczał harmonijną aurę autorytetu i współczucia. Wizerunek był doskonały, idealnie naturalny, bez najmniejszej przesady ani sztuczności. Uśmiechał się oczywiście Uśmiechem Starego Mądrego Profesora, tak że Helena od razu poczuła się jego zaginioną córką i zapragnęła ze wszystkiego zwierzyć...

- Albert Tycki, bardzo mi miło - powiedział serdecznie. - Naprawdę cieszę się, że mogę uczynić zadość pani prośbie. Chciałbym jednak panią bliżej poznać, usiądzie pani?

-Tak, oczywiście, panie profesorze.

- Ale może nie tutaj - powstrzymał ją, unosząc dłoń. - Ten drugi fotel, bliżej okna. Jeśli pani pozwoli, chciałbym nacieszyć wzrok pani urodą...

W odpowiedzi można się było obruszyć lub pięknie uśmiechnąć. Helena wybrała to drugie. Siadła na wskazanym fotelu, a skoro została zachęcona do kobiecego zachowania, założyła nogę na nogę. Brzeg spódnicy podjechał powyżej kolan.

- Tak, więc to by było na tyle, jeśli chodzi o polityczną poprawność... - Tycki uśmiechnął się szerzej. - Co nie znaczy, że nie będę oczekiwać od pani poważnego zaangażowania w obowiązki. Nawet funkcja stażystki jest ważna.

Natychmiast zrezygnowała ze swobodnej pozycji.

- Tak, panie profesorze.

- No dobrze, nie czarujmy się! - Machnął ręką. - Widzę, że odrobiła pani lekcje z tematu mowy ciała... Ma pani u mnie dwa plusy za otwartość i pilność.

Usiadł za biurkiem i spojrzął na zostawione przez sekretarkę papiery Heleny. - Przyznaję, że prośba jest nietypowa, powiedziałbym, heretycka... Chce pani podważać wiekowe tradycje psychoanalizy?

- Na psychologię dostałam się poniekąd przypadkiem, panie profesorze.

- Tak, widzę. - Spojrzął na jej CV - przeniosła się pani z dziennikarstwa...

- Z powodu namolnego chłopaka - dopowiedziała. - Jednak zawsze byłam sceptyczna wobec teorii psychoanalitycznych.

- Bierze mnie pani pod włos? - Uśmiechnął się i jednocześnie uniósł brwi. - Opowieści o świętej wojnie psychiatrów z psychologami są zdecydowanie przesadzone.

- Wiem, panie profesorze, pisałam pracę licencjacką z miejskich legend.

- A szkoda - zerknął filuternie - bo widzi pani, ja też jestem psycholog nieskończony...

Wiedziała o tym, ale nie odpowiedziała. To on był tutaj od studiowania jej życiorysu, nie odwrotnie. Zaczynała już łapać konwencję subtelnego egzaminu, któremu właśnie ją poddawano.

- *Realność przesądu. Kryzys autorytetu psychoterapeuty w świetle opinii pacjentów* - odczytał Tycki na głos tytuł jej pracy magisterskiej. - Temat modny i szalenie ryzykowny - stwierdził. - Wstąpiła pani na kruchy lód... Potrzeba tu równie wiele dyplomacji, co naukowej rzetelności. Jakie zatem materiały do pracy magisterskiej spodziewa się pani zebrać w mojej klinice?

- To tylko robocza hipoteza, panie profesorze.

- Słucham.

- Chciałabym potwierdzić lub zaprzeczyć tezie, że w związku z ostatnimi skandalami nastąpiło przesunięcie równowagi pomiędzy przypadkami psychologicznymi a psychiatrycznymi.

- Cóż, nie będę pani niczego sugerował. Proszę się rozejrzeć. Jednak ze swej strony mógłbym zaproponować pani ciekawsze tematy. Mamy tu kilka interesujących projektów...

- Słyszałam, panie profesorze.

- Plotki czy fakty? - zapytał czujnie. - Proponuję, abyśmy od razu wyjaśnili sobie wszelkie nieдомówienia.

- Słyszałam o oddziale dla opętanych... - zaczęła nieśmiało.

Tycki wybuchnął jowialnym śmiechem.

- Zapewniam panią, że to nie nasz resort - powiedział w końcu, ocierając kąciaki oczu. - Z pewnością w Narodowym Funduszu ani Komisji Europejskiej też nic o tym nie wiedzą i chyba lepiej dla nas... Znaczący, owszem, wiem o egzorcyzmach przeprowadzanych na terenie naszej placówki w pierwszych dekadach jej istnienia i potem, sporadycznie w okresie II Rzeczypospolitej, ale to było jeszcze przed narodzinami moimi i pani rodziców. Jeśli chce się pani czegoś bliższego o tym dowiedzieć, proszę porozmawiać z naszym kapelanem, ale uprzedzam, że ksiądz Michał to model przedsoborowy i bardzo lubi zaślaniać się tajemnicą spowiedzi. Według mnie, nieco przesadza. To oczywiście zdanie laika - zastrzegł się szybko - jednak za mojej kadencji nasz dobrodziej zachował dla siebie kilka informacji istotnych dla terapii, więc stosunki pomiędzy nami są teraz, powiedziałbym, bardzo oficjalne... W każdym razie, jako specjalistka od miejskich legend, powinna pani łatwo domyślić się, jak zamierzchła historia naszej kliniki ukształtowała plotkę o oddziale dla opętanych.

- To oczywiście, panie profesorze.

- Może więc wspomnę o sprawach poważniejszych. Jesteśmy szczególnie dumni z naszych osiągnięć w dziedzinie neuroinformatyki i eksperymentalnej chemochirurgii.



-Czytałam ostatnie publikacje fachowe o modelowaniu hipokampu, są naprawdę interesujące.

- Według ostatnich prognoz, w 2022 roku czeka nas istna eksplozja chorób psychicznych! - oznajmił z ogniem w oczach. Najwyraźniej nie zamierzał polegać na wiedzy Heleny i koniecznie sam musiał jej to powiedzieć. - Żeby sobie poradzić z tym wyzwaniem, musimy psychiatrię skomputeryzować i znaleźć algorytm ludzkiej psychiki. Wirtualny hipokamp to dopiero pierwszy stopień. Potrzebujemy informatycznego modelu ludzkiej osobowości, który pozwoli zautomatyzować procesy diagnozy i terapii. Neuroinformatyka to największe wyzwanie XXI wieku! Musimy mu sprostać i jak sądzę, właśnie my tutaj jesteśmy na najlepszej drodze... - wymownie zawiesił głos.

- Prawdę mówiąc, trochę się tego obawiam - stwierdziła Helena. - Jak najbardziej doceniam cel i metodę, ale sprowadzenie człowieka do roli komputerowego programu to... Cóż, ludzie mogą się tego przestraszyć.

- Tak jak parowozów, elektryczności, energii atomowej, genetyki i tak dalej - odparł lekceważąco Tycki. - Wie pani, że nawet jedzenie widelcem potępiano swego czasu jako bluźnierstwo, polegające na sięganiu po dary boże narzędziem szatana? I zawsze każda nowość staje się w końcu moralnie obojętną oczywistością. Najpierw darcie szat i apokaliptyczne prognozy, potem banał. Tak jest świat urządzony, nie można tego lekceważyć, ale i przejmować się też nie trzeba. Tak naprawdę proces tworzenia jest niewinny, wie pani, kto to powiedział?

- Nie, panie profesorze.

- A szkoda. Fryderyk Nietzsche, polecam. Mam tu wszystkie jego dzieła po polsku i w oryginale. - Zamaszyście wskazał biblioteczkę pod ścianą. - Jeśli pani chce, mogę pani pożyczyć.

- Dziękuję, panie profesorze. Na pewno skorzystam.

- Zatem - Tycki podjął przerwany wątek - skoro da się symulować ludzkie procesy psychiczne w komputerze, należy to zrobić i wyciągnąć z tego korzyść.

- A da się to zrobić? - zagadnęła sceptycznie.

- Proszę zapoznać się z naszymi jeszcze niepublikowanymi wynikami. Moim zdaniem to kwestia czasu. Mamy programistów doprawdy diabelnie utalentowanych.

- Słyszałam, że się tu leczą...

- O nie, nie! - Zamachał rękami. - Broń boże! Miesza pani dwie różne rzeczy! Ludzi z zespołem samotności internetowej w ogóle nie dopuszczamy do komputerów. Oni uczestniczą w zajęciach służących odbudowywaniu więzi społecznych. Nasi programiści to całkiem inna sprawa, ale pani intuicja była trafna, tak, niektórzy są naszymi pacjentami, są to przypadki zbliżone do schizofrenii. Wie pani, z jednej strony geniusz i szaleństwo, z drugiej prawda wewnętrzna, gdyż w końcu nikt nie wczuje się w psychikę chorego lepiej niż on sam. Wreszcie programowanie to po prostu terapia zajęciowa, skuteczna jak każda inna.

- To fascynujące...

Uśmiechnął się triumfalnie.

- A nie mówiłem? Jak się pani tu bliżej rozejrzy, to może daruje sobie pani dotychczasowy temat? Nie mogła się otrząsnąć z wrażenia.

- Schizofreniczna sztuczna inteligencja...?

- A po co nam normalna? - zapytał rzeczowo Tycki. - Po co nam jeszcze jeden mądrała, skoro gdzie kichnąć to ekspert? I kto by na to dał pieniądze, jeżeli naturalne inteligencje robi się znacznie przyjemniej i taniej...? Co najmniej dwadzieścia razy taniej, nasi przyjaciele z Brukseli już to sobie skalkulowali.

Helena poczuła, że się rumieni. Ale nic nie powiedziała.

- Sztuczna osobowość schizofreniczna lub paranoidalna, którą można precyzyjnie dostroić do objawów pacjenta i w rezultacie natychmiast wyłowić dysfunkcyjne obszary mózgu, to o wiele ważniejszy problem – kontynuował profesor Tycki. - Możemy tu mieć diagnostykę sprzężoną od razu z komponowaniem zestawów leków, a to dopiero początek. Najpierw błyskawiczne rozpoznanie i szybkie, skuteczne tłumienie objawów chorobowych, potem implanty korowe, nakładki VR protezujące stany ubytkowe, wreszcie nieśmiertelność w sieci... Na to Bruksela sypie pieniędzmi jak z rękawa.

- Ale podobno wnioski o grant są strasznie grube i szczegółowe.

- Zależy jak na to patrzeć. Moi asystenci podchodzą do tego tak: piszemy wniosek - księgę grubą na pięćset stron, to istotnie męczące, ale potem za każdą stronę płacą nam co najmniej dziesięć tysięcy euro.

Który pisarz pracuje za takie stawki? Doprawdy warto bardziej proeuropejsko przewartościować myślenie.

- Chyba tak.

- A teraz sprawy praktyczne. Mogę zobaczyć pani telefon komórkowy?

- Proszę, panie profesorze. - Wyjęta z torebki.

- Trzecia generacja... - Pokiwał głową z uznaniem - aparat fotograficzny, nagrywanie, dostęp do Internetu... Piękna rzecz, ale musi to pani zostawić w domu. Nie będziemy wodzić na pokuszenie tajemnicy lekarskiej. Tylko telefon na kartę i laptop, łączony wyłącznie przez serwer kliniki. Rozumiemy się?

- Tak, panie profesorze.

- Jak daleko pani mieszka?

- Dojazd w jedną stronę zajmie mi półtorej godziny, panie profesorze.

- Szkoda tracić trzy godziny dziennie, ale to najmniejszy problem. Zdarzy się i to na pewno nieraz, że będzie musiała pani zostać po godzinach. Czasem mamy tu takie sytuacje, że nie pozostaje mi nic innego, jak wydać komendę: „wszystkie ręce na pokład!”. Na przykład *paranoja inducta*...

- Rozumiem, panie profesorze.

- Tylko że po dziewiętnastej już nic nie jeździ do miasta. PKP znowu zredukowało rozkład jazdy, pomimo naszych protestów.

- Gdzieś się prześpię.

- W naszym pokoju gościnnym - odparł z uśmiechem. - I może pani nim dysponować stale, nie tylko w sytuacjach kryzysowych. Do tego bezpłatna stołówka i pralnia.

- Dziękuję, panie profesorze!

- Oczywiście, na czas sympozjów naukowych będzie pani musiała pokój zwolnić. To jednak kwestia co najmniej sześciu tygodni. W zamian oczekuję pełnego zaangażowania. - Podszedł do biurka.

- Oczywiście, panie profesorze.

- Pani Sabino! - rzucił do słuchawki.

Mirska odliczyła w duchu dziesięć sekund, po których w progu stanęła sekretarka i spojrzała wyczekująco.

- Pani Sabino, proszę wskazać pokój gościnny naszej nowej stażystce. Sekretarka wręcz eksplodowała instynktem macierzyńskim.

- Chodź, moje dziecko!

- Zaczyna pani jutro o dziesiątej - oznajmił Tycki. - Na początek lot nad kukułczym gniazdem, czyli obchód. Proszę się nie spóźnić.

- Tak, panie profesorze.

Gosiek siedział na łóżku i nakładał tipsy na palce nóg.

- I jak poszło? - zapytał, gdy weszła. Helena z ulgą opadła na krzesło.

- Świetnie, chociaż chwilami było trochę dziwnie. Zaczynam od jutra.

- Na pewno dobrze to przemyślałaś? Co będzie, jak zaczną sprawdzać twoją legendę?

- Dogadałam się z sekretarką w dziekanacie, której niańczyłam dzieci, a prodziekan jest na urlopie. Jednym telefonem na pewno mnie nie załatwią.

- A jeśli ta twoja sekretarka akurat gdzieś wyjdzie i zastąpi ją ktoś niewtajemniczony? Albo jak zaczną drążyć głębiej?

- Ryzyk-fizyk...

- Nadal uważam, że powinnaś powiadomić naczelnego. Proszę, nie działaj na własną rękę. - Gosiek nie zgrywał się jak zwykle, był naprawdę zaniepokojony.

- Zawiadomić redakcję to znaczy dać jej wyłączność na temat - stwierdziła z determinacją Helena. - Myślisz, że do końca życia chcę siedzieć w takim żalonym brukowcu? Potrzebuję tematu, z którym mogę się pokazać w „Polityce” albo „Newsweeku”!

- Wiem, ciągle to powtarzasz. - Poprawił lakier na tipsach. - Kariera, ambicje, kariera... Liczyłem, że cię splawią.

- Miło, że się o mnie troszczysz - stwierdziła z przekąsem.

- Pomyliłaś aferę Watergate z programem „Zrób to sam”. Powinnaś poprosić o wsparcie.



- Gosiek, przecież ja jestem nikim! - wybuchła. - Każdy znany dziennikarz śledczy przejmie temat i najwyżej na końcu artykułu drobnym druczkiem podziękuję mi za pomoc. Nie! To moja życiowa szansa! Nie oddam jej nikomu!

Gosiek westchnął ciężko i odstawił lakier na stół.

- Rozejrzałem się, jak prosiłaś. W ogóle nie ma takiej sprawy. Firma znikła.

- Cały biurowiec?!

- Ten stoi, tylko wynajmuje kto inny. Oczywiście, zwykła zmiana siedziby. Administrator dal mi telefon do centrali w Tokio, kumasz po japońsku?

- Zatuszowali... Aż tak? Ale przecież oni tam znają angielski!

- Powiedz to tej cholernej gejszy! Oficjalnie w ogóle nic się nie stało. Nieoficjalnie była to legionella, ale przewody klimatyzacyjne już zdezynfekowano, zainfekowani już czują się dobrze, winnych zaniedbań zwolniono i wdrożono system kontroli jakości, ale nie ma się czym chwalić, bo spadną ceny najmu, itede... Nawet plotka o tych twoich wirusach się nie przemknęła.

- To były psychowirusy. Przecież tam byłam! Przy mnie odmóżdżyło totalnie trzydzieści osób!

- W Internecie też sprawdziłem. Nie ma wirusów przenoszących się przez sieć i atakujących system operacyjny żywego człowieka. Internetowe wirusy atakują tylko komputery. Wszyscy, nawet najbardziej zakręceni hakerzy, są co do tego zgodni. Pomijam strony zbieraczy miejskich legend, ale tam twoje psychowirusy to mały pikuś wobec faktu, że jednocześnie rządzą i manipulują nami kosmici, masoni, służby specjalne, kapłani voodoo i człapiący bluźnierczo Przedwieczni od Lovecrafta, widziani ostatnio na zebraniu akcjonariuszy, no zgadnij, jakiej firmy...

- Wierzysz mi?

- W końcu mieszkamy razem.

- Nie, tylko razem wynajmujemy kawalerkę! - zirytowała się Helena. - Studentka z koleżanką – gejem!

- Co oznacza, że sobie ufamy - stwierdził Gosiek. - Tak, wierzę ci, ale to, jak starannie i skutecznie ukryto całe zdarzenie, po prostu mnie przeraża. A jeszcze bardziej fakt, że bierzesz się za to całkiem sama.

- Myślę, że mieszasz zupełnie różne sprawy - Helena starała się mówić spokojnie i rzeczowo. - To firma zatuszowała wypadek, żeby nie stracić wiarygodności u kontrahentów, a ja nie zamierzam zadzierać ze światowym koncernem. Myślę, że oni tam nawet nie wiedzą, kto ich tak urządził.

- A ten informatyk?

- Twardy był... Zapisał sygnaturę serwera nadawcy na karteczce post-it, zanim padł z pianą na ustach. Dostał ataku epilepsji, a po czymś takim niepamięć wsteczna murowana. Na pewno nie miał czasu sprawdzić, że źródłem ataku był serwer czcigodnej kliniki imienia Andrzeja z Kobylina. Nie sądzę też, aby w całym tym zamieszaniu zapamiętano mało ważną dziennikareczkę, która przyszła zapytać o jakieś duperele i zaraz sobie poszła, zabierając dyskretnie malutki żółty karteluszek... A gdyby nawet, to skąd mieliby wiedzieć, że ja wiem? Że rozpoznałam objawy ataku psychowirusów, bo akurat miałam taki podrozdział w pracy licencjackiej o miejskich legendach, ale promotor kazał mi to wyrzucić z wersji ostatecznej, twierdząc, że nie pasuje, bo istotą miejskiej legendy jest jej wysokie prawdopodobieństwo i wiarygodność. Przypadkowym zbiegiem okoliczności tylko ja trzymam w rękę wszystkie nitki tej sprawy! To jest jak znak od Boga, że to ja powinnam się tym zająć... Zresztą, z tego co dziś się dowiedziałam, to któryś z pacjentów mógł się tak zabawić na własną rękę, więc personel nie musi brać w tym udziału ani stanowić dla mnie zagrożenia. Jak dobrze pójdzie, wszyscy będą mi dziękować, będę sławna i kochana...

- Ja już cię kocham! - oznajmił Gosiek z afektowanym dramatyzmem.

- Jak gejd dziewczynę? - Wydęła usta.

- Kto wie, może jestem gejem-lesbijką... - Pokiwał jej tipsem na dużym palcu. - Niezbadane są głębiny ludzkiej psychiki!

## 2. NERWICA N A T R Ę C T W

Ordynator Tycki od rana patrzył na Helenę z uznaniem.

Ubrała się bez zarzutu. Żeby nie prowokować pacjentów z zaburzeniami seksualnymi założyła spodnie i golf, a bujne blond włosy skromnie ukryta pod białą, płócienną chustką. Żadnej biżuterii,

dyskretny makijaż i doskonale wykrochmalony fartuch, który dodatkowo wyprasowała. Do tego mały, zgrabny, granatowy notesik i krótki ołówek. Po prostu Barbie - prymuska! oceniła w lustrze ostateczny efekt. Czy ktoś mógłby podejrzewać mnie o jakieś nieczne zamiary? Uśmiechnęła się niewinnie...

Ujrawszy ją na odprawie przed obchodem, Tycki natychmiast obsztorcował dwie studentki, stawiając im Helenę na wzór, po czym jedną z delikwentek wygonił, każąc się przebrać i już na nią nie czekał.

Helena wmieszała się w grupę studentów. Było ich w sumie sześcioro i oczywiście po scysji na temat ubioru, nie chcieli z nią gadać. Dyrygowało nimi trzech asystentów Tyckiego, zwanych pospolicie Trojaczkami, którzy jeden przez drugiego starali się wykazać przed szefem kompetencją, głębią humanizmu i sprawnością organizacyjną, a także faktem posiadania własnego zdania, co w sumie dawało efekt z pogranicza groteski i paranoi. Wszyscy trzej razem stanowili przypadek ciekawszy od połowy pacjentów. Powód był prosty - tylko jeden z nich, jak głosiła jedna ze stołóvkowych plotek, które Helena zdołała zebrać przy śniadaniu, miał zostać w klinice na etacie i tylko jednemu z pozostałych, prócz rutynowego świadectwa pracy, Tycki miał dać prywatny list polecający, który naprawdę coś znaczył. Trzeci mógł już co najwyżej założyć prywatną praktykę w byłym PGR i wysłuchiwać delirycznych zwierzeń jaboloholików. Żeby było okrutniej, podstawowym kryterium oceny i selekcji miały być walory moralne. Mówiąc oficjalnie, profesor Tycki był szefem surowym i wymagającym, mającym na uwadze przede wszystkim dobro pacjenta...

Pochód zamykała czwórka starych medycznych wyjadaczy, bez nadziei na awans zawodowy lub karierę akademicką. Ostentacyjnie pozowali na takich, co to już wszystko w życiu widzieli, wszystko rozumieli, więc niech młodzież idzie przodem i się uczy. Tylko doktor Pogodzka, internistka, jedyna kobieta wśród lekarzy, reagowała żywiej, ilekroć jej wzrok padł na Helenę - od razu czuć było ozon i zapowiedź elektrowstrząsów.

Sam Tycki, o dziwo, nie udawał generała. Widać był tak pewny swej władzy, że nie musiał jej w żaden sposób okazywać. Ostentacyjnie poprzestawał na pełnej otwartości na drugiego człowieka, we wzorcowym stylu Kepińskiego, a resztę wizerunku biblijnego pogromcy demonów załatwiali mu sterroryzowani asystenci. Ci, oczywiście, mieli jakieś tam nazwiska i tytuły, ale nikt nie zawracał sobie głowy przyporządkowywaniem ich do poszczególnych osób. Trojaczek to jedna trzecia Trojaczków, jak głosiła stołóvkowa reguła.

*Strach zvariować!* - pomyślała Helena, ogarniając całe to panoptikum. Obchód zrazu przebiegał rutynowo. Stłumieni lekami pacjenci przeważnie patrzyli na cały korowód pustym wzrokiem, jakby mieli dziury zamiast oczu. Od kiedy wynaleziono neuroleptyki z prawdziwego zdarzenia, w szpitalach psychiatrycznych nie było już tak ekspresyjnie jak niegdyś... Z bardziej kontaktowymi pacjentami Tycki wymieniał drobne uprzejmości, zagadywał o samopoczucie, cierpliwie wysłuchiwał zwierzeń, potem krótkiego raportu jednego z asystentów, uzupełnianego niekiedy uwagami kogoś z pozostałej czwórki specjalistów, przeglądał kartę choroby, akceptował lub zmieniał zalecenia, szedł dalej. Tym systemem zaliczyli kolejne sale ogólne - cyklofreników, schizofreników i charakteropatie. Za każdym razem, po wyjściu na korytarz, Tycki brał się za maglowanie studentów. Najpierw pytał o szczegóły diagnostyki, pozwalającej odróżnić od siebie poszczególne postaci schizofrenii. Helena starała się notować rzeczy, które teoretycznie powinny jej się przydać, szybko jednak pogubiła się w szczegółach. Tycki musiał zdawać sobie z tego sprawę, bo podczas tych odpytywań miłosiernie nie próbował już stawiać jej za wzór. Nagle jednak zaczął z zupełnie innej beczki, bez związku z przypadkami, z którymi mieli przed chwilą do czynienia.

- Panie Lisiecki, co to jest metoda psychokatartyczna?
- Pierwotnie psychoanalizy, panie profesorze.
- Proszę nam to wyjaśnić bliżej.
- W stanie częściowego znieczulenia lub płytkiej hipnozy wydobywamy spod progu świadomości traumatyczne przeżycia, które tam utknęły.
- Z podaniem jakiego środka psychotropowego można by ewentualnie połączyć metodę psychokatartyczną? Tak aby uzyskać efekt snu na jawie i wydobyć zapomniane przeżycia...?
- Z psylocybiną, panie profesorze.
- Wam, młodym, tylko grzybki w głowie! No dobrze... Teraz pani Woźniak, proszę wyjaśnić nam, co to są rzekome omamy słuchowe?
- Własne myśli pacjenta, które pod wpływem choroby stały się głośnie, panie profesorze.
- Czasami jednak chory przypisuje te głośnie myśli innym postaciom, jakim?

- W grę wchodzi głos sumienia i... - Studentka zacięła się.  
- Głos kusiciela oraz głos obowiązku, pani Woźniak - odpowiedział surowo Tycki. - Stwierdzam, że tego ostatniego nie słuchała pani dość uważnie!

Dziewczyna spuściła wzrok.

- Przepraszam, panie profesorze...

- Pani Mirska! - Zaskoczył ją zupełnie. - Czy pani wie, co to jest lęk anakastyczny?

Nie studiowała psychiatrii, jednak to akurat wiedziała.

- Tak, panie profesorze. Nazwa pochodzi od greckiego słowa *ananke*, czyli przymus. Chodzi o lęk wywoływany przez natrętne wyobrażenia, towarzyszące nerwicy natręctw. Wyobrażenia te mogą przybierać postać bardzo uporczywych myśli w rodzaju bluźnierstwa lub życzenia śmierci kochanej osobie. Towarzyszy temu obawa przed naruszeniem religijnego dogmatu, zabrudzeniem się lub zarażeniem. Natarczywość tych myśli budzi lęk i poczucie winy.

- Ma pani jakieś skojarzenia literackie? - Uśmiechnął się.

- „Ananke”, znane opowiadanie Lema o katastrofie statku kosmicznego, którego komputer został zaprogramowany przez znerwicowanego programistę.

- Brawo! Zechce mi pani towarzyszyć w dalszym obchodzie? - Zrobił gest zapraszający, by stanęła obok niego.

To było stanowczo zbyt daleko idące wyróżnienie. Helena podeszła zakłopotana. Medyczny orszak Tyckiego natychmiast rozstał się przed nią, ale równocześnie powiało chłodem. Już nie tylko doktor Pogodzka, ale także Trojaczki miały w oczach lodowaty ogień. Studenci nie kryli krzywych uśmiezków. Natomiast Tycki w najmniejszym stopniu nie przejął się stanem koleżeńskiej alienacji, w który właśnie wpędził początkującą stażystkę. A przecież niemożliwe, by tego nie zauważył...

- Czy potrafi pani sobie wyobrazić - zagadnął, ruszając - co czuje chory odczuwający taki przymus? Zwłaszcza kiedy próbuje mu się oprzeć?

- Wiem tylko tyle, ile przeczytałam, panie profesorze. W miarę stawianego oporu natręctwa lęki stają się coraz silniejsze. Nie sposób im nie ulec, tym bardziej że dopiero uległość przynosi choremu złagodzenie lęku. To poczucie ulgi czasem ma cechy erotycznego spełnienia.

- Tak, czytać to jedno, a co innego przeżyć samemu... - Popatrzył na nią, mrużąc oczy.

Patrzył zdecydowanie zbyt długo. Helena spieszyła się, a potem usłyszała coś, jakby narastający szmer na spodzie głowy. Chyba brzmiały w nim jakieś słowa, bełkotliwe, przeciągłe i zupełnie niezrozumiałe... Poczuli, że blednie.

- Jak chorzy sobie z tym radzą? - zapytał Tycki, jak gdyby nic się nie stało.

- Za pomocą magicznych rytuałów... - Helena omal nie szczęknęła zębami. - Starają się... hm... zabezpieczyć i oczyścić.

- Tak, magia... Magia... - Tycki sprawiał wrażenie, jakby smakował to słowo. - W żadnej innej chorobie psychicznej myślenie magiczne nie splata się tak ściśle ze współczesną nauką. Te rytuały ochronne, niekończące się mycie rąk... Można by pomyśleć, że magia działa naprawdę... Czyż nie jest to tajemnicze i fascynujące?

- Tak, panie profesorze - wyszeptła Helena, stąpając z trudem na miękkich nogach. Na dnie jej czaszki szumiało rozkołysane morze, śpiewały syreny...

- A teraz, proszę państwa! - Tycki zwrócił się do pozostałych studentów. - Przedstawię państwu bardzo ciekawy przypadek, który zmuszeni jesteśmy trzymać w izolatce. - Wskazał drzwi, które jeden z Trojaczków natychmiast otworzył wyjętym z kieszeni kluczem.

- Dzień dobry, jak się pani miewa, pani Ilono? Leki pomagają?

Stara kobieta w szlafroku, siedząca na łóżku, powoli odwróciła się do wchodzących.

- UCIEKAJ! Natychmiast ucieekaj!!! - wykrzyczała ledwie spojrzawszy Helenie w oczy.

Nie ruszała ustami!

Podłoga usunęła się stażystce spod nóg. Musiała się oprzeć o ścianę, by nie upaść. Nikt z lekarzy ani studentów nie zwrócił na nią uwagi.

- Ilcia dziękuje profesorowi, bardzo ładna pogoda... - odpowiedziała starszka Tyckiemu, jednocześnie nie przestając monotonna zawodzić w głowie Heleny: - *Uciekaj! Uciekaj! Uciekaj! Uciekaj!*

Boże, słyszę głosy! Co się ze mną dzieje?! Dziewczyna zacisnęła zęby, rozpaczliwie próbując wziąć się w garść. Za bardzo się przejmuję... za bardzo...

Musiała wyjść z tego pokoju. Natychmiast! Nie mogła pohamować tego pragnienia. Na korytarzu poczuła się lepiej. Na szczęście pozostali zaczęli wychodzić zaraz za nią.

- Talentu pani Ilonie mogliby pozazdrościć wszyscy nasi politycy, zwłaszcza ci o zapędach populistycznych - oznajmił Tycki zgromadzonym, gdy tylko z powrotem zamknięto drzwi izolatki. - Niestety, nie mogą z nią podpisać żadnego kontraktu, gdyż z powodu zaawansowanej choroby Alzheimera pani Ilona stała się zupełnie nieobliczalna. Wciąż jednak ma niezwykle dar wywoływania paranoi indukowanej. Jest tak sugestywna w swych wypowiedziach i zachowaniu, że każde umieszczenie jej na sali zbiorowej najdalej po dwóch dniach kończy się zbiorowym obłędem. Ostatnim razem pani Ilona wypatrzyła na okiennej szybie ruchomą scenę Sądu Ostatecznego, doprowadzając do tego, że pacjenci ustawili się w kolejkach po prawicy i lewicy wymagowanego Chrystusa i próbowali wyskakiwać przez okno, przy czym ci po prawicy pragnęli wzlecieć, a po lewicy spaść...

Rozległy się dyskretne śmiechy.

- Jednak najwięcej kłopotów - kontynuował z powagą ordynator - nasza droga pacjentka przysporzyła nam za pierwszym razem, rozpowszechniając obłęd pieniaczy. Pacjenci zaczęli masowo słać listy ze skargami na złe traktowanie oraz okradanie ich z majątków osobistych i narządów wewnętrznych. W efekcie mieliśmy tu dwie kontrole Izby Lekarskiej, trzech prokuratorów, NIK, przedstawicielstwo Komisji Europejskiej oraz bliżej nieokreśloną liczbę wizyt delegacji różnych organizacji ochrony praw człowieka, o zaniepokojonych krewnych nie wspominając. Mnie i państwa starszym kolegom na pewno nie było do śmiechu! - dodał z naciskiem, patrząc surowo na rozbawionych studentów, którzy natychmiast się opanowali. - Trwało stanowczo zbyt długo, zanim zorientowaliśmy się, że źródłem sugestii jest ta niepozorna staruszka. Po jej odseparowaniu od innych chorych ich urojenia krzywd natychmiast zaczęły zanikać. Dlatego uczulam państwa na ten przypadek. Wpływ pani Ilony działa wyjątkowo silnie na osobowości psychopatyczne...

Serce Heleny wystrzeliło w górę i wbiło się głęboko w gardło. Przestała oddychać. Zamarła. Zimny pot wypełził na skronie.

- A teraz będę oczekiwać od państwa wyjątkowej powagi. Pani Mirska, czy zechce pani nadal dotrzymywać mi towarzystwa?

Helena podeszła jak automat i zaczęła iść obok Tyckiego. Pozostali trzymali się bardziej z tyłu niż dotychczas.

- Widzę, że widok cierpiących ludzi zrobił na pani duże wrażenie - rzekł ordynator z ojcowską troską.

- Tak... panie profesorze... - wykrztusiła z wysiłkiem. - Ja...

- Głowa do góry! To się zdarza i dobrze o pani świadczy. Po prostu ma pani etyczne kwalifikacje do wykonywania zawodu lekarza psychiatry. Zaangażowanie osobiste i głębokie współczucie to podstawa. Proszę zgłaszać się do mnie ze wszystkimi swoimi problemami. Liczę, że nic nie zostawi pani dla siebie...

- Tak, oczywiście! - powiedziała Helena, czując, że wracają jej siły.

- Proszę państwa! - podniósł głos. - Jeszcze raz przypominam o powadze i szacunku dla chorych! Za chwilę wejdziemy do sali, w której leżą pacjenci z ostrą, śmiertelną katatonią. Wiem, że niektórzy z państwa nazywają to miejsce umieralnią lub gorzej. Nie będę tego tolerował! Walczymy ze wszystkich sił o życie tych chorych i nie wahamy się przyjmować najcięższych przypadków z innych szpitali, choć ta praktyka znacznie zwiększa statystykę zgonów w naszej klinice. Nie boimy się wyzwania! - oznajmił i dodał półgłosem już tylko pod adresem Heleny: - Wprost boję się myśleć, co o takiej liczbie śmiertelnych przypadków mógłby napisać jakiś nieodpowiedzialny dziennikarz...

Te słowa poraziły ją niczym piorun.

On wie! On wie! On wszystko wie!!! Rozwrzeszczały się wszystkie myśli w głowie Heleny. *Uciekaj! Uciekaj! Uciekaj!* - dopowiedział wyraźnie głos pani Ilony.

Rzeczywiście, mało brakowało, a rzuciłaby się biegiem w głąb korytarza. Na szczęście przerażenie ją sparaliżowało. Nie wiedziała, jak jej się to udało, ale zaledwie trzy sekundy później powoli podniosła głowę i spojrzała Tyckiemu prosto w oczy.

- To byłoby niegodziwe, panie profesorze.

Uśmiechnął się cierpko na znak, że się zgadza. Nie sprawiał wrażenia, że aluzja była zamierzona. Jego wzrok ani wyraz twarzy niczego takiego nie sugerowały. Wypowiedź najwyraźniej nie kryła żadnego ukrytego podtekstu. Po prostu była skierowana do byłej studentki dziennikarstwa...

Nagła ulgaomal nie rozsadziła klatki piersiowej Heleny. *Ty idiotko!*, nawrzeszczała na siebie w duchu. *Omal wszystkiego nie zepsułaś! Pilnuj się! Żadnego poczucia winy...!*

Sala katatoników, mimo jak najbardziej poważnego nastawienia, uparcie nasuwała skojarzenia z kostnicą, w której trupy byty jeszcze ciepłe. Większość chorych trwała w całkowitym bezruchu lub bezwolnie poddawała się sztucznemu karmieniu bądź myciu. Nie przeszkadzały im chodzące po twarzach muchy. Mimo iż cały czas w sali krzątało się trzech pielęgniarzy, dało się odczuć, że załatwianie potrzeb fizjologicznych pod siebie jest tu normą. Sądząc zaś po stopniu wycieńczenia, ponad połowa pacjentów znajdowała się w stanie przedagonalnym. Najwyraźniej żadne zabiegi medyczne nie byty w stanie powstrzymać wolno, lecz nieuchronnie wyciekającego z nich życia.

Był tu kapelan, ksiądz Michał, którego Helena nie miała jeszcze okazji zobaczyć z bliska. Dotąd tylko raz czy dwa przemknął jej w głębi korytarza. Przed obchodem chciała zamienić z nim parę słów, ale on najwyraźniej uciekł. Teraz też zachowywał się dziwnie. Krążył między chorymi, co chwila kładł któremuś na czoło koniec stuły, zaczynał modlitwę, której nie wiedzieć czemu nie kończył, tylko zaraz szedł do innego pacjenta. Zupełnie jakby nie mógł się zdecydować, komu udzielić ostatniego namaszczenia. Na widok Tyckiego zapadł się w siebie i chyłkiem opuścił salę. Ordynator zaś odprowadził go wzrokiem, w którym była nieskrywana pogarda.

- *Chrześcijaństwo jest metafizyką kata* - mruknął do Heleny. - Wie pani, kto to powiedział?

- Domyślam się, panie profesorze... - odszepnęła.

W sali katatoników sprawy załatwili szybko, bo Tycki rozmawiał tu tylko z pielęgniarzami. Potem zaś darował sobie odpytywanie studentów, tylko od razu zaprowadził cały swój orszak na spotkanie z grupą terapeutyczną rozchichotanych hebefreników. Wziął się z nimi za rękę i zaczął tańczyć w kółko, nakłaniając do tego także Helenę. Ta po kilku krokachomal nie wybuchła histerycznym śmiechem, ale zaraz zmusiła się do pozytywnego nastawienia i zaczęła integrować. Dziecinna zabawa przyniosła przyjemne oszołomienie. Opiekunka grupy ładnie grata na tamburynie. Potem dołączyli inni studenci i zrobiło się całkiem sympatycznie...

Nie można było odmówić Tyckiemu wyczucia, gdyż było to ostatnie zadanie przed obiadem. Na stołówce, na wyraźne życzenie ordynatora, Helena usiadła przy jego stoliku. Siłą rzeczy splawiony został jeden z Trojaczków.

- Będzie się teraz gryzł przez całą noc i uświerknie ze zgryzoty – profesor bezlitośnie zacytował „Mistrza i Małgorzatę”, a pozostali dwaj asystenci usilnie starali się nie pokazać po sobie, jak bardzo się cieszą, że ordynatorska nielaska nie padła na nich.

Helena postanowiła przestać odgrywać skromną myszkę. Zdjęła chustkę i eksplodowała seksapilem, rozpuszczając włosy na ramiona.

- Wspaniale! - natychmiast skomplementował Tycki.

Nie wiedziała, co się z nią dzieje. Była jakby obok tego wszystkiego. Z jednej strony nie miała wątpliwości, że świetnie odgrywa zaplanowaną rolę, z drugiej już właściwie podjęła decyzję, by zaraz do wszystkiego się przyznać i prosić o wybaczenie. Uciezka w kobiecość nastąpiła odruchowo. Po prostu stała się Barbie! Uśmiechała się uroczo, potrząsała głową i chichotała z dowcipów Trojaczków, którzy teraz wykazywali się galanterią i ogładą. Błyszczącymi oczami wpatrywała się w Tyckiego. On też dobrze się bawił.

- Postanowiłem zmienić plany - oznajmił na koniec obiadu. - Nie będziemy czekać do jutra, ale już dziś pochwalimy się nowej koleżance osiągnięciami naszych neuroinformatyków. - Co pani sądzi o tym, byśmy poszli tam teraz? - zwrócił się do Heleny.

- To wspaniale, panie profesorze! - ucieszyła się niczym blondynka z kawału na propozycję seksu. Wiedziała, że robi z siebie idiotkę, ale zupełnie jej to nie przeszkadzało.

- Pójdę ich uprzedzić! - Trojaczek siedzący po prawej ręce Heleny poderwał się, odstawiając niedopity kompot.

Tycki splawił go łaskawym machnięciem dłoni.

- Jestem szczęśliwy, mogąc pochwalić się tym projektem.

- To oczko w głowie naszego profesora! - dodał usłużnie ostatni z Trojaczków.

Helena uśmiechnęła się czarująco i nie przestawała uśmiechać przez najbliższy kwadrans, gdy kończyli deser, wspinali się po schodach i wkraczali do informatycznego laboratorium. Tam na widok pierwszego z brzegu ekranu monitora dziewczyna stanęła jak wryta. Nie zdążyła się przerazić ani pomyśleć o psychowirusach. Zrobiła to za nią jej podświadomość. Sama Helena poczuła tylko,

że ma problem z utrzymaniem moczu. Popuściła... Niewiele... Zdołała opanować zwieracze. Trzeba będzie jednak przepracować majtki...

Z oszołomienia wyrwał ją mocny uchwyt za ramię.

- Panie Rybiec! Do jasnej cholery! - darł się Tycki. - Ile razy mam panu powtarzać, żeby nie używał pan hipnotyzujących wygaszaczy ekranu! Zwłaszcza wtedy, gdy przychodzą goście! Kolego Tęczyński... - zwrócił miążdzący wzrok na Trojaczka - miał pan uprzedzić!

Trojaczek zapadł się we własne buty.

- Uprzedziłem... - wykrztusił.

- Przepraszam, profesorze, nie było mnie tu wtedy, a wygaszacz włączył się automatycznie - tłumaczył się informatyk. - Akurat nad nim pracowałem, bo synchronizacja składowych rytmu beta ciągle nawala...

- Jak się pani czuje? - Tycki zwrócił się z troską do Heleny.

- Nie, nic... - odetchnęła.

- Idę o zakład, że zrobili to specjalnie - szepnął. - Coś jakby otrzęsiny... Programy graficzne do wspomagania hipnozy nie są tu zwyczajowo przerabiane na wygaszacze ekranów. Możemy kontynuować?

- Tak, proszę - odpowiedziała.

Miała się przyznać, że ma mokro w majtkach?!

Zastanawiała się, ile czasu stała przed komputerem Rybca. Mogła to być niecała minuta, mógł i kwadrans. Nie spojrzała na zegarek przed wejściem do laboratorium. Czy coś wtedy mówiła? Lepiej, żeby nie...

Z trudem mogła się skupić na objaśnieniach Tyckiego, który po kolei przedstawiał jej informatyków, opowiadał o mocy obliczeniowej komputerów i referował podstawowe założenia projektu SSI, czyli Schizofrenicznej Sztucznej Inteligencji. Zmultiplikowana fraktalnie sieć neuronowa, działająca według reguł logiki rozmytej... algorytm propagacji zwrotnej błędu kontra algorytm przesterowywania wag połączeń, naśladujący metabolizm informacyjny w stanie schizofrenii... Bazy wiedzy, sprzężone systemy ekspertowe...

Mimo wszystko Helena starała się to ogarnąć, w końcu właśnie po to i dlatego tu była! Wzięła się w garść i maksymalnym napięciem woli odsunęła na bok niepokój, zdołała zmusić się do uwagi i starannego notowania. Nie liczyła, że teraz, w tym stanie ducha znajdzie lukę w wyjaśnieniach Tyckiego, jakiś punkt zaczepienia. Jednak potem, kiedy ochłonie, na spokojnie analizując notatki... Intuicyjnie czuła, że jest blisko!

Wymiękła dopiero, gdy Tycki zaproponował jej test Turinga.

- Nazywamy ją Edkiem, to na cześć mistrza Mrożka. Oczywiście, pleć nie ma tu nic do rzeczy, choć i nad tym pracujemy. Zatem zechce pani zamienić z Edkiem kilka słów?

Helenie po prostu zrobiło się słabo. Bezwładnie osunęła się na najbliższe krzesło.

- Tak, to rzeczywiście za dużo wrażeń na dziś - Tycki postawił błyskawiczną diagnozę. - Kolego Tęczyński, proszę podać pani wody!

- Oczywiście, profesorze! - Trojaczek już pochylał się nad nią z plastikowym kubkiem w ręku.

Wypiła. W wodzie był jakby cień goryczy, ale zbyt słaby, by nie uznać go za złudzenie.

- Może odprowadzić panią do pokoju? - zaproponował Tycki.

- Nie, dziękuję, poradzę sobie... - Wbrew słowom nie mogła wstać. Udało się to dopiero, gdy obserwujący wysiłki Heleny Trojaczek podał jej rękę.

- A jednak... - odparł Tycki. - Panie kolego!

- Niezwłocznie, profesorze - podał Helenie ramię.

- Do widzenia pani.

Tylko kiwnęła głową. Tęczyński wyprowadził ją z laboratorium. Szła jak kukła. Odzyskała energię dopiero kilkanaście kroków przed drzwiami swojego pokoju. Niemalże odepchnęła Trojaczka i zdecydowanie zbyt oschle nakazała mu odejść. Zrobił to bez słowa.

Helena natychmiast zamknęła się w pokoju na wszystkie spusty i zaczęła rozbierać. Ściągnęła fartuch, spodnie, zabrała się za mokre majtki i... zamarała zdumiona.

Figi wcale nie były zasikane! Pomacała jeszcze raz, zdjęła je i obejrzała. Wyglądały normalnie, znaczy tak jak powinny wyglądać po połowie dnia noszenia. No, ale oczywiście należało je przepracować! Zrobiła to niezwłocznie. Raz, potem drugi. Wyszła z łazienki, obejrzała efekt przy oknie i wróciła przepracować po raz trzeci. Dopiero wtedy położyła je na kaloryferze. Uznała, że sama musi się

podmyć i znów poszła do łazienki. Dotknęła własnego krocza i... aż syknęła z bólu. Ukłuła się w palec! Zamiast włosów łonowych miała kolce jeża... One były dobre, zapewniały bezpieczeństwo, dzięki nim żaden facet nie mógł jej mieć! Obmyła je ostrożnie, ciesząc się, że są takie twarde i ostre. Jednak chwilę później pod dotykiem ręcznika kolce zmiękły i stały się zwykłymi włosami łonowymi. To ją zaniepokoiło. Czym prędzej naciągnęła świeże majtki.

Nagle ktoś włożył w nie dłoń i ścisnął ją za pośladek... Helena z okrzykiem sprzeciwu natychmiast sięgnęła do tyłu, by wyszarpnąć i odepchnąć rękę natręta. Kiedy jednak włożyła dłoń pod tkaninę, w jej figach prócz własnej były już dwie obce, męskie dłonie! Same dłonie... Bez ramion i reszty faceta... Usłyszała rytmiczną muzykę. Tamtą muzykę...

Helena zamarła i przestała się bronić. Dłonie mocno chwyciły ją za pośladki i pchnęły na łóżko. Upadła na nie brzuchem, chowając twarz w ramionach. Jak wtedy, na tamtej imprezie... W jej majtkach były już trzy albo cztery natarczywe dłonie, wciskały palce w odbyt i pochwę... Bała się krzyżeć. Kolejne dłonie rozpełzały się po niej, miętosząc piersi, szarpiąc za włosy. Chroniła tylko twarz. Dłonie obróciły ją na wznak. Nie wiedziała, kiedy i jak rozebrały ją całkiem, po prostu przestała czuć na sobie ubranie...

Napastnicy byli wyłącznie dłońmi. Tylko raz, kiedy pod wpływem bólu otworzyła oczy i spojrzała przez szparę między przedramionami, zobaczyła płaskie, blade owale, które mogły być ich twarzami. Nie czuła w sobie ruchów ich członków. Nie przyjmowała do wiadomości tego, co z nią robią. Nie słyszała też, jak stękają i dochodzą. Czuła tylko same wytryski. Kolejno. Jeden, drugi, dziesiąty... I wylewające się z niej nasienie...

Potem czuła, jak z powrotem w pośpiechu naciągają jej majtki. I to, że leży nieruchomo w tych założonych na lewą stronę, przesiąkniętych spermą figach, porażona ich lepką wilgocią...

Leżała na łóżku w golfie i świeżej bieliźnie, kurczowo przyciskając dłonie do twarzy. Przypomniała sobie... Wszystko do niej wróciło! Pijana czternastolatka zerżnięta na szczeniackiej imprezie przez pięciu czy siedmiu chłopaków. Tradycyjnie i rutynowo. Potem wmówili jej, że sama chciała. Uwierzyła w to. Chciała uwierzyć. Zwłaszcza że mówili jej też, jaka była świetna... Chyba wszyscy wcześniej byli prawiczkami, aż szkoda ich było na parówki w poprawczaku. Chciała tylko wiedzieć, który był pierwszy, ale nie powiedzieli. Potem jakoś tak wyszło, że pieprzyła się z nimi na okrągło, przez rok, do końca podstawówki, na imprezach, w domu, piwnicach, w szkolnym kiblu i na strychu. Nie zaszła w ciążę. W ogóle, na cały ten rok przestała miesiączkować. Psychiczna antykoncepcja... jak potem sobie doczytała. Kiedy wreszcie miesiączka wróciła, nie chciała robić tego już z nikim. Nigdy i za żadną miłość! Od niechcenia łamała kolejne serca, ale przez jednego, wyjątkowo natrętnie zakochanego kolegę z roku, postanowiła rzucić studia dziennikarskie, poprzestając na licencjacie. Przeniosła się na psychologię, po czym podłapała pracę w tabloidzie i już nie miała głowy ani czasu na magisterkę. Tyle było prawdy w tym, co powiedziała Tyckiemu. Wreszcie poznała Gosieka - tak kazał odmieniać swoją ksywkę i zamieszkali razem, jak dwie dziewczyny. Przy nim/niej poczuła się bezpieczna i zaczęła myśleć o wielkiej karierze...

Ale co mnie napadło? Czemu to wszystko rozpamiętuję? Było, minęło! Helena odetchnęła głębiej i odkryła twarz. Sufit nad nią trochę się marszczył, ale to pewnie dlatego, że tak kurczowo ścisnęła oczy... Usiadła, zebrała myśli. No tak, wszystko jasne! Najwyraźniej nie nadawała się na szpiega, a zwłaszcza szpiega szpiegującego w szpitalu psychiatrycznym... Zbyt duże napięcie i poczucie winy, atawistyczny lęk przed chorymi psychicznie... Nic dziwnego, że podświadomość się porzygała! Racjonalizowała całkiem skutecznie. W końcu jednak liznęło się trochę tej zakichanej psychologii.

- Jutro będzie lepiej. Na pewno przyzwyczaję się do nowej sytuacji! - powiedziała sobie głośno.

Był tylko problem z majtkami... Znów były jakieś takie nieświeże... Założyła je ledwie pół godziny temu, a one już wydawały się nie do noszenia. Popatrzyła na nie uważnie. Jasne! Wszystko przez te głupie wspomnienia! Poczula się zbrukana, więc majtki też... Trzeba je uprać!, pomyślała stanowczo i ta stanowczość zupełnie ją zaskoczyła. Przecież wcale nie trzeba ich prać! To bez sensu! Jeszcze pachną proszkiem do prania, nie będę się wygłupiać!

Żeby upewnić się, że figi pachną tym proszkiem, zdjęła je i zaczęła obwąchiwać. Pachniały prawidłową reklamową świeżością, ale jakoś niezupełnie... Trzeba przeprać. Idiotka! wrzasnęła na siebie w duchu i zaczęła zakładać z powrotem. Zdołała naciągnąć je tylko do kolan. Dalej nie dała rady. Zamarła. Posiedziała chwilę i znów zdjęła...



-A co się tam będę sama ze sobą użerać! - oznajmiła pojednawczo i z majtkami w ręku ruszyła do łazienki.

### 3. DE PROFUNDIS

Spotkali się w części parku przeznaczony dla pacjentów.

- Usiadłaś na czymś mokrym? - zapytał Gosiek. Pomacała się po siedzeniu.

- Musiałam uprać figi, nie zdążyły wyschnąć... - wyjaśniła.

- Przesiąkło aż na fartuch! - zdziwił się. - Nie masz suchych na zmianę?

- Tak się złożyło.

Nie usiadła obok na ławce. Wciąż stała przed nim. Skądinąd, zrozumiałe...

- Słuchaj, czy to nie ryzykowne spotykać się tak otwarcie?

- Przecież muszę udawać, że nie mam nic do ukrycia — wzruszyła ramionami. - Byłoby dziwne, gdyby mnie nikt nie odwiedzał.

- Mimo wszystko... - Rozejrzał się niespokojnie. - Jak ci idzie?

- Jestem blisko - szepnęła z przejęciem, pochylając się nad nim. - Wiesz, że te ich programy żyją!

Potrafia wychodzić z komputerów i wnikać do ludzkich umysłów...

Popatrzył na nią z osłupieniem. - Co ty mówisz?!

- Jestem tego pewna! Stale robię notatki i analizuję. Wszystkie fakty się zgadzają!

- Jesteś jakaś dziwna...

- To przez stały kontakt z czubami. - Machnęła ręką. - Kto z kim przestaje, takim się staje... -

Uśmiechnęła się promiennie.

- Chryste! Dziewczyno, rzuć to i wracaj do domu!

- Nie mogę, jestem już bardzo blisko. Te wirusy są jak duchy. Tycki nasyła je na swoich wrogów...

- Masz jakieś dowody?!

- Moje notatki. Tam jest wszystko.

- Nie wzięłaś swojego laptopa - zauważył.

- Musiałabym podłączyć go do ich serwera, a wtedy sczytaliby mój twardego dysk i nasłali psychowirusy. Kiedy piszę w notesie, nie mogą mnie namierzyć.

- Masz te notatki?!

- Jak chcesz, to zaraz przyniosę. Zresztą... - Pomacała się obiema rękami po pachwinie - te moje majtki... Chyba naprawdę powinnam je zmienić... i przeprać... Poczekaj tu na mnie! - odwróciła się i pobiegła do budynku, łopocząc rozpiętym fartuchem.

Siedział i patrzył za nią szeroko otwartymi oczami. Nie mógł zebrać myśli.

- Przepraszam panią... - chrząknięcie - znaczy pana...

Gosiek obejrzał się. To był sanitariusz. Goryl z twarzą Świętego Franciszka.

- Pan profesor Tycki prosi pana na rozmowę. - Sanitariusz już patrzył i mówił z zawodową obojętnością.

- W jakiej sprawie?

- Myślę, że chodzi o pana przyjaciółkę. Tędy proszę...

Nie oponował. Po trzech minutach byli na miejscu.

- Dziękuję Adamie - Tycki z monarszą godnością oddalił sanitariusza. - Proszę, zechce pan usiąść.

Gosiek wykonał polecenie, czując pustkę w głowie.

- Długo zna pan panią Helenę Mirską? - spytał profesor.

- Prawie dwa lata - odpowiedział machinalnie.

- Mieszkacie ze sobą...

Wiedzą! Przerazenie błysnęło jak flesz.

- Nie ze sobą... - opanował się Gosiek. - Tylko we wspólnym mieszkaniu! - dodał z naciskiem.

- Tak, tak, przepraszam, powinienem był się domyślić... Ale do rzeczy! Chciałem prosić pana o przysługę. Otóż, chcielibyśmy nawiązać kontakt z rodziną naszej pacjentki...

- Jakiej pacjentki?!

- Pani Heleny Mirskiej - odparł z powagą Tycki.  
 - Ależ ona odbywa tu staż...  
 - Tak panu powiedziała?  
 Gosiek poczuł, że zapada się w czarną otchłań.  
 - Nie rozumiem! - jęknął.  
 - No cóż... - Pokiwał głową Tycki. - Przyznaję, że mam kłopot. Takich wyjaśnień mogę udzielać tylko najbliższej rodzinie, a pan nie jest nawet kandydatem na narzeczonego...  
 - Przyjaźnimy się.  
 - Jak widać, nie do końca... - Popatrzył badawczo ordynator. - Lecz z drugiej strony musimy skorzystać z pana pomocy, aby nawiązać kontakt z rodziną pani Mirskiej, więc powinienem przekonać pana do współpracy.  
 - Co się tu stało?! - wybuchnął Gosiek.  
 - Jeżeli nie będzie mi pan przerywać, dowie się pan szybciej - zmitygował go łagodnie Tycki. - Nie ma tu nic nadzwyczajnego. Ot, zwykła, smutna ludzka przypadłość, wymagająca wszechstronnej opieki i życzliwości. Podziwu godne jest tylko to, że pani Mirska sama rozpoznała u siebie pierwsze symptomy, nie próbowała ich bagatelizować, lecz wzięła urlop z pracy i zwróciła się do nas o pomoc...  
 - To niemożliwe!  
 - Sugeruje pan, że za poczynaniami pani Mirskiej mogłyby stać jakieś inne motywacje? Bardzo proszę opowiedzieć nam o nich, to może być ważne.  
 - Znaczy... Chciałem powiedzieć... to okropne!  
 - Rozumiem, brak zaufania. Jednak proszę dać mi szansę...  
 - Chcę zobaczyć kartę choroby Heli i jej zgodę na leczenie! - oznajmił stanowczo Gosiek.  
 - Karty nie mogę panu pokazać, gdyż byłoby to złamanie tajemnicy lekarskiej - odparł Tycki, pochyłając się nad biurkiem - ale zgodę jak najbardziej. Tak się szczęśliwie składa, że pani Mirska w tym zakresie jest wystarczająco poczytalna. Proszę oto żądany dokument!  
 Gosiek poczuł zawrót głowy. Podpis Heleny zatańczył mu przed oczami. Sfałszowany! - pomyślał. Ale nie ośmielił się powiedzieć tego głośno.  
 - Myślę, że nawet laik powinien zauważyć zmianę w zachowaniu pani Mirskiej. Zmieniła się ostatnio, prawda?  
 Nie mógł zaprzeczyć.  
 - Co jej jest?! - jęknął z rozpaczą.  
 - Tego nie mogę panu powiedzieć - powtórzył cierpliwie Tycki. - Takich informacji może panu udzielić tylko rodzina pacjentki lub ona sama. Choroba jest jednak bardzo poważna, zapewniam pana. Jeszcze do niedawna rokowania w takich przypadkach były zdecydowanie niepomyślne. Na szczęście, także w psychiatrii odnotowano w ostatnich latach znaczący postęp. Jest więc nadzieja! - podkreślił stanowczo. - Potrzebne będzie jednak wsparcie rodziny, dlatego proszę pana o pomoc.  
 Gosiek milczał.  
 - No dobrze... - Tycki skapitulował dla dobra pacjentki. - Ale tak między nami! Chodzi tu o jedną z form zespołu anankastycznego, psychoneurosis obsessiva. Mogło się to rozwinąć na tle ciężkiego urazu psychicznego. Natomiast staż i praca magisterska to indywidualna konwencja terapii. W ten sposób pomagamy pani Mirskiej odnaleźć się w warunkach zakładu psychiatrycznego, unikając niepotrzebnego traumatyzowania pacjentki, która jeszcze nie do końca przyjmuje do wiadomości fakt swojej choroby. Oczywiście, to wyłącznie kwestia okresu przejściowego, wkrótce granicę lekarz — pacjent wytyczymy wyraźnie.  
 Gosiek stwierdził z przerażeniem, że prawie dał się przekonać. Hela trochę mu się zwierzała... I wtedy profesor Tycki się zdemaskował!  
 - Rzecz jasna, w pierwszej kolejności zwróciliśmy się o pomoc do zakładu pracy i uczelni - oznajmił.  
 - W zakładzie... o ile można tak nazwać to miejsce, podali nam tylko wasz adres. Na uczelni natomiast papiery pani Mirskiej, niestety, zaginęły...  
 Sprawdzili Helę i zdemaskowali!, stwierdził ze zgrozą Gosiek. A teraz skutecznie wpędzają w szaleństwo! Muszę ją ratować!  
 - Zatem adresu rodziny w żaden sposób nie mogliśmy ustalić, a nie chcemy jeszcze angażować policji... - dokończył Tycki. - Czy możemy liczyć na pana?

- Tak, oczywiście! - Wziął głęboki wdech. - W domu przejrzę rzeczy Heli i oddzwonię, jak znajdę adres rodziców.

- Będę ogromnie zobowiązany. Oto moja wizytówka!

- Czy mógłbym jeszcze...

- Nie, na dziś wystarczy. W miarę możliwości należy unikać niepokojenia pacjentki w tym stanie.

- Rozumiem.

Przejrzała się w jego oczach i chwilowo otrzeźwiała.

Przecież Gosiek patrzył na mnie jak na wariatkę!, dotarło do niej, gdy otwierała drzwi swego pokoju. Naprawdę zachowuję się niedorzecznie! Zwłaszcza te majtki... Nie będę ich prać!, postanowiła stanowczo. Nie będę!

Zdjęła je jednak, żeby wysuszyć. Może suszarką do włosów...? Jakoś nie mogła się zdecydować. Usiadła na łóżku, mnąc w dłoniach wilgotne figi.

Przecież one już nie są czyste, stwierdziła. Nosilam je... Lepiej będzie najpierw uprać, a potem wysuszyć...

- Nie będziesz niczego prać! Ty głupia zdziro! - wysyczała pod swoim adresem. - Całkiem ci odbiło! Weź się w garść!

Zdołała uzyskać tyle, że nie podniosła się z łóżka. Siedziała tak pół godziny, obserwując swoje myśli. Narastało w niej przekonanie, że jeśli założy nieuprane, brudne majtki, jak nic zarazi się rzesistkiem albo dostanie zapalenia dróg moczowych. To może wysuszyć suszarką któreś z tych upranych, co leżą na kaloryferze? - podpowiadał rozsądek. Uznała to za zgniły kompromis. Musiała się przełamać i przestać przejmować tymi cholernymi gaciami! Dobrze, że przynajmniej nie odczuwa przymusu mycia rąk, bo wtedy byłoby naprawdę źle...

Poczuła, że drżą jej szczęki. Czemu by nie odpuścić? Przecież higiena jest ważna! Nie warto nosić nieświeżej bielizny... Nie! Jeszcze raz zmobilizowała całą siłę woli. Założę te majtki, choćby mi miała cipa odpaść! Potem wezmę notes, pójdę do Gosieka i wytłumaczę mu wszystko po kolei! Ale będę brzydko pachnieć... I może wdać się infekcja... Po co ci to, dziewczyno?

- Pochwa jest jak otwarte wrota do twojego organizmu - powiedział surowy głos w głowie Heleny. - Powinnaś ją chronić i osłaniać czystą tkaniną! To twój obowiązek! Czystość duchowa i fizyczna! Czy wiesz, że stany zapalne narządów rodnych mogą się skończyć nowotworem?! Umrzesz na raka!

Schowała głowę w ramiona. Starając się odwrócić własną uwagę wpatrzyła się w trzymane w rękach figi.

- O tutaj! - skomentował głos miejsce, na które padł wzrok Heleny. - Tu blisko jest twoja łechtaczka. Chcesz, żeby cały czas ocierała się o brudne płótno? Pomyśl, jaką jej i sobie sprawisz przyjemność, jeżeli odświeżysz choćby ten maty fragmencik... Odrobina ciepłej wody... Będzie tak przyjemnie... Zobaczysz! Wystarczy tylko zmoczyć i potrzeć o siebie te dwie fałdki tkaniny... Bądź rozsądna - przekonywał głos.

Pięć minut później półnaga Helena szorowała majtki w umywalce. Głowę miała odchyłoną do tyłu, twarz ściągniętą w ekstazie. Wstrząsały nią kolejne fale wielokrotnego orgazmu.

Tym razem nie pozwoliła mu uciec.

- Proszę księdza!

- Słucham, córko. Chcesz się wypowiedzieć? - przemówił powoli i łagodnie.

- Potrzebuję pomocy!

- Na pewno znajdziesz wsparcie w modlitwie, możemy pomodlić się razem.

- Nie o taką pomoc mi chodzi! - zirytowała się. - Dzieje się ze mną coś złego, nie mogę opanować tych myśli...

- Masz nieczyste myśli, córko?

- Tak... Znaczący nie! Nie o to chodzi! Mam wrażenie, że ktoś robi ze mną coś wbrew mojej woli!

Ksiądz Michał cofnął się o krok.

- To poważna sprawa, córko - przytaknął głęboko zatroskany.

- Niech ksiądz nie robi ze mnie wariatki! - syknęła i natychmiast się opanowała. Starła się mówić, jak najbardziej logicznie i z sensem. - Podstępnie podano mi narkotyki! Teraz to zauważyłam. Oni chcą

mnie wpędzić w szaleństwo...

- Ależ córko - powiedział spokojnie kapelan. - To jest szpital, tu się przynosi ulgę w cierpieniu.

- Podczas pierwszego obchodu dokładnie powiedzieli mi, co ze mną zrobią! Pytania do studentów były aluzjami...

- Tak sądzisz, córko?

Zrozumiała, że użyta niewłaściwych słów. Musiała spróbować inaczej!

- Ksiądz jest tu moim jedynym sprzymierzeńcem...

- Ależ nie! - zapewnił szybko. - Jest jeszcze Bóg.

Z trudem powstrzymała się, by go nie zwymyślać. Odetchnęła głęboko.

- Chodzi mi o to, że ksiądz ma na pieńku z Tyckim.

Na dźwięk tego nazwiska ksiądz Michał zapadł się w sobie, jakby dostał pałką w głowę.

- Profesor Tycki to znakomity lekarz... - powiedział zmienionym głosem, jakby czytał z kartki. - Można zawsze na niego liczyć i w każdych okolicznościach okazać mu pełne zaufanie...

- Niechże ksiądz przestanie pieprzyć!

Skurczył się w sobie jeszcze bardziej, ale teraz było to już przygotowanie do ucieczki. Nie ulegało wątpliwości, że zrobi to, jeśli ona tylko spróbuje go dotknąć. Helenie opadły ręce. Chwila jasności umysłu odchodziła. Gasła stanowczość. Myśli znowu zaczęły się płatać.

- Nie wiem, jak to księdzu powiedzieć... - jęknęła bezradnie.

- Ależ nie ma pośpiechu, córko - zapewnił, robiąc kolejny krok do tyłu. - Może powinnaś to zapisać? Albo narysować... Wolisz flamastry czy kredki? Zaraz kogoś zawołam... poczujesz się lepiej... na pewno... - zapewniając, że wszystko będzie dobrze, zniknął za zakrętem korytarza.

Patrzyła za nim wzrokiem zrozpaczonej dziewczynki. Znowu poczuła, że ma nieświeże majtki, że będzie dobrze, jak je przepierze. Trochę już od tego ciągłego prania bolały ją palce, ale tak z pewnością będzie dla niej lepiej... Tak przyjemnie...

Helena odwróciła się i z pochyloną głową powlokła się do swojego pokoju. Jednak już po kilkunastu krokach myśl o czekającym ją zaspokojeniu rozproszyła zły nastrój.

Dopadła Tyckiego roztrzęsiona.

- Panie profesorze!

- Słucham panią? - Tycki przerwał rozmowę z jednym z Trojaczków, który natychmiast odszedł na bok. - Czy coś się stało?

- Tak! Musimy natychmiast porozmawiać! - wyjaśniła Helena, nerwowo przestępując z nogi na nogę.

- Może tutaj...? - Weszli do jednego z gabinetów zabiegowych, w którym akurat nikogo nie było. Tycki zamknął drzwi. - Słucham panią uważnie...

- Moje majtki znikły! - oznajmiła z desperacją Helena. - Wszystkie! Ktoś ukradł...

- Ależ skąd! - zaprzeczył profesor. - To wykluczone. Pani bielizna została umieszczona w szpitalnym depozycie.

Helena zamarła z rozdziawionymi ustami.

- Na litość boską, pani Heleno, przecież nie mogliśmy pozwolić, aby stale chodziła pani w mokrej bieliznie. Dostałaby pani reumatyzmu!

- Ale... - Odruchowo przycisnęła do krocza poty fartucha. - Ja powinnam je... One się kurzą!

- Proszę się nie obawiać - zapewnił Tycki. - Są w miejscu, do którego kurz nie ma dostępu.

- Ale roztocza... One tam chodzą i... Naprawdę muszę...

- Co musisz, żałosna świrusko? - zapytał Tycki swoim zwykłym życzliwym tonem. - Zaspokoić swoje nowe potrzeby seksualne?

Helena zamarła zszokowana. Profesor Tycki spoglądał na nią wzrokiem pełnym ludzkiego ciepła i otwartości.

- Ty mała, dziennikarska zdiro! - Wyjął z kieszeni jej notes. - Myślałaś, że możesz mnie tu bezkarnie szpiegować?! - Spoliczkował ją notesem.

Nie przewróciła się, tylko cofnęła przerażona. Nie tym, że została zdemaskowana. Moje majteczki, myślała płaczliwie, moje biedne majteczki... Takie same i biedne...

- Będiesz już zawsze chodzić z gołą pizdą, a wszystkie śmiecie będą do niej wpadać! - oznajmił Tycki z mściwą satysfakcją. - Będziesz wciągać zgniliznę jak odkurzacz... I marzyć, aby one cię

osłoniły. Będziesz śniła, jak pieścisz je w umywalce w ciepłej wodzie z mydłem, a one będą butwiały gdzieś w ciemnej piwnicy... pełnej robactwa....

- Niecee! - załkała rozpaczliwie. - Tylko nie to! Proszę... proszę... proszę...

- Chcesz je odzyskać?

- Tak... proszę...

- Na kolana, zdiro - nie podniósł głosu. Wcale nie był zdenerwowany. Natychmiast uklęknęła i pochyliła głowę.

- Masz, żryj. - Rzucił przed nią notes.

Bez wahania wyrwała pierwszą kartkę z notatkami i zaczęła ją żuć. Tycki przyglądał się jej uważnie.

- Trochę za szybko uległaś, moja droga - stwierdził po chwili. - Znowu próbujesz mnie oszukać...

Helena przestała żuć, uniosła głowę i wpatrzyła się w niego szeroko otwartymi oczami. Z ust wystawał jej kawałek papieru.

- Ale to nic nie da, moja droga - zapewnił ją Tycki. - Nie ukryjesz resztek siebie pod posłuszeństwem. Tak, oczywiście, wiem, że nie udajesz. Sumiennie oddajesz coś za coś, ale to jeszcze za mało, moja droga, za mało. Nie interesuje mnie partnerska transakcja. Musisz nauczyć się naprawdę całkowitego posłuszeństwa. Tak doskonałego, aż w posłuszeństwie odnajdziesz Absolut. To będzie nowy cel twego życia. Cóż, nie od razu do tego dojdziemy, ale nie obawiaj się, mamy czas. Bardzo wiele czasu...

Czekali na niego dokładnie tam, gdzie zaplanował przejście przez mur otaczający klinikę. Musieli go obserwować, kiedy szukał dobrego miejsca. Cholera! Dokładnie tyle zdołał zdziałać - zakląć. I już trzech sanitariuszy trzymało go w fachowym, żelaznym uścisku.

- Jak miło, że pan wpadł! - usłyszał z boku wesoły, nieznaną głos. - Akurat realizujemy nowy, pilotażowy program leczenia homoseksualizmu...

- Tego się nie leczy! - warknął Gosiek. - I nie jestem żadnym pieprzonym pedałem!

- No widzi, pan! Terapia już działa... Panowie!

Założyli mu kaftan bezpieczeństwa z tak porażającą wprawą i szybkością, że poczuł się niemal teleportowany do środka. Na głowę założono mu kaptur, po czym wyładował na noszach. Sanitariusze przywiązali go do nich pasami i gdzieś ponieśli. Wszystko stało się tak szybko, że nawet nie zdążył się przestraszyć. Kłopotów spodziewał się dopiero wewnątrz budynku, podczas wyprowadzania Heleny. Teraz był tak zaskoczony, że nie przyszło mu do głowy wołać o pomoc. Rozsądek podpowiadał, by czekać na dalszy rozwój wypadków.

Zorientował się, że znoszą go gdzieś po schodach. Z pewnością do jakiejś piwnicy. Duża sala... - zdołał zinterpretować stłumiony przez kaptur pogłos kroków. Potem go postawili, opierając o coś nosze i odeszli. Gosiek został sam w chłodnej ciszy.

Czekał i nasłuchiwał. Nic się nie działo. Zupełnie nic. Minęła godzina, potem druga... Pojawiła się myśl, że zostawili go tak, by umarł z pragnienia...

Pod koniec trzeciej lub czwartej godziny nie wytrzymał i zaczął krzyczeć.

- Tak, myślę, że teraz boi się pan już wystarczająco - usłyszał głos Tyckiego.

Ordynator ściągnął mu z głowy kaptur. Byli sami w pustej i ciemnej sali.

Nie było widać ścian, ale to pewnie dlatego, że jedynym źródłem światła był starożytny trójnóg z pelgającym czerwono żarem. Mrok był tak gęsty, że rysy twarzy Tyckiego z trudem dawały się rozpoznać. Praktycznie tylko głos umożliwiał identyfikację osoby.

- Przyniósł pan adres?

- Nie! - sarknął Gosiek.

- A wie pan, że jakoś nie czuję się rozczarowany? Właściwie byłbym zdziwiony, bo zacząłem już szanować pańską inteligencję, nie przeceniając jej, oczywiście. Prawdę mówiąc, zależało mi na tym, aby zjawił się pan tu możliwie dyskretnie i bez świadków. W tym względzie mnie pan nie rozczarował...

Zapadła chwila ciszy. W tej ciszy krystalizował się strach.

- Jakaż to romantyczna historia! - oznajmił z uznaniem ordynator. - Chłopak zakochany w dziewczynie z zaburzeniami seksualnymi udaje geja, aby się do niej zbliżyć...

Gosiek zacisnął zęby.

- I wytrzymał pan ponad dwadzieścia miesięcy, nie budząc podejrzeń! - kontynuował Tycki. - Cóż za talent aktorski! Cóż za motywacja! - zawołał z emfazą. - I jaka szkoda... - zawiesił głos. - Że szeroka publiczność się o tym nie dowie... Wszak to temat dla Hollywood. Miłość i poprawność polityczna w jednym...

- Co zamierzasz, łajdaku!

- Panie profesorze, jeśli łaska, panie Pawle, bo tak pan ma na imię, prawda? Otóż, muszę stwierdzić, panie Pawle, że tragicznie zaniedbał pan autoreklamę. Prawdziwych gejów unikał pan z oczywistych względów, więc w tym środowisku nikt pana nie zna. Z kolei od starych znajomych się pan odsunął. To zrozumiałe, zważywszy okoliczności, tylko że teraz, jak to mówią, znikąd pomocy... Zatem sugerowałbym trochę więcej szacunku wobec swojego pana życia i śmierci.

Paweł splunął Tyckiemu pod nogi.

- No tak. - Ordynator kiwnął głową. - Nie mogę zapominać, że z pana prawdziwy twardziel. Co prawda, trochę za bardzo angażuje się pan emocjonalnie i działa zbyt szybko, bez planu i asekuracji, ale za to prawdziwe poświęcenie nie jest panu obce. Jednak łatwo sobie z tym poradzimy...

- Co z Heleną?! - krzyknął Paweł, by ukryć przerażenie.

- Zobacz ją pan we właściwym momencie. Teraz zechce pan wziąć udział w małej, tradycyjnej, etnicznej ceremonii... - Tycki cofnął się i zniknął. W zamian z ciemności wychynęła druga biała zjawia w szpitalnym fartuchu.

Paweł poczuł na ramieniu ukłucie zastrzyku. Nie mógł zrobić nic, by temu zapobiec. Potem wszystko wokół zaczęło falować. Narkotyk jednak nie pozbawił go świadomości. Miał kłopoty z percepcją i orientacją w przestrzeni, ale wola go nie opuściła. Mógł przynajmniej w głębi duszy sprzeciwiać się temu, co z nim robią.

Weszło kilkanaście osób w szpitalnych piżamach. Otoczyli Pawła kręgiem i zaczęli monotonicznie śpiewać, czy raczej skandować, kołysząc się na boki. Do taktu wymachiwali gałązkami. Nie dało się rozpoznać rośliny. Potem pojawił się prawdziwy szaman, ubrany w... - szczegóły stroju mąciły się w oczach Pawła - jakieś tasiemki, jakieś dzwoneczki, grzechotki... Twarz ukryta pod maską... Ta maska... Była pomarszczona... jak kora mózgowa... węże... albo jelita...

Szaman tańczył przed Pawłem i śpiewał w niezrozumiałym języku, ale o niepokojąco znajomej intonacji, co chwila rzucając na żar jakiś proszek, który spalał się, wydzielając gęsty dym o ziołowym zapachu. Dopiero ten dym zaczął naprawdę odbierać Pawłowi zmysły. Śpiew i skandowanie przybierały na sile, ich rymy łączyły się w jeden, jakby słowo „choź!", wymawiane na różne sposoby. Podłoga się zapadała, jakby otwierała... Coś było pod nią... Coś bardzo głębokiego... W tej głębi coś było... tam coś... jakby... jelita... Na pewno jelita! Nie można ich było zobaczyć, ale się wiły. I były czarne, na pewno czarne... Rozwijały się w górę. Zbliżały do Pawła, a on nie rozumiał, czemu w nie spada ani czemu nie czuje wstrętu, choć chyba powinien. Śpiewna inkantacja uderzała jak fale krzyku z góry, z boku, z przodu, z każdej strony. Przywoływała te jelita, jakby je podnosiła...

Nagle wszyscy zamilkli. Do kręgu wszedł profesor Albert Tycki w białym fartuchu.

- *De profundis clamavo!* - zawołał donośnym głosem, podnosząc obie ręce, tak jakby podnosił dużą i ciężką pakę. - Z otchłani wzywam cię!!! - powtórzył z wielką mocą po polsku i wycofał się z kręgu.

Jelita drgnęły, uniosły się szybko i oplątały Pawła, a właściwie tylko jego mózg. Tak to czuł. Kiedy jednak sprzeciwił się temu wrażeniu, jelita natychmiast się cofnęły. Szaman i ludzie z gałązkami krzyknęli zachęcająco, zupełnie jakby to widzieli, jakby byli kibicami... Jelita znów weszły w umysł Pawła, tym razem bardziej zdecydowanie. Stawił im opór, a wokół wybuchła wrzawa jak na meczu bokserskim. Krzyczał szaman, jeden przez drugiego wrzeszczeli ludzie w piżamach. Wyraźnie krzyczeli do jelit, zachęcali je...

Paweł drugi raz wypchnął je ze swego umysłu, a potem po dłuższej i bardziej męczącej walce po raz trzeci. Nie wiedział, co się dzieje i czemu to robi, ale instynkt i intuicja zgodnie mówiły mu, że tak robić powinien i nie ustawać. Uparcie wyteżał więc wolę i już czuł, jak czarne jelita zaczynają się wahać...

Zebrani zamilkli po raz drugi i rozstąpili się. Ktoś się zbliżał. Ktoś znajomy... Paweł wyteżył wzrok.

To była Helena.

Zupełnie naga, pokryta fluoryzującymi czerwono, zygzakowatymi liniami. Niosła mszalny kielich. Patrzyła na Pawła zimno i zdecydowanie.

- Pij! - rozkazała, przyciskając mu naczynie do ust.

Chyba jej też powinien się sprzeciwić, tak czuł, ale nie znalazł w sobie dość woli. I ty, Heliś, przeciw mnie...?! Opadła go rozpacz, której nie zdołał opanować. Zaczęło mu być wszystko jedno. Już nie warto...

- PIJ!!! - powtórzyła kategorycznie.

Posłusznie pociągnął łyk i przelknął. Czarne jelita jak lawina węzy runęły do jego mózgu...

Zmętniałe, ale żywe i ludzkie oczy Pawła nagle stały się puste. Zmiana wyrazu była tak głęboka i gwałtowna, że Helena wypuściła z rąk kielich. Potem jednak stało się coś jeszcze gorszego. Ciemne i puste studnie oczu jakby straciły dna, pojawiła się w nich porażająca głębia, a w tej głębi błysnęła niepojęta, obca inteligencja i spojrzała tak bystro...

Helena krzyknęła przeraźliwie i zaczęła się cofać, przyciskając dłonie do ust.

Ktoś wylał na żar wodę z laboratoryjnej kolby. Zapalono światło.

- Terapeuci, proszę odprowadzić pacjentów do pokoi! - rozległ się energiczny i władczy głos Tyckiego. - Proszę wywietrzyć salę! Panie Rybiec!

Informatyk podbiegł truchtem do szefa i zamarł w ukłonie.

- Ma pan nowego pomocnika! Jutro rano w salacie słownej Edka pojawią się kolejne ważne wskazówki. Proszę niczego nie przeoczyć! W południe oczekuję raportu o dalszym postępie prac.

- Tak, panie profesorze! - Rybiec wycofał się, nie podnosząc oczu.

- A tego na salę katatoników. - Tycki wskazał znieruchomiłego na noszach Pawła, do którego natychmiast podeszło dwóch sanitariuszy. - Ją też wyprowadzić - skinął na skuloną pod ścianą Helenę, która w milczeniu gryzła własną pięść.

Ordynator Tycki podniósł z podłogi liturgiczny kielich i podszedł z nim do czarnej postaci, wciśniętej w najdalszy kąt sali.

- Dziękuję za pożyczenie.

Kapelan kurczowo przycisnął naczynie do piersi, patrząc gdzieś w bok.

- Ta mała jeszcze mi się opiera... - powiedział z zadumą Tycki, spoglądając na wywlekaną przez sanitariuszy Helenę. - Ale czyni postępy i z pewnością wszystkiego się nauczy. Tak jak ty, klecho...

- Nie da się tego ukryć... - wybełkotał kapelan jakby do siebie.

- Ależ skąd! Tu wszystko jest proste i logiczne. Dwoje młodych ludzi odnalazło siebie nawzajem w okrutnym świecie i zamieszkali razem, by nieść sobie pomoc i wsparcie. To wzruszające. Niestety, zły los, a konkretnie ich psychiczne cierpienia wzięły górę. To jeszcze bardziej wzruszające. Ona została owładnięta ciężką nerwicą natręctw, a on wskutek stresu spowodowanego jej stanem zapadł na ostrą, śmiertelną katatonię... Jakie to smutne! Tacy młodzi, zdolni i wrażliwi ludzie... Dziś już takich się nie spotka.

- Nie boisz się... profesorze...

- Czego, klecho? Boga czy ciebie? Ten, który właśnie do nas przybył, jakoś Bogiem się nie przejmuje i ma się całkiem dobrze. Jak wielu mu podobnych, zresztą. A ty, klecho... Sam przecież wiesz, wszak już poznałeś samego siebie, prawda? Nie potrafisz dać świadectwa prawdzie. Nie masz na to dość woli i charakteru. Jesteś tylko tchórzliwym niewolnikiem, zdolnym najwyżej do resentymentów pod moim adresem. Odeszły czasy męczenników. A może tych czasów nie było nigdy? Może to tylko mity i legendy, wymyślone przez i dla takich mięczaków jak ty, ku pokrzepieniu ich nikczemnych serduszek? Cóż, klecho, w pokorze i posłuszeństwie cię wychowywano i formowano. Do pokory i posłuszeństwa cię przyuczano i tresowano. Ja cię tylko przejąłem... A jak tam twoja spowiedź u księdza biskupa? Powiedziałeś mu, co kazałem?

- Tak... profesorze...

- Biedny ksiądz biskup... Taki ciężar na jego barkach! I co zalecił?

- Bym się za ciebie modlił... profesorze... i za siebie...

- Ależ proszę! Módl się do woli. Możesz mnie nienawidzić lub miłować, wszystko jedno, wmawiaj sobie, co chcesz. Jednak ciebie ksiądz biskup już stąd nie odwoła, bo złamałby świętą tajemnicę spowiedzi, prawda? Jesteś moją gwarancją i certyfikatem. Moją pewnością! I to nie od dziś... Wszak dopiero łamiąc twoje uwarunkowanie, zyskałem pewność, że moja wola mocy jest dość silna, by okiełzać naszych przyjaciół z zaświatów. Zatem pamiętaj, klecho!

- Co... profesorze...

- Płowa bestia to ja!



## 4. LINIE ŚWIATA

Miał przed sobą otwarte księgi przeszłości, terażniejszości i przyszłości. Mógł z nich czerpać do woli, lecz wiedział, że to tylko złudzenie wszechwiedzy. Przyszłość była dowolna w granicach swych możliwości, przeszłości stale ubywało - tym bardziej, im głębiej sięgnąć, upodabniała się do przyszłości. Mit przeszły i mit przyszły miały jedną istotę. Teraźniejszość też była mocno obwarowana całymi hierarchiami warunków, częstokroć niemożliwych do spełnienia i obejścia. Wiedział o tym wszystkim, więc w kłębiących się wokół falach niezachwianej pewności, zachwytu i błęgiego uniesienia zachowywał spokój i roztropność. Bez pośpiechu przeniknął burzę śpiewających tęczy i kolorowych szumów, mijając wirujące, lecz jałowe olśnienia. Przeczekał zmysłowy chaos i pozwolił wizjom rozwinąć się w nieskończone, papuzio-kolorowe wstęgi wibracji, złożone z nieskończone cieni i długich nitek czasu i energii, które wibrowały na przemian barwą lub dźwiękiem. Śpiewające linie świata rozbiegały się przed nim w rozstaje przemijania, znacząc miejsca, gdzie górę wzięły entropia i rozpad. Albo zbiegały się w pęk nowego życia i nowych zdarzeń. Jedno, równocześnie obok drugiego, stale, bez końca.

Sunał jednocześnie obok nich i nad nimi, przemieszczając się wzdłuż granicy pomiędzy szerokością, wysokością a hiperwysokością, stale przesuwając punkt obserwacji z trzeciego wymiaru do czwartego. Uważnie śledził fakturę linii świata, ich przemiany i zbliżenia. Szukał charakterystycznych wypaczeń, pochodzących z innych wymiarów. Tropił istoty pragnące się wdrzeć tam, gdzie nie było dla nich miejsca. To była jego praca, przeznaczenie i powołanie.

Pierwsze nowe skrzywienia dostrzegł, gdy tylko wypogodziło się wewnętrzne sensorium. Zaniepokojony podążył ich śladem. Linie świata zaczęły wykazywać nieciągłość względem normalnej czasoprzestrzeni. Łamały się nagle ostro w kierunku Zwiniętych Wymiarów, uciekały w nie i wracały, pozornie w tym samym miejscu i chwili, ale ich ukryta trajektoria tworzyła nieomylny znak, że Ktoś lub Coś znów wchodzi w rolę Parek i próbuje Tkać. Tworzyły się labirynty, mandale i swastyki. W przeciwieństwie do naturalnej płynności ruchu zdarzeń, te układy byty bardzo precyzyjne, miały ostre krawędzie, symetrie, proste kąty i regularne łuki, a ich wielowymiarowe formy rzutowały się w zwykłą przestrzeń skokowo, z coraz to innej strony, przez co wydawały się statyczne i zmienne zarazem. Głosiły, że stworzył je Rozum, nie Natura. Kusily ludzką ciekawość. Były wizytówkami i szyldami nieobliczalnych inteligencji, przed którymi zawsze należało się mieć na baczności. Mogły być bowiem przyjazne lub nie, ale zawsze pragnęły dominować. Uparcie naruszały granice Rozwiniętych Wymiarów, szukając możliwości utworzenia w nich swoich dominiów. Widać u siebie, w Zwiniętych Wymiarach było im za ciasno.

Znaki nieprzypadkowo były podobne do tych, które zdobiły starożytne amulety i talizmany wszystkich kultur. Widywano je wszak od tysiącleci, tylko interpretowano bardzo różnie. Wskazywały znajome miejsca, jednak dziś były ostrzejsze i żywsze. Krawędzie wielowymiarowych swastyk i pentagramów wręcz rozrąbały linie świata, których ciągłość stawała się coraz bardziej iluzoryczna, aż wreszcie tworzone przez nie łańcuchy przyczynowo — skutkowe musiała naznaczyć destrukcja.

Znowu... Dostrzegł świeżą wyrwę w tkance rzeczywistości, otoczoną splątanymi supłami linii świata. Niektóre z nich osunęły się w ciemne wymiary i jeszcze nie zdążyły powrócić. To już nie była zwykła, heisenbergowska fluktuacja ciągłości, ale aktywny stan ontycznie nieustalony, otwarta rana czasoprzestrzeni... Owszem, w końcu się zablizni, ale za jaką cenę? Jakie zdarzenia wygenerują linie świata wciągnięte w grę Nieznanego?

Ostrożnie zbliżył się do uszkodzenia, a potem udał, że się oddala, bacznie je obserwując. Kolejny demon mościł się w zaburzeniu czasoprzestrzeni. Wezwano bestię, zapewniono jej pokarm i możliwość działania... Kolejny raz! Mimo gniewu zachował bezpieczny dystans, nie przeceniał swych sił. Nie teraz. Z uwagą obserwował kłębowisko poszatkowanych łańcuchów przyczyn i skutków, w którym twory chorych umysłów przenikały się i mieszały z poczynaniami nadnaturalnych istot w sposób niemożliwy do odróżnienia. Demony kryły się w gnieździe uwitym z szaleństwa.

Nagle zauważył wibrację słabego sprzeciwu. Jeden pęk linii świata usiłował się wyrwać z matni. Widocznie poruszała nim czyjaś stłamszona, lecz jeszcze aktywna wola. Nieco z boku, z dala od jądra niewidzialnego, zastygłego w pozornym bezruchu chaosu. Może to pułapka? Zmienił wymiar obserwacji. Nie. Kolejne przerzutowanie. Też nie. Uznał, że może zaryzykować i zaczął zbliżać się do zniewolonej istoty.

Linie świata zaczęły łączyć się w coraz grubsze pęki, a te w kształty, ujawniając coraz bardziej złożone struktury. Stopniowo wznosił się ku coraz większej złożoności, aż zaczęły wyłaniać się z niej wizje rzeczywistych obiektów. Zobaczył stary budynek kliniki psychiatrycznej im. Andrzeja z Kobylina. Ciemne okno na trzecim piętrze. Wpłynął w nie razem z falą kwantów światła księżyca.

Na łóżku, zwinięta w pozycji embrionalnej leżała dziewczyna w szpitalnej koszuli. Delikatnie, tak aby nie poruszyć żadnej myśli, wszedł w jej umysł. Myślała o ucieczce. Nie miała planu, wystarczającej odwagi ani siły, ale pragnęła wyzwolenia. Nie porzucała tego marzenia. To wystarczyło, by podjął decyzję.

- Wstań i idź! - usłyszała Helena w swej głowie. Głos był jej. Zdecydowany, ale łagodny. Dlatego się go nie przestraszyła.

Wstała z łóżka, postąpiła dwa kroki.

- Do okna - polecił głos. - Otwórz je i wyjdź na gzyms.

Wyczuł i stłumił rodzący się w niej strach.

- To stary budynek, ma szerokie gzymsy. Ty jesteś w pokoju gościnnym, w którym nie ma krat. To twoja szansa, wykorzystaj ją!

Stała na gzymsie, oparła plecami o ścianę obok okna. Kurczowo przytrzymała się framugi.

- Spokojnie, dziewczyno, masz dosyć miejsca, by nie stracić równowagi. Możesz spokojnie iść, w prawo, do piorunochronu. Nie zwlekaj. Już!

Gdy dotarła na miejsce, wszedł w jej ciało bardziej zdecydowanie. Wzmocnił wolę, przejął kontrolę nad mięśniami rąk i nóg oraz układem wegetatywnym. Wyzwolił falę adrenaliny.

Helena zacisnęła palce na stalowej linie i porzuciła obawę. Wcale nie jest za słaba i nie musi poranić sobie dłoni. Zaczęła pewnie zsuwać się w dół, tak jakby to robił za nią ktoś inny.

Była wdzięczna i nie przeszkadzała.

Strażnik w dyżurce zobaczył białą zjawę na monitorze kamery przemysłowej. Przesuwała się w dół po ścianie kliniki, pomiędzy pierwszym piętrzem a parterem. Bliżej parteru... Strażnik potrzebował dwóch sekund, aby otrząsnąć się z półsennego ośpienia. Otrzeźwiał całkiem, kiedy zjawa zeskoczyła na ziemię. Ucieczka! Natychmiast uruchomił cichy alarm i przesiadł się do panelu sterowania serwomechanizmami.

Pięć kamer umieszczonych na budynku, drzewach i latarniach, z różnych stron skierowało swe obiektywy na biegnącą Helenę i podążyło za nią, beznamiętnie nastawiając ostrość na bieli jej koszuli.

- Biegnij dziewczyno, biegnij!

Z budynku wypadło czterech sanitariuszy. Nie wiedzieli, w którą stronę pobiegła, więc przystanęli zdezorientowani. Jeden miał jednak krótkofalówkę. Przyłożył ją do ucha, słuchał kilka sekund, po czym bezbłędnie pokazał reszcie kierunek.

Helena pędziła na bosaka przez zarośla, dziwiąc się, że nie czuje ranionych stóp. Kluczyła po ogrodzie, wybierając najgęściejsze miejsca, by ukryć jaskrawą biel szpitalnego stroju. Wtedy jednak zdradzał ją szelest.

- Musisz się dostać do muru! - powtarzał głos.

Zwrócił uwagę na kamery.

W ułamku sekundy ogarnął ich system sterowania. Centralny komputer, zamiast niezależnych selsynów... Tym lepiej! Błyskawicznie odnalazł główny procesor.

Impuls skupionej woli sprawił, że elektrony w kilku bramkach logicznych rozpięzły się jak spłoszone króliki, tunelując przez warstwy zaporowe.

Kamery nie zareagowały na kolejny ruch joysticka. Transmitowane obrazy rozbiegły się we wszystkich kierunkach i znieruchomiały, pokazując nocne niebo, trawę, korony drzew, okna kliniki – wszystko, tylko nie uciekinierkę. W zamian komputer wyświetlił okno z kretańskim komunikatem. Błąd czegoś tam...

- Zawiesił się, kurwa! - zaklął strażnik do krótkofalówki. - Padł system sterowania kamer!

Krótkofalówka zaskrzeczała w odpowiedzi.

- Robi się! - odpowiedział strażnik i chwycił za telefon wewnętrzny.

W drzwiach kliniki stanął ordynator Tycki w otoczeniu nowej grupy sanitariuszy. Dłuższą chwilę ze szczytu schodów wodził wzrokiem za światłami latarek, bezskutecznie szperającymi w parkowych zaroślach. Jego twarz stawała się coraz bardziej mroczna. Poprawił jedwabny szlafrok.

- Proszę przyprowadzić psy i przynieść prześcieradło z jej pokoju! - rozkazał.

Dwóch sanitariuszy natychmiast cofnęło się w głąb budynku.

Mur stanowił naprawdę poważny problem. Miał cztery metry wysokości, a drzewom rosnącym po jego obu stronach obcięto gałęzie, które przechodziły bezpośrednio ponad szczytem. Nie było tu żadnej ławki, nie leżały deski, belki ani żadne większe przedmioty. Przepisów regulaminu przestrzegano sumiennie, a składanej, aluminiowej drabinki, której użył Paweł tym bardziej nie pozostawiono własnemu losowi.

Helena biegła wzdłuż muru, bezskutecznie szukając czegokolwiek, co pomogłoby go sforsować. Wewnętrzny głos milczał.

Psy oduczono szczekania, żeby nie niepokoiły pacjentów. Tylko powarkowały i szarpiąc smycze, z furią drapały ziemię. Pięć wilczurów.

- Zdjąć kagańce - polecił Tycki.

Tym razem jego rozkaz został przyjęty z wahaniem. Strażnik z wynajętej agencji ochrony pytająco obejrzał się na ordynatora.

- To niebezpieczna psychopatka! - wyjaśnił Tycki. - Uduśliła dwuletniego chłopczyka. Jeśli się stąd wydostanie, zrobi to znowu.

Uwolnione psy przez chwilę wyszarpywały sobie nawzajem prześcieradło Heleny, aż rozerwały je na kilka szmat, po czym w głuchoj ciszy pomknęły w głąb parku.

Wreszcie wpadła na pomysł! Musi się tylko przedostać do ogrodu, który zwiedzała podczas pierwszej wizyty w klinice.

- Zuch dziewczyna! - powiedział głos.

Tylko chwilę zastanawiała się, jak tam dotrzeć, po czym ruszyła. Po kilku minutach zobaczyła majaczącą w mroku furtkę do enklawy, w której hodowano trujące rośliny. Można było przejść górą! Pobieгла.

Jeszcze tylko kilkadziesiąt metrów.

Jednak w zaroślach za nią coś się działo! Coś błyskawicznie przedzierało się przez krzaki i było coraz bliżej...

W ciemności nad ziemią dostrzegła błysk ślepi.

Natychmiast rozpoznał niebezpieczeństwo i nie zawahał się. Wszedł w umysł psa prowadzącego pościg i z łatwością zerwał więź pomiędzy jego jaźnią a tożsamością. Przejął instynkt, nakazał eksplodować agresji.

Nagły zwrot i kły rozszarpały gardło najbliższego z towarzyszy. Zaskoczenie i szok były tak wielkie, że drugi wilczur nie próbował się nawet uchylić. Bez krtani i z rozerwanymi obiema tętnicami szyjnymi przebiegł jeszcze kilkanaście kroków, idąc za dotychczasowym tropem.

Następny, nim się spostrzegł, miał zmiażdżoną lewą przednią łapę. Przerażliwy skowyt i skomlenie poniosło się echem po szpitalnym parku. Pozostałe dwa wilczury nic z tego nie rozumiały, ale zareagowały prawidłowo, rzucając się na renegata. Zakotłowali się w wirze pierwotnych instynktów.

Dobrze jest być drapieżnikiem! Jego myśli były czyste i jasne, a smak i zapach krwi zachwycały. Atakował w całkowitej jedności ciała i umysłu. Własne rany tylko wzmagaly to uczucie pełni. Ciał zębami raz po raz, głęboko, dociskając szczęki do końca i czując, jak jego kły ryją bruzdy w kości. Tamte dwa były głupie. Potrafiły radzić sobie z bezbronnymi ofiarami. Teraz zupełnie się

pogubiły. Zamiast rwać gardło, próbowały chwytać go za uszy. Poświęcił je bez namysłu. Podobnie jak płaty skóry w okolicach genitaliów. W zamian wygryzł jednemu oko, a drugiemu rozharatał brzuch, aż do otrzewnej. Wreszcie uciekły z podkulonymi ogonami, zawodząc przeciągle.

Stanął mocno na wszystkich czterech łapach i uniósł w górę łeb. Darował sobie triumfalne wycie, tylko uważnie patrzył przed siebie.

Przez krzaki przedarł się sanitariusz z latarką i omiół światłem pobojuwisko. Śmiertelnie przerażony pies z bezwładną przednią łapą starał się wcisnąć pod korzenie drzew. Drugi leżał w kałuży krwi, zaś trzeci...

...patrzył całkowicie ludzkim, lodowato zimnym spojrzeniem! Ze szczęk ściekała mu ślina zmieszana z krwią.

Sanitariusz poczuł, jak kurczą mu się jądra. Atawistyczny lęk wypełził z podświadomości i wyparł wszystkie rozsądne myśli. Wilkołak!, pomyślał z przerażeniem. Wilkołak!

Upuścił latarkę i rzucił się do ucieczki.

Porzucił psa, który stał się bezradnym i całkowicie zagubionym stworzeniem. Wrócił do Heleny. Właśnie wspinała się na ogrodzenie i niespecjalnie jej szło. Niemal utknęła na wieńczących furtkę ostrzach. Pomógł dziewczynie, po czym pozwolił działać samodzielnie, zgodnie z tym, co sama wymyśliła.

Ogrodnik nie był głupi. Tu też nie było żadnej drabiny, ale były za to wielkie, drewniane ramy inspektów. Najbliższy z nich, dla ochrony egzotycznych sadzonek przed chłodem, został przykryty na noc starym kocem. Helena natychmiast zarzuciła go sobie na ramiona, przestając świecić z daleka szpitalną koszulą. Kolejny inspekt był dopiero w budowie. W ramę jeszcze nie wstawiono szyb. Helena, dziwiąc się własnej sile, wyrwała ją z zawiasów i powlokła w kierunku muru.

Widząc, że dziewczyna dobrze sobie radzi, zostawił ją samą i przemieścił się pod klinikę, skąd ordynator Tycki dowodził pościgiem. Ciągłe istniało ryzyko, że przepłoszony sanitariusz, mimo strachu, mógłby powiedzieć coś, co pozwoliłoby zlokalizować uciekinierkę. Jeszcze mogli ją dopaść, a on nie był w stanie powstrzymać kilkunastu zdecydowanych mężczyzn.

Było gorzej, niż się spodziewał, bo właśnie strażnik z dyżurki meldował Tyckiemu, że w rogu obrazu, przekazywanego przez jedną z unieruchomionych kamer w wewnętrznym ogrodzie, przemknęła jakaś postać.

Wiedział, że ryzykuje, więc musiał być szybki! Skoczył w głąb budynku, znalazł rozchwiany umysł, zapadł weń i szarpnął mocno.

Śpiący pacjent z przeraźliwym krzykiem zerwał się łóżka. Za chwilę to samo stało się z drugim i trzecim, a potem powtórzyło w sąsiedniej sali. Przeważnie schizofrenicy i paranoicy rzucaли się do panicznych ucieczek albo desperacko szukali kryjówek w szafach lub pod łózkami. Inni, by stłumić lęk, zadawali sobie ból. Sobie albo innym...

W klinice narastało lawinowo szaleńcze pandemonium. Na piętrze ktoś metodycznie od środka wytłukiwał szyby taboretami.

Profesor Tycki obejrzał się i zmiał w ustach grube przekleństwo. Decyzję podjął jednak szybko.

- Sanitariusze, proszę wracać do pacjentów! - nakazał.

Było mu przykro, naprawdę współczuł tym ludziom, ale działał w obronie koniecznej. W porę wrócił do dziewczyny. Siedziała już okrakiem na murze i bezskutecznie próbowała podnieść ramę inspektu, po której się wspierała i przerzucić ją na drugą stronę. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zachęcić jej do skoku, ale postanowił nie ryzykować jej zdrowiem i kondycją psychiczną.

Helena poczuła jak wstępują w nią nowe siły. Mocno ścisnęła udami szczyt muru, a plecy i ramiona naprężyły się, jakby pod skórą zagrały stalowe liny. Rama inspektu ze zgrzytem wjechała na górę, zakolebała i osunęła na zewnętrzną stronę. Ustawiła ją pewniej, zeszała po niej na dół i narastającym uczuciem ulgi pobiegła w las otaczający klinikę.

Po chwili jednak, tknięta pewną myślą przystanąła i oderwała od koca dwa pasy tkaniny i ściśle owinęła nimi stopy.

- To nie! - gorączkował się strażnik. - Ta świruska daleko nie ucieknie! Musi pokazać się w mieście, na dworcu, albo będzie łapać okazję przy drodze. Każdy od razu się kapnie, skąd zwiąła! Zaraz zadzwonię na policję i do telewizji...

- Proszę zostawić to nam! - rzucił oschle Tycki.

- No, a dzieciaki?! Trzeba ludzi ostrzec!

Ordynator zaklął w duchu.

- Proszę zostawić to nam! - powtórzył stanowczo. - Pan się na tym nie zna! Jeżeli będziemy naciskać, ona zacznie reagować jak szczur zapędzony do kąta. Pozbędzie się wszelkich zahamowań. Teraz, na jakiś czas napięcie opadnie, poczuje się bezpiecznie i będzie mniej czujna. Wiemy, gdzie jej szukać.

Strażnik zdjął czapkę i podrapał się w głowę.

- Skoro pan tak uważa, panie profesorze...

- Proszę wracać na swoje miejsce. I niech pan nie sądzi, że zapomnę o kamerach, które zawiodły właśnie wtedy, kiedy były najbardziej potrzebne. Pańska agencja drogo mi za to zapłaci! Strażnik odszedł jak zmyty. Przy Tyckim pozostała tylko jedna osoba. Magister Sewczyk.

- Co zrobimy, mistrzu? - zapytał z szacunkiem farmaceuta.

Tycki długą chwilę smakował gorzyc porażki.

- Kamery się zepsuły, psy tropiące oszalały, pacjenci dostali zbiorowej psychozy... - wyliczył powoli. - To nie przypadek.

- Czyżby nasz stary znajomy...? - domyślił się Sewczyk. - Jeżeli on, to dziewczyny już nie złapiemy.

- Tak - skinął głową Tycki. - On. Zerwał nasz niepisany rozejm...

- Panie doktorze! Profesorze!!! - zawołał ktoś bardzo zdenerwowany w głębi budynku. - Proszę natychmiast przyjść! Pacjenci budują barykadę!

- Chodźmy! - Ordynator ruszył do wejścia. - Musimy na razie ugasić ten pożar umysłów. Z tamtym policzymy się później.

Na błękitnym tle wykwitła plamka czerwieni.

Zaczęła się rozszerzać, pochłaniając błękit, ten jednak niespodziewanie pojawił się znowu w samym centrum czerwonego koła i zaczął je łapczywie pożerać od środka. Po chwili czerwień tworzyła już tylko zwężający się coraz bardziej okrąg. Gdy wydawało się, że ten całkiem zniknie, nagle trzy czerwone kropki wyskoczyły w samym sercu błękitu i zaczęły pochłaniać go bezlitośnie, idąc w sukurs ginącemu czerwonemu kołu. Błękit kontratakował z boku, całą falą, deformując czerwony krąg i wgniatając go do środka, ale napierająca masa błękitu podzieliła się natychmiast na trzy części, rozdzielone czerwonymi półksiężycami. Ledwie te zdążyły się trochę bardziej rozszerzyć, zaraz pojawiły się na nich wżery błękitu...

Wszędzie tam, gdzie jeden z kolorów zyskiwał chwilową przewagę, natychmiast w środku opanowanego pola pojawiał się drugi.

Helena oprzytomniała i rozejrzała się dookoła.

Leżała w nieznanym mieszkaniu, na niepościelonym łóżku, okutana w przeraźliwie brudny, cuchnący stęchlizną koc. Dwa zabłocone kawałki podobnego koca owinięte były wokół stóp. Poza tym miała na sobie tylko długą koszulę nocną, a raczej jej strzępy, też strasznie wybrudzone ziemią i trawą. Brudne łydki i dłonie, te ostatnie pełne świeżych odcisków. Paznokcie miała połamane, z tego dwa zdrowo naderwane, pewnie zejda. Kiedy przegarnęła włosy, stwierdziła, że pełno w nich pajęczyn i sosnowych igieł. Miała wrażenie, jakby przejechał ją walec drogowy, ale nie ten z gładkimi bębniami do wyrównywania asfaltu, lecz taki z zębami do ubijania kruszywa.

A mimo to czuła się dobrze! Nie przeszkadzało jej, że nie ma na sobie majtek. Ta myśl ledwie ją obeszła. Ciekawsze było, gdzie jest i skąd się wzięta?

Nagle kroki, szcęk klamki i w progu pokoju stanął mężczyzna ze szklanką mleka w dłoni. Miał długie, brązowe włosy do ramion, piwne oczy. Wysoki, szczupły, prawie żyłasty trzydziestolatek - pod skórą odkrytych ramion wyraźnie rysowały się mięśnie. Ubrany w ciemnozielony T-shirt i stare dżinsy, popstrzone licznymi śladami chemikaliów.

- Witaj znowu! - powiedział trochę ochryplym, bardzo męskim głosem i podszedł bliżej.

Helena usiadła na łóżku, obejmując kolana rękami. Spojrzała wyczekująco.

- Jestem Alef - oznajmił. - Pamiętasz mnie?  
Pokręciła przecząco głową.

- Ty jesteś Helena, to już zdążyłaś mi powiedzieć. - Siadł obok niej. – Ale nie przejmuj się, masz potężną niepamięć wsteczną...

- Alef...? - odezwała się wreszcie. - A dalej?

- Po prostu Alef, na cześć nieskończoności. Ile razy jeszcze mnie o to zapytasz?

- Jak długo tu jestem?

- Trzeci dzień. Prawie cały czas spałaś.

- Skąd...?

- Pomogłem ci uciec od Tyckiego.

Dźwięk tego nazwiska uderzył jak młot, wyłamując drzwi pamięci. Ze zduszonym krzykiem szarpnęła się do tyłu.

- Spokojnie... już dobrze... - przemówił bardzo łagodnie. - Jesteś bezpieczna...

Wspomnienia eksplodowały jedno po drugim, nie mieściły się w świadomości, tłamsiły ją, wstrząsały i porażały. Zadygotała, przeżywając znów cały koszmar w ułamku sekundy.

Odruchowo uciekła wzrokiem w kierunku gry czerwieni i błękitu.

Akurat na fragmencie dużego, czerwonego łuku powstały w równych odstępach cztery kręgi błękitu. Potem w ich wnętrzu, przy obwodzie pojawiły się znów plamy czerwieni, których krawędzie naznaczyły płatki błękitu... Tym razem walka kolorów rozgrywała się w coraz bardziej zmniejszającej się skali, aż do granicy rozdzielczości ludzkiego oka i zapewne znacznie dalej... Całość tworzyła dziwnie znajomy kształt... Helena zaczęła gorączkowo szukać w głowie nazwy. Pozwalało to wyrwać się z traumy wspomnień, utrzymać ją na dystans. To fraktal!, skojarzyła wreszcie, zbiór Mandelbrota! Żadna halucynacja! Dopiero teraz dotarło do niej, że nieustająca wojna dwóch kolorów rozgrywa się za wiszącą na ścianie, szklaną szybą, oprawioną w hermetyczne, plastikowe ramy. Od dolnej krawędzi odchodziły trzy rurki z tworzywa sztucznego, biegnące do małej szafki, w której coś nieustannie szemrało. Patrzyła po prostu na wymyślny, ruchomy obraz.

- To reakcje Bielousowa-Żabotyńskiego - wyjaśnił Alef, podążywszy wzrokiem za jej spojrzeniem. - Siarczan ceru trzy, bromian sodu, kwas malonowy i siarkowy. Kinetyka ich wzajemnych przemian podlega prawom chaosu, stąd te zmiany kolorów. To jedyny znany przykład atraktora chemicznego.

- Jesteś chemikiem? - spytała.

- Też - odparł zadowolony, że zaczęła otrząsać się ze złych myśli. - Zorganizowałem wszystko tak, by reakcje bieging bez końca - kontynuował wyjaśnienia. - Tam, na dole, w tej szafce jest układ do elektrolizy i membranowej jonoforezy, który przekształca produkty z powrotem w substraty, a pompka tłoczy je z powrotem pod szybę. To taka zabawka.

- Ładne - stwierdziła po długim namyśle.

- Uspokaja - dodał. - Chociaż można też trochę podkręcić...

- Nie, tak jest dobrze.

- Na pewno dobrze?

Oddechnęła głęboko.

- Znacznie lepiej.

- Wypij mleko. - Podał jej szklanke.

Skrzywiła się po pierwszym łyku, spojrzała z niepokojem.

- Z czym ono jest?!

- Dodałem wyciąg z mniszka lekarskiego, znaczy dmuchawca. Działa moczopędnie. Powinnaś możliwie szybko pozbyć się tego, co masz we krwi i wątrobie.

- Dawali mi narkotyki?

- Konkretnie psylocybinę, ale to mały pikus.

- Coś mi się po niej przypomniało... - szepnęła blednąc - ...i potem dostałam nerwicy natręctw...

- Nikt nie dostanie nerwicy natręctw po samej psylocybinie - Alef pokręcił przecząco głową. - Do tego potrzebne są jeszcze poważne, organiczne uszkodzenia kory mózgowej. Jako podkład zaaplikowali ci więc ołów i rtęć, same najpaskudniejsze, metaloorganiczne kompleksy z grupami etylowymi...

- Skąd wiesz?

- Znalazłem w twoim moczu. Nasiusiłaś do nocnika jak grzeczna dziewczynka...

- Nie pamiętam, jak uciekłam, ani jak tu trafiłam.

- Nie dziwię się - mruknął. - To bardziej moje wspomnienia... Ale pij mleko! To ciągle najskuteczniejsza odtrutka na metale ciężkie. Zatrucie nie jest przewlekłe, więc twoja kora mózgową powinna się szybko pozbierać. A dla osłony nerek chyba ci coś dawali. Jakie to było wspomnienie? - zmienił temat. - To, które wyzwoliło nerwicę?

Helena poczerwieniała. Odstawiła pustą szklankę na stolik przy łóżku.

- Gwałt... - zdecydowała się jednak na szczerość. - Ciągle musiałam pracować majtki...

- Zatem, zaburzenia seksualne - myślał głośno. - To się też powinno jakoś ułożyć, ale dobrze, że się nie spóźniłem! Jeszcze tydzień pod wpływem tego koktajlu, a stwierdziłabyś, że wyrosły ci w pochwie zęby i odczuwałabyś nieodpartą potrzebę, aby trzy razy dziennie myć je szczoteczką...

Spuściła głowę.

- Dlaczego oni, ze mną, tak... Pamiętam tę straszną ceremonię! - wzdrygnęła się znowu.

- Sam się dziwię - odparł oschle. - Powinni cię od razu zabić. Widać profesorowi Tyckiemu zebrało się na żarty.

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Ty chyba naprawdę nie wiesz, w co się wpakowałaś? - Pokręcił głową z politowaniem. - I mnie przy okazji... Kurcze, jakoś tam z Tyckim znosiliśmy się nawzajem, kohabitacja, równowaga dobra i zła, jak to mówią, a tu masz placek z babą! - wybuchnął. - Piękna Helena i druga wojna trojańska... Bardzo, ale to bardzo, jestem ciekaw, czemu zawdzięczam obsadę w tym remake'u z Homera?!

- Ja..

- Może, zanim mi wszystko dokładnie opowiesz, chciałabyś się umyć i przebrać? - wpadł jej w słowo. - Powiedz, jakie ciuchy mam ci kupić? Tylko dokładnie, tak, żebym nic nie pokręcił, zwłaszcza przy bieliznie. Nie chcę wyjść na Odysa-fetyszystę!

## 5. OPCJA JEREMIASZA

- Mówi ci coś powiedzenie: głupia jak blondynka? - zapytał Alef, gdy Helena skończyła opowiadać. Nie znać było po nim śladu współczucia, przeciwnie sprawiał wrażenie, jakby zaraz miał odesłać ją z powrotem, zapakowaną w worek z kokardką, plus butelka koniaku i list z przeprosinami.

Zapadł zmierzch, nie zapalili światła. Dziewczyna siedziała w cieniu, więc nie zauważył jej reakcji.

- Naprawdę nie dał ci do myślenia fakt, że globalny koncert potulnie zszedł Tyckiemu z drogi?

- Myślałam, że się nie zorientowali, że nie wiedzą... - głos jej drżał.

- Zatrudniają półtora miliona ludzi na wszystkich kontynentach. Sądzisz, że oni wszyscy są głupszy od ciebie? Owszem, management średniego szczebla to w większości, jak wszędzie, gnoje i karierowicze. Wiedzą tylko, jak się podkłada świnię i przewala naiwniaków, marzących by dać z siebie wszystko i zostać docenionym. Jednak wyżej siedzą już prawdziwe mózgi, którzy tymi cwanyymi pogrywają jak na szachownicy, pewnie w go, bo na dodatek to były Japońce. Wiesz, tacy skośni goście z tradycyjnym przerostem honoru, kodeksem bushido i sushi z kamikadze!

- Proszę, nie kpjij... - powiedziała potulnie.

Z rezygnacją rozmasował sobie potylicę.

- Na pewno wiedzieli - powiedział łagodniejszym tonem. - Bez wątplenia Tyckiemu zależało, aby się dowiedzieli, więc jeśli nawet nie zakumali od razu, to długo ich w niepewności nie trzymał. I cóż oni na to? Zauważ, organizacja o sile ekonomicznej dużego państwa, ale lepiej zorganizowana, zdolna wystawić armię tak liczną i nowoczesną, że kraj typu Polska powalczyłby znów góra miesiąc. Ale po co podbijać, skoro można kupić nieuszkodzone... A na wścibskiego profesorka w zupełności starczy wynająć specjalistę od nagłego zawału, wypadku samochodowego, zaccadzenia... Jedyne, co mogło ich powstrzymać i powstrzymało to świadomość, że ów profesorek ma lepszych specjalistów od tych klocków... Zresztą, kto wie, może i w pierwszym odruchu wynajęli jakiegoś cyngla, ale ten zaraz wpadł w depresję, bo ileż można na zimno zabijać ludzi? Człowiek jest tylko człowiekiem i skutkiem wyrzutów sumienia strzelił we własny łeb... Potem temu najbardziej zawziętemu z zarządu firmy pękł nagle tętniak – wiadomo, złość żyłom szkodzi, itd. Więc co oni na to? Zareagowali prawidłowo i wysłali



przelew, gdzie trzeba. Dwie bomby atomowe czegoś ich nauczyły. Poza tym konkurencja nie śpi i po co sobie psuć interesy?

- Kiedy w klinice mogli się zorientować, że ja...?
- Od razu, kiedy pierwszy raz tam zadzwoniłaś.
- Jak?!

- To długa opowieść. W każdym razie, skoro słowo psychowirusy już ci coś mówi, dodaj do kolekcji jeszcze jeden termin: psychiczne hakerstwo. Tycki musiał być tak ubawiony twoją naiwnością i tupetem, że nie zareagował jak zwykle. Po prostu go osłabiłaś... A propos! Nie dzwoniłaś stąd nigdzie, jak kazałem?

- Nie jestem blondynką!
- Naprawdę?! OK, wierzę ci, bo jeszcze żyjemy... W sumie, to nawet dobrze, że nie zawiadomiłaś redakcji o swych planach. Oszczędziłaś życie wielu niewinnym ludziom i sobie zresztą też.
- Jak?

- Brukowce mało kto lubi. Patriotyczny męczennik z bombą, protestujący przeciw obcemu kapitałowi albo biznesmen z UZI, doprowadzony przez wasze publikacje do bankructwa... Oczywiście najmniejszych powiązań z Tyckim i kliniką. Albo katastrofa budowana... Tak czy owak, ty i pozostali wtajemniczeni, zupełnie przypadkiem na liście ofiar. Potem opinia publiczna głęboko poruszona dyskusją na temat granic wolności mediów lub nieodpowiedzialnego cięcia kosztów w budownictwie i na koniec umorzenie śledztwa z braku dowodów. Zrozum, że ty i ten twój Gosiek stanęliście na drodze rozpędzonego tira!

- Musimy go ratować! - zawołała.
- Nic już nie możemy dla niego zrobić.
- Przecież on żyje! Leży na sali katatoników!
- Przykro mi. Katatonia w klinice Tyckiego znaczy dokładnie tyle, co podwójny ślad ukąszenia na szyi... Różnica jest taka, że diagnoza ostrej katatonii nie budzi tak jednoznacznych skojarzeń. Twój przyjaciel został złożony w ofierze i pożarty przez demona, ściślej mówiąc; wyspany przez psychicznego wampira. Świadomość tego chłopaka przestała istnieć, jest już martwy, tylko jego układ vegetatywny dowiadyuje się o tym stopniowo.

Helena ukryła twarz w dłoniach. Załkała.

- Więc ja...
- Tycki posłużył się tobą, żeby przełamać opór jego woli.
- Gosiek mnie kochał... - stwierdziła ze zdumieniem. - On wcale nie był... O Boże, jaka jestem głupia!

Alef powstrzymał się od komentarza.

- Widziałam to w jego oczach, nim zginął... - mówiła roztrzęsiona. - Rozumiałam, że dzieje się coś strasznego, tylko nie wiedziałam co... Wtedy postanowiłam uciec...
- Jego miłość cię ocaliła.

Wybuch rozpacz, histeria byłyby całkiem na miejscu, ale nic takiego nie nastąpiło. Helena zamilkła na chwilę, po czym z sykiem wypuściła powietrze przez zęby.

- Chcę go pomścić! - zawołała z furją. - Tycki musi za to zapłacić!
- Czemu nie jestem zaskoczony...? - westchnął ciężko Alef. - Znaczą, teraz ja mam wyjść na autostradę i przyjąć tira na klatę?
- Przecież ty... - Oczy Heleny błysnęły w mroku. - Czekaaj, no! A co ty właściwie masz wspólnego z Tyckim i moją ucieczką?! Nie pamiętam, ale musiałam poradzić sobie sama! Ty mnie tylko znalazłeś w lesie...

*Niezupełnie tak było* - powiedział bez stów, wewnątrz głowy Heleny, po czym wycofał się natychmiast, rejterując przed falą jej woli, która uderzyła jak mentalne tsunami.

Helena aż zatrzęsła.

- Nigdy więcej tego nie rób! - krzyknęła rozdygotana. Trudno określić, czy była bardziej wściekła, czy bardziej przerażona.

- Spokojnie... Już dobrze! - Uniósł do góry obie ręce. - Wyluzuj...
- Nigdy więcej! - cedziła.
- Jesteś już uprzedzona, więc mi się nie uda - powiedział uspokajająco. - Chyba że za twoją zgodą... Tego nie da się robić wbrew woli osoby zainteresowanej. Trzeba być dyskretnym i

naśladować jej własne myśli...

- Więc kiedy uciekałam...?
- Wspomagałam cię moją wolą i siłą, ale mogłem to zrobić, bo tego chciałaś.
- To telepatia?
- Raczej teleportacja kwantowa, szczegóły zostawmy na później.
- Oni tam ze mną, w klinice... też?
- Tak.
- Boże, co tu się dzieje?! Czy ja ciągle jeszcze majacze?
- Nie. Witaj w realnym świecie! A dokładniej mówiąc, w świecie o poszerzonej rzeczywistości... Dzień dobry!
- Tycki?
- Jest kimś w rodzaju złego czarnoksiężnika. Nowoczesny, XXI-wieczny model...
- A ty? Jesteś tym dobrym magiem?
- Raczej szamanem, jeśli już. Ja prowadzę mały warsztat rzemieślniczy, Tycki to duże przedsiębiorstwo i mamy dokładnie przeciwne biznesplany... Skoro już to wiesz, powiedz, jak zamierzasz się mścić? Tylko nie bądź blondynką i nie mów, że poradzisz sobie sama.
- Ty sobie z nim poradziłeś, kiedy mnie stamtąd wyciągnąłeś - zauważyła.
- Działając z zaskoczenia i w dużym pośpiechu. Za to teraz mam przegwizdane, jak ruski parowóz. Tycki nie ma zwyczaju przyjmować przeprosin...
- To chyba dla mnie lepiej, prawda? Skinął głową.
- Oszczędza pokus.
- Więc powinnam odpuścić i ukryć się gdzieś?
- Znajdzie cię. Ty też masz przegwizdane.
- Więc co?
- Wybaczyć mu z całego serca i popełnić samobójstwo. Będzie mniej bolało.
- Nie zgrywaj się!
- O bólu mówiłem serio.
- To znaczy?
- Tycki jest moim wrogiem - odparł poważnie Alef. - Między nami nigdy nie było i nie będzie pokoju. Jeżeli dotąd był pokój pozorny, to dlatego, że Tycki jest zbyt potężny, jak na moje możliwości. Jednak korzystam z każdej okazji, żeby mieszać mu szyki. Ty jesteś jedną z takich okazji, a nie miałem ich ostatnio wiele. Więc nie żałuję, choć mogłaś odnieść przeciwne wrażenie, musiałem się tylko wygadać. Nie wiem, jak sobie teraz poradzę, ale muszę sobie radzić, bo na tym polega moja robota. Natomiast ty...
- Pomogę ci! - zapewniła. - Tylko mnie wszystkiego naucz!
- W tym właśnie sęk, że nie wiem, czy się nadajesz...
- Sprawdź mnie.
- Jutro z samego rana. Jak się wyśpisz.

W drugim pokoju było profesjonalne laboratorium chemiczne. Helena słabo się na tym znała, więc nie silła się na odgadywanie nazw i przeznaczenia urządzeń. Nawet ze zwykłymi naczyniami laboratoryjnymi miałyby problem. Szybko jednak zauważyła, że jest tu dużo różnych narkotyków i trucizn. Naprawdę bardzo dużo...

Alef niedbale wkopał pod stół laboratoryjny dmuchany materac razem z kocem.

- Tu śpisz? - spytała Helena.
- Od kiedy zajmujesz moje łóżko... - mruknął. - Gotowa? - spojrzał jej prosto w oczy. Skinęła głową.
- Więc siadaj! - Wskazał jej dziwnie wyglądające krzesło, na które w pierwszej chwili nie zwróciła uwagi. Przypominało krzesło elektryczne, ale nie miało pasów do przywiązywania skazańca. Jednak te elektrody na poręczach i w oparciu... Pęki przewodów biegły do jakiegoś aparatu z szeregiem przycisków i cyfrowym wyświetlaczem. *Może to coś do EEG?* - pomyślała, podchodząc bliżej.
- Siadaj - powtórzył stanowczo Alef.
- Pierwszy raz z tak bliska i w pełnym świetle dnia spojrzała w jego źrenice. Były zwężone i nie zareagowały, kiedy padł na nie cień jej głowy.

- Jesteś na haju...? - zapytała Helena, a jej głos zadrżał.

- Zawsze jestem - odparł zniecierpliwiony. - Na mniejszym lub większym. Teraz mniejszym. No, siadaj!

Usiadła, zaciskając usta.

- Co chcesz zrobić?

- Mówiłem, że będzie bolało. Chcę wiedzieć, jak wiele wytrzymasz... Omal się nie zerwała. Teraz już bała się nie na żarty.

- Dlaczego?!

- Jeżeli nie wytrzymasz, to szkoda czasu na tłumaczenia. Wezwę ci taksówkę, dam trochę kasy i więcej się nie zobaczymy. Może ci się uda...

- Przywiążesz mnie...? - szczęknęła zębami.

- Nie. W tym właśnie rzecz, że musisz wytrzymać to sama. Chodzi o twoją siłę woli.

Zebrała się na odwagę.

- Dobrze...

- Oprzyj się mocno, żeby czubki elektrod w oparciu przebiły ubranie... Kark na obejmę, a ręce na oparcie... krawędziami dłoni masz dotykać tych metalowych płytek. Dobrze!

- Co to właściwe jest?

- Generator bólu.

- Boże... Po co ci on?!

- Ćwiczę na nim siłę woli i odporność na ból. Kiedyś to był psychiatryczny sprzęt do terapii elektrowstrząsami, ale sporo w nim zmieniłem i udoskonaliłem. Teraz słuchaj uważnie, skurcze mięśni będą minimalne, tak rozmieściłem elektrody, że jeśli zechcesz, to zdołasz nad nimi zapanować. Zatem tłumaczenie, że skurcz był zbyt silny, odpada. Za to ból będzie naprawdę wielki... Żeby się od niego uwolnić wystarczy unieść ręce lub pochylić się trochę do przodu. To łatwe, ale tego właśnie nie wolno ci zrobić, masz wytrzymać! Rozumiesz?

-T-tak...

- I żadnych wrzasków! Jak zaczniesz mi płoszyć sąsiadów, to koniec.

Wzięła głęboki wdech.

- Skoro ty możesz...

Zaczął kolejno naciskać guziki generatora.

- Skonałabyś z bólu, gdym przyłożył ci tyle, ile sobie. Na początek nastawię jedną czwartą. Na egzaltowaną histeryczkę zupełnie wystarczy... Gotowa?

Nieznacznie skinęła głową.

- Teraz!

- A... - Zdołała zdusić krzyk, mimo iż wyraźnie poczuła ostrze noża rozcinające jej skórę i mięśnie wzdłuż kręgosłupa. Zaczęła szybko dyszeć. Owszem, chciała się zerwać, cofnąć ręce, chciała, żeby to się skończyło, nawet bardzo, ale... w sumie... dawało się to wytrzymać! Po pierwszym szoku, ból zaczął redukować się do silnego dyskomfortu.

Alef patrzył uważnie w jej rozszerzone oczy. Dotknął przycisków.

Nóż tnący plecy Heleny wbił się pomiędzy kręgi. Poczuli to jednocześnie w odbyciu i podstawie czaszki... Konwulsyjnie zaczerpnęła powietrza. Jakieś zwierzę zaskowytało w niej, żeby uciekać. Poczuli, że jeżą się jej włosy na skroniach. Lecz wytrzymała. Miała wrażenie, że rodzi... że dziecko wychodzi z niej przez rozwierającą się coraz szerzej, pionową szczelinę w kręgosłupie... wylamuje i rozpycha żebra... Zaczęła dyszeć i przec, napierając plecami na oparcie krzesła. Coś zagulgotało jej w gardle, ale to nie był krzyk...

Nie widziała już, co robi Alef.

Eksplozja upiornej bieli! Ale jakby gdzieś obok... Nie w niej... Ból Heleny i wola Heleny to były dwie zupełnie odrębne rzeczy... Coś w niej się nagle skurczyło i skamieniało w martwym bezruchu. Ona cała była tym bezruchem. Trwała przywarta do krzesła. Ból był falą, a ona opoką... Aż zaczęło się robić miękko...

- Dosyć! - oznajmił Alef.

Helena zdała sobie sprawę, że mdleje, ale i to powstrzymała. Dopiero potem dotarło do niej, że ból całkiem ustał. Poczuli pot ściekający po skroniach i policzkach, szczypiący w lewym oku.

- W porządku. Dobra jesteś. Możesz wstać.

Coś się w niej zaczęło gwałtownie rozginać. Tak bardzo... bardzo... aż wybuchła płaczem i osunęła się z krzesła na kolana.

- Dwie piąte mojej normy... - stwierdził Alef, kłękając obok, obejmując ją i przytulając. - Jak na początek bardzo dobrze. Widać prawdę piszą w tych kobiecych szmatławcach, że jesteście z natury bardziej wytrzymałe... - mówił łagodnie. - No już, nie rycz, nie rycz, twarda dziewczynka!

- Dla ciebie, Gosiek... - szepnęła, ocierając twarz.

- Na miejscu Tyckiego, teraz bym się naprawdę przestraszył - podał jej rękę i pomógł wstać. Zachwiała się i oparła o stół laboratoryjny.

- Będziesz mi jeszcze to robił? - zapytała, dochodząc powoli do siebie.

- Ja nie. Ty sobie sama. Co najmniej trzy razy dziennie. Nauczę cię programować generator...

Nie odpowiedziała, tylko potrząsnęła głową, jakby nie dowierzała własnym uszom.

- Obmyj się i odpocznij, ile chcesz, najlepiej prześpij z godzinę - powiedział Alef. - Jak całkiem dojdiesz do siebie, wytłumaczę ci, po co to wszystko. Zasłużyłaś!

Siedzieli na dywanie, naprzeciw siebie.

- Powiedz mi, kim jesteś? - zaczął Alef.

- Jestem Helena Mirska, dziennikarka, Polka, panna, Europejka...

- Dobrze - przerwał. - Skupmy się na tobie. Skąd wiesz, że jesteś Heleną Mirską?

- No... - zawahała się. - To oczywiste...

- To wcale nie jest oczywiste, skup się!

- Tak mnie nazwano... - zaczęła głośno myśleć. - Zawsze, znaczy odkąd pamiętam, tak mnie nazywano... Przyzwyczaiłam się.

- Przyzwyczaiłaś się do swojego imienia - podsumował. - Czy to znaczy, że mogłabyś się przyzwyczaić do innego?

- Chyba tak.

- Znaczy, że ty i twoje imię to dwie całkiem różne rzeczy. Więc powtórzę pytanie: kim tak naprawdę jesteś?

- Świadomością - odpowiedziała szybko. - Ta świadomość obejmuje moje imię...

- A także wszystko to, co składa się na twoje poczucie tożsamości i tego, kim jesteś, w sensie roli społecznej - dopowiedział Alef. - Jesteś pewnym wytworem kulturowym. Zgadza się?

- No, tak jakby... - przyznała ostrożnie. - Do czego zmierzasz?

- To takie buddyjskie ćwiczenie dla początkujących adeptów. Chodzi o wykazanie, że nasze prawdziwe „ja” nie ma nic wspólnego z tym, co na co dzień uważamy za swoje „ja”, a więc z imieniem, tożsamością, rolą społeczną i wykonywanym zawodem. Ludzie często czują się tym, co robią, a to jest, zdaniem buddystów, złudzenie.

- Myślałam, że zaraz zaczniesz mówić coś o memach - stwierdziła Helena.

- A dlaczego?

- Brzmi podobnie - odparta. - Przekonania, światopoglądy, idee, konwencje kulturowe to po prostu memy, które przejęliśmy, naśladując zachowania innych ludzi, czyli rodziców, nauczycieli, znajomych.

- Świetnie! - zawołał Alef. - Buddyzm i memetyka... Nie sądzisz, że to ciekawe, że dwie zupełnie różne kultury, staroindyjska i współczesna euro-amerykańska, które dzieli dwadzieścia pięć wieków, odmiennymi drogami dochodzą do tych samych intuicji?

- Faktycznie... Czytałam gdzieś, że świadomość to duży zespół memów, czyli mempleks...

Zachnął się nieoczekiwanie.

- Czekaj, nie tak szybko! Tu właśnie zaczyna się spór między memetyką a buddyzmem. Memetycy twierdzą, że świadomość to mempleks, a buddyści, że to złudzenie. Dla memetyków złudzeniami są wrażenie własnego „ja” oraz wola. Czym jest jednak owo prawdziwe „ja”, czysta jaźń, oderwana od wszelkich nabytych przekonań?

- No, czym?

- Podpowiem ci. Buddyści stale mówią o czujących istotach... cierpieniu... współczuciu...

Uniosła brwi.

- Jaźń to odczuwanie?

- Tak! Jaźń to zindywidualizowana zdolność czucia. Stwierdzenie, że „to ja czuję!”, nie ktokolwiek inny. Ja czuję mój ból albo moją tożsamość. Oto jest istota świadomości: jaźń odczuwająca zespół memów, będących poglądami na temat własnej tożsamości! To jest definicja wspólna dla wszystkich, jak mówią buddyści, czujących istot. Tylko tożsamość tych istot jest coraz skromniejsza w miarę schodzenia w dół po drabinie ewolucji. Robaki czują tylko ból, zwierzęta ból i instynkty, czyli swoje programy działania, człowiek czuje ból, instynkty i memy. Oczywiście, zapomniałem o wspólnej dla wszystkich zdolności do odczuwania przyjemności... Zauważ, że gdyby wychowały cię wilki, czułabyś się wilczyca, zgadza się?

- Dobrze, ale co to wszystko ma wspólnego z dzisiejszymi torturami?

- Tłumaczę ci, czym jest ludzka świadomość, bo to jest podstawa tego, czego masz się nauczyć.

- Dobry jesteś... - Wydeła wargi. - W mądrych książkach piszą, że istota świadomości to jedna z dwóch największych naukowych zagadek, obok pochodzenia wszechświata, a tu tak po prostu wyjaśnia mi to gość podający się za szamana...

- Śmiesz cię to? - spytał zimno. Pochyliła głowę.

- Nie, przepraszam.

- Powtórzę; świadomość ludzka to jaźń odczuwająca jakąś konkretną tożsamość kulturową, którą można też nazwać mempleksem albo samoświadomością. Ewentualnie, można to ująć krótko: samoświadomość człowieka to tożsamość odczuwana przez jaźń. Buddyści nie przywiązują wagi do tożsamości. Ta według nich może się zmieniać dowolnie w kolejnych wcieleniach. Od tożsamości należy się oderwać, to jest, ich zdaniem, podstawowy warunek wyzwolenia i oświecenia. Należy uwolnić się od fałszywych wyobrażeń, przestać przejmować się codziennymi zdarzeniami, które ciągle przykuwają naszą uwagę i przebudzić czysty umysł, prawdziwe „ja”, które jednocześnie jest pustką, pustym obłokiem, bo nie jest niczym konkretnym - dopowiedziała Helena. - Też trochę czytałam Olego Nyndala...

- Pusty obłok to raczej Xu Yun, chiński mistrz zen, on wymyślił to określenie, ale nie odbiegajmy od tematu! Ja wcale nie zamierzam nawracać cię na buddyzm.

- Tylko szamanizm?

- Wszystko po kolei. Teraz dochodzimy do rozstania z buddyzmem. Tożsamość bowiem jest ważna. Kim będziesz bez poczucia własnej tożsamości, czyli samoświadomości?

- Według buddystów jakąś uniwersalną czującą istotą - odparła - jednocześnie człowiekiem, zwierzęciem, rośliną, drzewem... Oczywiście, zjednoczoną ze wszystkim co żywe, o to właśnie chodzi, żeby osiągnąć ten stan w medytacji.

- I tu w buddyzmie pojawia się mała sprzeczność - zauważył Alef. - Bo Budda wciąż ma własną tożsamość, a poszczególni bodhisatwowie, którzy praktycznie osiągnęli już stan Buddy, też bardzo różnią się między sobą, miewają całkiem różne charaktery...

- Oni mogą być, kim chcą - zauważyła.

- Trafiłaś w sedno! Znaczą najpierw porzucamy tożsamość, by potem jednak mieć tożsamość na zawołanie? Buddyści coś tu kręcą...

- Co mianowicie?

- Jaźń musi mieć tożsamość! Stan Buddy to umiejętność pozostawiania w kontakcie z własną tożsamością, odczuwania jej, nawet po śmierci.

- Oni by chyba tego tak nie powiedzieli.

- Zgadza się, ale teraz dochodzimy do moich poglądów. Skupmy się na jaźni, czyli samej zdolności czucia. Co to właściwie jest zdolność czucia? Wiemy, że jest wspólna, na dobrą sprawę, dla wszystkich żywych stworzeń. Dla człowieka i dla bakterii, bo one też poczuja, jak im wlejesz kwasu do pożywki. Co jest jeszcze wspólne dla wszystkich żywych stworzeń?

- Kwas DNA... białka...

- Właśnie białka! One są zaangażowane w proces czucia, kiedy coś czujemy, białka zawsze konformują, zmieniają kształt. Ale to tylko szczególny przypadek, co tu jest bardziej ogólne?

- Nie wiem.

- Ruch elektronów, dziewczyno! Efekty kwantowe. Jaźń to specyficzne zjawisko kwantowe!

Helena aż podskoczyła.

- O kurcze... To by się zgadzało z kwantowymi teoriami świadomości, ten Roger Penrose i spółka... Kwantowa jaźń ogarnia mempleks samoświadomości... Kwantowcy i memetycy mało się nie pozabijali, a ty ich pogodziłeś! Ich teorie świadomości wcale nie są przeciwstawne, tylko się

uzupełniają!

- Miło, że doceniłaś - Alef uklonił się nisko. - A teraz przejdziemy do sedna sprawy. Co twoim zdaniem łączy ze sobą jaźń i tożsamość?

- No... - zawahała się - to, że jaźń czuje tożsamość...

- Mocno czy słabo?

- To zależy...

- Od czego? - zapytał szybko.

- Chyba od woli...

- Wspaniale! - zawołał szczerze ucieszony Alef. - Tak, wola łączy jaźń i tożsamość, przy czym źródłem woli jest jaźń. Wola jest władzą jaźni. Wola sprawia, że to ty decydujesz, co chcesz odczuwać. Na przykład to, kim chcesz być, jest twoim aktem woli, w którym wybierasz swoją tożsamość lub ją korygujesz. Możesz czuć, co chcesz! - podkreślił z naciskiem.

- Nie zawsze - zaoponowała. - Często to, co czujemy, jest od nas niezależne. Na przykład, ból... Jejku! - zaskoczona, odruchowo zakryła ręką usta. -Więc to...

- Bystra dziewczynka! - Alef uśmiechnął się. - Wcale nie musimy czuć bólu, jeżeli nasza wola jest dość silna, aby skierować jaźń na inne doznania. To są powszechnie znane sprawy. Możemy tak zapamiętać się w walce, by nie czuć bólu ran albo znosić ból poprzez głośną recytację, co praktykowano kiedyś podczas tortur i operacji chirurgicznych przed wynalezieniem narkozy. Masz wreszcie świętych męczenników wszystkich religii, którzy orientując swą jaźń na odczuwanie więzi z bóstwem, przestawali odczuwać przykrość własnej kaźni.

- To dlatego, mnie...

- Tak. Musisz wytrenować swą siłę woli. Ona jest trochę jak mięśnie, im więcej ćwiczysz, tym większy ciężar zdołasz podnieść. W przypadku woli, tym większy ból zdołasz znieść i pozostać panią samej siebie.

- Po co mi to? Do walki z Tyckim?

Zamiast odpowiedzieć, Alef wstał i podszedł do ekranu, za którym jak zwykle odbywały się nieustanne zmagania czerwieni i błękitu.

- Weź ołówek ze stołu i stań obok mnie - powiedział Helenie. - Pokażę ci, do czego służy siła woli...

Zrobiła, co kazał.

- Reakcje Bielousowa-Żabotyńskiego to w sumie dość prosta sprawa - zaczął wyjaśniać. - Nie ma tu żadnej magii. Czerwień pochodzi od jonów ceru na plus czwartym stopniu utlenienia, błękit to cer trójwartościowy. Kolor błękitny pogłębia dodatkowo tło w głębi ekranu, ale o to mniejsza. Bromian sodu jest utleniaczem, czyli stwarza czerwień. Kwas malonowy jest reduktorem, czyli zamienia z powrotem czerwień w błękit. Kwas siarkowy stwarza właściwe środowisko reakcji, a wszystko to zmieszane razem. Reszta to kwestia doboru właściwych stężeń i prędkości przepływu roztworów, aby kinetyką reakcji zaczęły rządzić prawa chaosu. Ot i cała chemiczna filozofia! A teraz przejdziemy do metafizyki...

- Chcesz powiedzieć, że potrafisz wpłynąć myślą na...

Alef uspokoił ją ruchem ręki, nie pozwalając sobie przerwać.

- Dziś rano pytałaś mnie, czy jestem na haju. Teraz ci powiem, dlaczego jestem. Narkotyki działają jak neuroprzekazniki w synapsach. Stwarzają impulsy nerwowe, które nie pochodzą od narządów zmysłów. Nie wszystkie z tych narkotycznych bodźców są złudzeniami. Niektóre nie są, a nawet wiele. Jaźń obdarzona dostatecznie silną wolą potrafi je rozróżnić i zdecydować, które będzie odczuwać, zwiększając zakres swych doznań. Ćpuny i hippisi mówią tu, że świadomość im się rozszerza... Tylko niewiele z tego wynika, bo oni zwykle nie mają dość silnej woli, by zapanować nad tymi doznaniem. Teraz dotknij czubkiem ołówka powierzchni ekranu...

Helena wybrała punkt w głębi największego obszaru, zdominowanego aktualnie przez błękit. W miejscu, gdzie dotknęła szyby, natychmiast pojawiła się kropka czerwieni. Przypadek!, pomyślała i natychmiast dotknęła dużej czerwonej plamy, niżej i z boku - powstał tam błękitny pieg... Znów dotknęła pola błękitu i znów wskazane miejsce zrobiło się czerwone. To nie przypadek..., Helenie zrobiło się gorąco. Zaczęła na oślep, w różnych punktach dotykać szyby i za każdym razem następowało odwrócenie barw we wskazanym miejscu. W pewnej chwili, zamiast postawić kropkę,

pociągnęła ołówkiem po szybie. Natychmiast pod nią pojawiła się kreska, czerwona lub błękitna, zależnie od lokalnego tła...

Alef nieruchomo wpatrywał się w ekran.

- O Boże... - Helena poczuta zabobonny lęk. - Więc ty...?

- Elektrony przemieszczające się między jonami to zjawisko kwantowe. Jaźń to zjawisko kwantowe i elektrony skaczące w bramkach mikroprocesora też... - Odwrócił się i spojrzał na Helenę. - Mówiłem ci, że możesz czuć, co chcesz.

- A potrafisz wzrokiem utrzymać w powietrzu ten ołówek?! - zapytała podekscytowana. - Powiedz, kiedy mam go puścić...

- Kicia, ty mnie chyba nie słuchasz! - zirytował się Alef. - Co grawitacja ma wspólnego z jaźnią? Mówiłem coś o tym?! Nie mogę przeciwstawiać się prawom natury. Ja z nimi współdziałam! W przypadku tych reakcji do niczego elektronów nie zmuszałem, nie wykonałem żadnej pracy przeciwko ich polom potencjału. Ani mnie, ani tobie nie starczyłoby życia, żeby siłą woli naładować średniej wielkości kondensator. Tu chodzi o coś innego. Elektron z dodatniego jonu ceru zawsze gotów jest przeskoczyć do jeszcze silniej naładowanego dodatnio atomu bromu w bromianie. Nie trzeba go zmuszać. Pytanie tylko, kiedy przeskoczy? Dlaczego akurat w tym momencie, a nie milisekundę później? Trzeba więc wczuć się w jego stan kwantowy i zachęcić go...

- Znaczy, że moja jaźń może działać nie tylko w mojej głowie?

- Oczywiście, że tak. Tylko jeśli tak po prostu jaźń z głowy wyrwiesz, staniesz się nikim. Przestaniesz wiedzieć, co i dlaczego chcesz zrobić. Po prostu odleciś jak ćpun. Żeby do tego nie doszło, potrzebna jest wola, bardzo dużo silnej woli. Same prochy, grzybki czy kaktusy to tylko potowa sekretu. Wolę zaś najlepiej wyrabia się podczas ćwiczenia odporności na ból. To akurat nic niezwykłego. Treningi szamańskie i rytuały przejścia od zawsze wiązały się z pokonywaniem bólu. Może też być głód, czyli post, albo forsowne ćwiczenia fizyczne, jak w przypadku zakonów praktykujących sztuki walki. Tak czy inaczej, wola musi stać się tak silna, aby zachować więź jaźni z tożsamością oraz na życzenie jaźni orientować ją na inne obszary odczuwania.

- Rozumiem - szepnęła Helena.

- Więc chodźmy do laboratorium. Pokażę ci, jak się programuje generator bólu.

- O, tak... - zaczął wyjaśniać chwilę później. - Tak się ustawia poziom podstawowy, który zaliczyłaś dziś rano. To był dość bliski odpowiednik bólu nowotworowego w przypadku guza rdzenia kręgowego. Tu masz regulację napięcia... A to z kolei jest stymulacja otrzewnej, daje wrażenie harakiri lub kamicy nerkowej... Teraz głowa... O tak... i tak... i masz zapalenie nerwu trójdzielnego oraz wrażenia pochodzące od wzrostu ciśnienia śródczaszkowego, spowodowanego rozrostem guza mózgu. Jedno i drugie jednocześnie. Wytrzymać to, to wyższa szkoła jazdy. Wszystko dzieje się w twojej głowie, ale właśnie dlatego musisz to opanować do perfekcji. A tu jest już koniec zakresu, czyli opcja Jeremiasza...

-To znaczy? - spytała pobladła Helena.

-Stymulacja amputacji bez znieczulenia.

-Co obcinają?

-Dolną połowę ciała. Piłą, na wysokości przepony... Nie próbuj tego za wcześnie, bo ból cię zabije. Staną ci płuca i serce.

-Czemu tak... - odchrząknęła - ...nazwałś? Opcja Jeremiasza?

-Na cześć biblijnego proroka Jeremiasza, który według legendy zginął przepiłowany piłą w wydrążonym pniu drzewa. Stąd zresztą ten sławny numer cyrkowy... Kiedy to wytrzymasz, będziesz naprawdę gotowa!

-Naprawdę? - powtórzyła bezwiednie.

-Nie filozofuj dziewczyno, tylko wskakuj na krzesło! Wszystko już wiesz - ruszył w kierunku drzwi.

-Dokąd idziesz?

-Ja na piwo, a ty się męcz!



## 6. SREBRNA KLATKA

Żeby nie wyc z bólu i nie pogryźć języka, Helena zrobiła sobie kaganiec. Samo zaciskanie zębów skończyło się tym, że dwa się ukruszyły. Urządzenie składało się drewnianka do zagryzania oraz dwóch par rzemieni, wiązanych z tyłu i na czubku głowy. Alef nazywał je uzdą, dogadywał dziewczynie, że wygląda jak okiełzana feministka i nie był zadowolony. Uważał, że kierowanie uwagi na zaciskanie szczęk lub naprężanie jakichkolwiek grup mięśni to zbyt prosta i nieskuteczna metoda walki z bólem.

-Nie chodzi o to, żebyś przetrzymała ból, bo go nie przetrzymasz! - tłumaczył zniecierpliwiony. - Ból zbyt wielki lub trwający zbyt długo musi w końcu skupić na sobie całą jaźń, oderwać ją od tożsamości i spowodować destrukcję osobowości. Takie rzeczy często widuje się w szpitalach, w których nie było bądź zabrakło środków przeciwbólowych lub po torturach!

-To c-coo mam ro-obić?! - wykrztusiła Helena, ocierając pianę z ust.

-Przestać go czuć! Skierować jaźń na coś innego! Ile razy mam powtarzać?! Nie ćwiczysz tu przyzwyczajenia do bólu, ale siłę woli, abyś mogła decydować o tym, co chcesz czuć!

- Ci w szpitalach i na torturach też się tego uczą?! - sarknęła.

- Bardzo rzadko - odparł spokojnie Alef. - Główną przeszkodą jest świadomość, że nie od nich zależy to, kiedy ból ustanie. Do tego dochodzi strach przed śmiercią. W takich warunkach zwykle nie następuje mobilizacja woli i jaźń nieodwracalnie pogrąża się w cierpieniu. Albo następuje pęknięcie tożsamości, do czego dążą kaci i torturowany zaczyna sypać. Jaźń za cenę ustania bólu traci wtedy kontakt z ważnymi składnikami tożsamości. Ale przestań mnie zagadywać! Ta uzda nic ci nie da!

Cóż z tego, skoro Helena inaczej nie mogła sobie poradzić. Po obiecującym początku niemal natychmiast trafiła na ścianę własnej wytrzymałości. Wiedziała, że postęp nie będzie szybki, że to musi trwać tygodniami i miesiącami, ale oczekiwała, że kolejne progi bólu będzie pokonywać szybciej. Tymczasem okazało się, że nie doceniła swej naiwności i utknęła w połowie zakresu generatora. Po prostu dalej nie i koniec! Żeby nie wiedzieć jak zmotywowana, skoncentrowana i zdesperowana zabierała się do kolejnej próby, w jej trakcie świadomość się rozmywała, woła zniknęła, a ciało samo wstawało z krzesła. Alef tylko milczał z dezaprobatą, co doprowadzało Helenę do rozpacz.

Kiedy nie była w stanie dłużej walczyć z bólem, wykonywała forsowne ćwiczenia - pompki, przysiady, skłony. Na przemian, całymi dniami, niczym innym się nie zajmując. Szybko osiągnęła normy przewidziane dla komandosów. Po miesiącu stwierdziła, że zaczyna tracić kobiece krągłości i ściągają się jej rysy twarzy. Stawała się zbita i żyłasta jak Alef. Długie włosy przestały pasować, więc je ścięta na jeża, co upodobiło ją do rekruta. Faktycznie była rekrutem i kapralem w jednym. Katem i ofiarą. Kipiała w niej złość. Chwilami zachowywała się jakby była Tyckim i chciała się zabić. Nienawidziła samej siebie i swojej słabości, za każdą nieudaną próbę z generatorem bólu nakładała na siebie karę. I kiedy już naprawdę szczerze miała ochotę rozszarpać się gołymi rękami, coś w niej pękło. Bariera bólu zaczęła ustępować. Nieznacznie, ale wyraźnie. Na niższych, dobrze opanowanych zakresach symulacji mogła już przestać używać kagańca. Ból zaczął jakby zawisać obok niej. Uskrzydłona sukcesem Helena zwiększyła dzienne normy.

Alef tymczasem albo zniknął na całe dni, albo coś zażywał i potem dzień i noc siedział nieruchomo w swojej bibliotece w pozie do medytacji, zwrócony twarzą do ściany. Czasami preparował coś w laboratorium, ignorując męczarnie Heleny. Tylko raz, kiedy roześlona po kolejnej nieudanej próbie, po kobiecemu nawrzeszczała na niego, że musi się świetnie bawić jej kosztem, przegonił ją bez słowa, zajął jej miejsce i kazał zaprogramować opcję Jeremiasza. Pod wpływem stymulacji nerwów tylko jakby się trochę w siebie zapadł, ale nawet nie zaczął szybciej oddychać. Helena pomyślała, że generator się zepsuł i wbrew ostrzeżeniom spróbowała na tym samym poziomie. Ocknęła się na podłodze w sąsiednim pokoju zwinięta w pozie embrionu tak mocno, że nie była w stanie się rozprostować. Potrzebny był dłuższy masaż, żeby skurcz pleców ustąpił. Alef doprowadzając ją do stanu używalności, oznajmił mimochodem, że to co ostatnio zażywał bynajmniej nie powodowało znieczulenia, lecz przeczulenie i jak ona mu dalej nie wierzy, to może ją też poczęstować. Od tej pory Helena nie próbowała więcej sprawdzać mistrza.

Wspólne posiłki jedli tylko wieczorami, jeśli akurat Alef był w domu. Wyłącznie on robił zakupy i wyrzucał śmieci. Helena nie wychodziła. Nie przychodził zaś nikt nigdy, nawet listonosz,

co nie mogło dziwić, zważywszy, że laboratorium Alefa było jednocześnie rajskim sezamem ze snu narkomana i gigantycznym wyrokiem za posiadanie zakazanych specyfików. Żebracy oraz akwizytorzy odbijali się od podwójnego domofonu. Żadne z nich dwojga nie gotowało, więc na zmianę żywili się pizzą, pieczonymi kurczakami i chińszczyzną. Wszystko w wersji instant lub na wynos. Urozmaiceniem były konserwy.

- Czy Tycki też się tak męczy? - zapytała Helena podczas którejś z kolacji, zaimprovizowanych w kącie laboratorium.

- Chyba żartujesz... - burknął Alef z pełnymi ustami i sięgnął po drugi kawałek pizzy, starając się wybrać możliwie najmniej wegetariański.

- Dlaczego nie?

- Ból i harówka nie są przeznaczeniem Nadludzi.

- Czy to znaczy, że on nie potrafi tego co ty?

- Owszem, potrafi. Nawet więcej, jeśli mam być szczery. W przeciwnym razie dawno zakończyłbym jego znakomitą karierę.

- Ale skoro nie ćwicz, to jak?

- Zawsze jest łatwa droga. Trzeba się tylko pozbyć zahamowań, skrupułów, wyrzutów sumienia i skoczyć śmiało w czarną dziurę.

- Co masz na myśli?

- Pakt z demonami. One wcale nie są takie straszne. Zawsze chętnie we wszystkim pomogą, ułatwią, załatwią, odpowiedzą na wszelkie nurtujące cię pytania, byleby tylko wpuścić je do naszej rzeczywistości. Doprawdy drobiazg za tyle uprzejmości!

- Co to właściwie znaczy wpuścić demony? W końcu w klinice Tyckiego wszystko wygląda normalnie. Prawie...

- Spodziewałaś się gotyckiego horroru? Gumowych straszdeł wyskakujących z szafy i latających w powietrzu? Ale coś jednak było, co?

- Czy ja wiem? Może to autosugestia? Teraz wszystko, co się tam wydarzyło, wydaje mi się takie senne i nierzeczywiste...

- Bo struta byłaś jak mucha. Zawsze musi być jakieś racjonalne wytłumaczenie tego, co się wokół ciebie dzieje. Nieszczęśliwy wypadek, trucizny, narkotyki, choroba psychiczna, rana głowy lub ogólne szaleństwo zdarzeń, bo w zamieszaniu zawsze przydarzają się dziwne przypadki... Demony nie mogą objawiać się realnie i stwarzać bezpośredniego zagrożenia, bo wtedy ludzie od razu biegliby po wodę święconą albo barykadowali się w kościołach. Dla demonów taka sytuacja to gol do własnej bramki, dlatego muszą sumiennie udawać, że ich nie ma i nigdy nie było. Mogą działać swobodnie tylko wtedy, gdy nie można udowodnić, że są i działają. Tycki stworzył im takie właśnie warunki. Jego oddział katatoników to stołówka dla upiórów, a ten ambitny, europejsko – unijny program budowy Schizofrenicznej Sztucznej Inteligencji to nie budzący podejrzeń sposób odbierania informacji z zaświatów. Schizofrenicy zawsze mieli genialne pomysły i wizje. Uzyskane tą drogą know-how, rozprowadzane dalej przez wielu pośredników w rodzaju młodych-zdolnych naukowców, to główne źródło dochodów Tyckiego. Dyskretnie wspierane przez niego projekty badawcze, jeden po drugim okazują się wielkimi sukcesami. Możesz o nich poczytać w „Scientific American”. Weź tylko poprawkę na to, że błyskotliwi odkrywcy nie zawsze sami z siebie są tacy genialni, jak sugeruje redakcja. Jakbyś którego spotkała osobiście, nie zdziwił się, że taki kretyn...

- Naprawdę nic nie umięją? - zdziwiła się Helena.

- Tego bym nie powiedział. Doskonale wiedzą, co w trawie piszczy, skąd wiatr wieje i gdzie stoją konfitury. Znaczą, mają co najmniej po trzy fakultety... Aha, zapomniałbym! Potrafią też świetnie inspirować się i korzystać z rad swoich znakomitych kolegów!

- A psychowirusy? Co to w końcu jest? Demony czy programy?

- Kicia... - Używał tego określenia, zawsze gdy zdenerwowała go swoją niedomyślnością. - A jaka to różnica?! Słuchasz, co do ciebie mówię? Jeżeli tak, to sama wydedukuj właściwą odpowiedź, słucham!

Strasznie nie lubiła, gdy tak do niej mówił.

- No... Skoro nie może być jednoznacznie, to nie wiadomo...

- Ale gdyby na takiego psychowirusa napisać odpowiedni program antywirusowy, złapać drania na twarde dyski i dokładnie sprawdzić co zacz, to...? - podsunął.

- Wtedy chyba okaże się, że to tylko program, no, może bardziej skomplikowany i nietypowy.

Pewnie polegający na jakiejś zaawansowanej socjotechnice i hipnozie - myślała głośno. - Czyżby zatem psychowirus był przykrywką dla demona, który objawia się, kiedy nikt nie może tego dokładnie skontrolować?

- Który wtedy może się objawić - uściślił Alef. - Nie musi. Tak właśnie jest nasz świat stworzony! Demon wzięty pod szkiełko i oko staje się natychmiast solidnym prawem przyrody. Może hasać do woli, kiedy stan wiedzy jest nieustalony. To żadne arkana. Opowieść o pętaniu demonów, aby służyły pętającemu, znajdziesz w każdej kulturze. Po prostu archetyp! Stąd wywodzą się mity o genialnych przodkach oraz pogląd, że zaawansowana nauka przestaje się różnić od magii.

Helena pomyślała, że byłoby przewrotnie wejść teraz w rolę *advocatus diaboli*, by zaprzeczyć istnieniu demonów.

- A może demonów i magii nigdy nie było? Może jest tylko niedostatek wiedzy, nadinterpretacja faktów, przesąd, ciemnogród i spiskowa teoria dziejów?

- Jakbym to już gdzieś słyszał... - stwierdził Alef z przekąsem. - Ale owszem, to jest całkowicie równoprawne wytłumaczenie.

- Dlaczego równoprawne? Czemu nie jedyne właściwe?

- Nie jestem dziś w nastroju do filozoficznych wykładów. Może kiedy indziej.

- Dobrze. - Skinęła głową. - Przyjmijmy zatem, że Tycki posługuje się demonami. A ty nie?

- Nie.

- Dlaczego? Sam mówiłeś, że dzięki nim ma nad tobą przewagę. Przecież chyba są jakieś dobre duchy, do których mógłbyś się zwrócić o pomoc?

- Chyba są... - Wzruszył ramionami. - Pytanie, jak odróżnić tego dobrego od złego? Mam pytać?

- Jesteś przecież szamanem...

- Co nie znaczy, że frajerem, który uwierzy na słowo, że istota kontaktująca się ze mną w transie lub przez fluktuacje prawdopodobieństwa jest na pewno dobrym pluszowym misiem, skoro tak zapewnia.

Spojrzała nań szczerze zdumiona.

- Nie potrafisz ich odróżniać?

- Nie ma czego odróżniać - odparł spokojnie.

- Zaraz, to z czego ty w końcu żyjesz, jeśli tego nie umiesz?! Wspominałeś, że przeganiaś je tam, skąd przyszły. Wszystkie jak leci? Te dobre też?

- Ręce opadają... - westchnął Alef. - Od której bzdury mam zacząć?

- Jak wolisz.

- Dobrze, oficjalnie jestem doradcą od feng-shui i innych takich...

Znów udało mu się ją zadziwić.

- Feng-shui? - parsknęła. - Przecież w całym domu nie ma żadnych chińskich gadżetów...

- Nie trzymam badziewia! - odparł chłodno. - Mogłabyś nie przerywać?... Tak naprawdę, pomagam ludziom, którzy mają w życiu pecha. Jeżeli oni wierzą akurat w feng-shui, to stawiam im doniczkę na miejsce telewizora, każę kłaść kapcie czubkami w kierunku okna i wygłaszam światłe pouczenie o przepływach energii oraz akupunkturze przestrzeni, czasem nadmieniam też o konieczności prania skarpet. W przypadku fana żył wodnych i bioenergii macham wahadłem, po czym ordynuję odpromiennik pod dywan i piramidkę na głowę, albo odwrotnie... Jak kto wierzy w talizmany i amulety, zamawiam mu u jubilera gustowny drobiazg, niekoniecznie tani. Najbardziej nie cierpię stawiać horoskopów! Ale niestety, szaman w oczach klienta musi być maksymalnie wiarygodny. Jak trzeba, pożyczam czarnego kruka od znajomego ornitologa. Albo sowę. W istocie ważne są dwie rzeczy. Pierwsze, to sprawdzić, czy niefart klienta wynika z jego własnej głupoty, czy też faktycznie ktoś lub coś Stamtąd się do niego przyczepiło. Drugie, to pozbyć się tego czegoś, co płące łańcuchy przyczynowo — skutkowe, jeżeli człowiek nie zawinił tu brakiem własnego rozsądku. Na autentyczną głupotę żaden szaman nie pomoże, bo w wolną wolę ingerować się nie da. Zatem, wypłaszam nieprzyjazną istotę, tu przydaje się srebro, do szczegółów jeszcze dojdziemy, więc nie będę wybiegać. Na razie zapamiętaj, że demony zbytnio się od siebie nie różnią. Czasem nie lubią nas mniej, czasem bardziej, ale zawsze bardzo nas nie szanują. Wszystkie co do jednego mają manię wielkości.

- No jak to?! Przecież muszą być dobre i złe duchy! Demony i anioły. Nie możesz dogadać się z aniołami?

- Nie, bo one się do tego nie kwapią. Nie mają własnej woli i nie wykazują inicjatywy. Trzeba by

gadać z ich Szefem...

- Więc Bóg istnieje? - zapytała.

- Oczywiście, tylko On się nie narzuca, skoro nam dał wolną wolę. Coś za coś. Wiesz, to też nie jest temat na dziś...

- Wyższy stopień wtajemniczenia?

- Możesz tak uważać.

- No dobrze, ale te demony nie są chyba jednakowo złe? Mógłbyś chyba z takim mniej agresywnym zawrzeć sojusz taktyczny...

- Pakt to pakt. Nie różniłbym się wtedy od Tyckiego. Zresztą, jak poznać prawdziwe intencje demona? To są cholerne bystrzaki, trzeba im przyznać. Psychoanalizę i socjotechnikę mają w małym palcu. Powiedzą ci dokładnie to, co chcesz usłyszeć i w takiej formie, jaka wyda ci się najbardziej wiarygodna. Lecisz na macho, będą zgrywać macho z megapalerem. To pewnie był typ Tyckiego, ale jak wolisz dobrotliwe starowinki, będą milutkie, że do rany przyłoż. I zawsze wszystkie na początku wydadzą się szalenie użyteczne. Jak mówiłem, załatwią ci wszystko, jak dobry wujek na wysokim stanowisku...

- A później?

- Później wyłazi z nich prawdziwa natura. Niektóre faktycznie nie są takie straszne. Ludzkie paniska! Wystarczy im trochę boskiej czci dla podbechtania ego i możliwość dobrej zabawy. Ofiary z ludzi zasadniczo nie są konieczne, ale zawsze jakoś tak się przypadkiem przytrafia... One lubią bowiem prawdziwe, głębokie emocje, a nigdy nie jesteśmy bardziej sobą niż wtedy, kiedy umieramy z pełną tego świadomością. Ale wróćmy do demonicznych luzaków. Typowym przykładem jest ten, którego starożytni Grecy nazwali Dionizosem. Rozrywkowy gość, nie da się ukryć. Duży, jowialny dzidzius...

- Więc alkohol też pozwala się z nimi kontaktować?

- A co, nie zauważyłaś? *In vino veritas... i delirium tremens...* Obrzędy dionizyjskie polegały na rytualnym upijaniu się, z tym że bachanalia to amatorszczyzna, wersja dla plebsu. Niektóre współczesne obrzędy szamańskie też bazują na spirytusie, zwłaszcza w Rosji. Jednak alkohol jest za mało efektywny. Za dużo go trzeba, co daje potem wiadome efekty uboczne... Lepszy już muchomor. Ale nie odciągajmy od tematu! Tacy Aztekowie mieli już dużo mniej szczęścia niż Grecy. Trafił im się naprawdę niezemiński skurwysyn! Z Hitlerem było to samo.

- Hitler też?!

- A co myślałaś? Kompletny nieudacznik, który najpierw miał świra na punkcie teozofii i ezoteryki, a potem nagle wszystko zaczęło mu się w życiu układać. Mówi ci to coś... - zawiesił głos.

- Nie mów do mnie „Kiciu”! - syknęła.

- Akurat nie zamierzałem. Helena pobladła.

- Czy to znaczy, że Tycki też może doprowadzić do jakiejś wojny?

- Na razie wystarcza mu pozycja władcy absolutnego w klinice i rola szarej eminencji w światowym środowisku naukowym, zwłaszcza w kręgach noblistów oraz paru mniej znanych, ale bardziej elitarnych klubach. Tycki, na ludzkości szczęście, ma o wiele mniej kompleksów niż Hitler. Jednak nie dam głowy za twierdzenie, że praktyki naszego pana profesora na pewno nie skończą się czymś gorszym niż II wojna światowa. Za dużo ich tu zaprasza.

- Skoro tak, to powinieneś chyba zrobić wszystko, żeby go powstrzymać?

- Jeżeli Tycki to nowy Hitler, ja mogę zostać drugim Stalinem... O to ci chodzi? Zdradzę ci pewną szamańską tajemnicę: nie ma mniejszego zła, jest zawsze zło większe...

- Czyli że jesteśmy na przegranej pozycji? Mamy przegwizdane, jak mówiłeś, i możemy tylko bezsilnie patrzeć?!

- Kiciu...

Z wściekłością rzuciła do pudełka niedojedzony kawałek pizzy.

- Cholera!

Zupełnie nie przejął się jej wybuchem.

- Czy myślisz, że gdyby nie było nadziei, to bym cię szkolił i z cierpliwym wyrozumieniem znosił fakt, że przechodzisz właśnie bolesny okres?

- Więc mamy szansę? - spytała, przygryzając wargi.

- Tak, mamy. Tylko jeszcze nie wiem jaką...

Doszła do siebie po kolejnej próbie z generatorem. Alef stał przed nią i patrzył zafrasowany. Symulacja bólu wewnątrz głowy ciągle jeszcze mąciła Helenie wzrok.

- Krzycz...ałam? - wykrztusiła zaniepokojona. Pokręcił przecząco głową.

- Nie, nawet nieźle ci poszło.

Zacząła rozwiązywać rzemienie krępujące szczęki. Kagańca używała już tylko do asekuracji, w sytuacjach, gdy jak teraz pierwszy raz stawała do konfrontacji z podwyższonym natężeniem bólu.

- Więc co?

- Tycki się za nas wziął. Naprawdę ostro. Zbliża się jeden z jego bysiów wypasionych na katatonikach.

- Znajdzie to mieszkanie?

- Kwestia czasu.

Wzięta kilka głębokich wdechów.

- Nie mów, że cię zaskoczył... Nie sądziłeś chyba, że Tycki odpuści?

- Miałem taką nadzieję. Jednak masz rację, nie liczyłem na to i przygotowałem plan.

- Więc co cię tak martwi?

- Ty. Muszę użyć cię jako przynęty, a nie jesteś jeszcze gotowa. Sądziłem, że Tycki da nam więcej czasu. Dobrze, że nie dzwoniłaś do rodziców ani nie wysłałaś żadnego listu, który zostawiłby za sobą pęk linii świata, po których można by do ciebie trafić. Jednak, zdaje się, zaczęłaś tęsknić, prawda?

- Tak. - Spuściła wzrok. - Martwię się, co oni tam myślą, w końcu znikłam bez wieści...

- To wystarczyło, żeby Tycki złapał trop.

- Przepraszam...

- Nie przepraszaj za swoje człowieczeństwo. Czeka nas walka.

- Będę się starać...

- Nie mogę ci jeszcze dać niczego na rozszerzenie jaźni. Nie poradzisz sobie. Za to ja będę musiał uważać na ciebie, siebie i to cholerstwo ze Zwiniętych Wymiarów.

- Co nam grozi?

- To co zwykle. Śmierć w nieszczęśliwym wypadku. Po namierzeniu przez demona zaczną się piętrzyć wokół nas nieprzyjemne zdarzenia. Dlatego po pierwsze, musimy się stąd wynieść. Nie chcę, żeby przypadkiem, w laboratorium pękła mi flaszka z iperytem...

- Masz tu iperyt? Po co?!

- Zrobiłem kiedyś dla wprawy. Nie pozbyłem się, bo broń zawsze może się przydać. Zresztą, przydała się. Paru gangsterów, zamiast porwać dzieci dla wysoko postawionego satanisty, siedzi teraz na rencie i pilnie śledzi postępy prac nad sztucznym wzrokiem. Jeden biedaczek na przeszczep płuc nie doczekał... O tym może innym razem. Teraz mam dobrą wiadomość, jak już odejdziemy na bezpieczną odległość, zadzwonisz do domu...

Wyszedł na chwilę, przyniósł z przedpokoju dużą torbę.

- W ten sposób mnie wystawisz?

- Zgadza się. Teraz masz kwadrans, żeby zrobić się na koleżankę z „Matriksa”. Masz tutaj: czarna peruka, ciemne okulary, skórzana kurtka... Mogą cię szukać.

Dotarcie na miejsce zajęło im blisko dwie godziny. Helena nigdy tu nie była. Budka telefoniczna wybrana przez Alefa stała przy ruchliwym skrzyżowaniu, niedaleko dwóch cmentarzy, rozdzielonych ulicą. Alef wyglądał niepozornie, ubrany w szarą, mocno zeszmaconą kurtkę. Nienaturalnie sztywny wzrok ukrył pod naciągniętym na głowę kapturem. Podczas jazdy podmiejskim pociągiem wtapiał się w tłum tak skutecznie, że Helena kilkakrotnie traciła go z oczu. Kiedy nie wchodził w jej strefę osobistej bliskości, nikt nie wpadłby na to, że są razem. Ona z kolei ubrana była w tak doskonalej zgodzie z obowiązującą dziewczynską modą, że też nie zwracała uwagi. Podobnych lasek z „Matriksa” wypatrzyła po drodze co najmniej cztery.

Alef podał jej kartę telefoniczną.

- No dobra. Dzwon! Tylko pamiętaj, nie możesz rozmawiać dłużej niż trzydzieści sekund. Potem jakiś kierowca straci nagle panowanie nad kierownicą i będziesz miała na plecach tira lub ładowarkę...

- Czemu więc nie wybrałaś telefonu z dala od ulicy?

- Bo trudno odgadnąć, co wtedy mogłoby się zdarzyć. Porachunki mafijne to większy problem... Tu mam lepszą kontrolę nad sytuacją. Gotowa?

Helena odetchnęła głębiej i wykręciła domowy numer. Alef nie pozwolił, aby drzwi budki zamknęły się, zablokował je patykiem.

- Słucham... - usłyszała słaby głos matki. Nie była w formie, ale Helena wytłumaczyła sobie, że to z powodu jej zaginięcia.

- Dzień dobry, mammo, to ja!

- Isiunia...?!

- Nic mi nie jest, czuję się dobrze, prowadzę teraz ważne dziennikarskie śledztwo... - recytowała ułożony wcześniej komunikat. Zerknęła na nadjeżdżające samochody... Było w porządku!

Alef zamiast się rozglądać stał ze wzrokiem wbitym w ziemię.

- Kochanie... - Ton matki wprost przeraził Helenę. To jedno słowo zostało wypowiedziane w taki sposób, że w dziewczynie zamarło serce. - Tatusz nie żyje...

Pod Heleną ugięły się kolana. Desperacko starała się zachować zimną krew, znów rozejrzała się po skrzyżowaniu, ale tym razem ruch uliczny rozmazał się jej w oczach...

- Co się stało...?! - wykrztusiła do słuchawki.

- Córeczko... ty przecież jesteś chora... co z tobą... - zaszlochała matka. - Czemu nie wracasz...?

- Kończ natychmiast! - zawołał zdenerwowany Alef. O wiele za głośno niż powinien.

- Kto jest z tobą?! - W głosie matki brzmiał strach. - Czy ktoś cię do czegoś zmusza?!

- Proszę pani - włączył się nagle obcy, męski głos. - Policja! Czy może pani mówić swobodnie?

- Dosyć!!! - Alef rzucił się do budki telefonicznej i złapał za uchwyt na drzwiach. Patyk trzasnął, ale kilkunastocentymetrowa szczelina między drzwiami a framugą powiększyła się tylko odrobinę.

Rozległ się dziwny terkot.

- Czy została pani uprowadzona? Proszę zaprze....

- Córeczko!

Alef włożył rękę do budki, chwycił Helenę za kołnierz i szarpnął z całej siły, brutalnie wciskając dziewczynę w szparę. Osobliwy terkot narastał. Skrzyżowanie chwilowo opustoszało.

Helena miała wrażenie, że wszystko to dzieje się poza nią. Słuchawka stuknęła bezwładnie o szybę.

- Znajdziemy cię, draniu!

- Isieńkooooo!!!

- Tato... - szepnęła Helena. Widziała, że Alef rusza ustami, ale nie słyszała jego słów. Chyba zagłuszył je ten terkot... Alef tymczasem ciągnął ją jak szaleniec. Kierując się resztką rozsądku, Helena ustawiła się bardziej bokiem, aby mu pomóc. Gdyby miała poprzednią figurę... pomyślała, wylatując na zewnątrz jak korek.

Straciła równowagę, bo Alef nie przestał odciągać jej od budki. Teraz jednak zobaczyła, dlaczego to robi.

Dokładnie w tym momencie w budkę telefoniczną trafił mały samolot, chyba dwumiejscowa awionetka...

Helena jakimś cudem zdołała ustać na nogach. To, dlaczego Alef bije ją pięścią w twarz, pojęła w ułamku sekundy, w którym ułamek śmigła zerwał jej z głowy perukę. Gdyby ten cios nie odchylił jej głowy, dostałaby łopatą dokładnie między oczy...

Czarna peruka upadła na środek jezdni. Jakiś głos podpowiadał Helenie, aby po nią pobiegła... Nie posłuchała i słusznie, bo dwie sekundy później przemknął nad peruką samochód osobowy, jadący ze sto pięćdziesiąt na godzinę. Mimo to w pamięć Heleny wyraźnie wryła się twarz młodego kierowcy o nieobecny wzrok.

Zgrzyt towarzyszący miażdżeniu budki telefonicznej przez spadający samolot oraz huk i chrzęst dochodzący od strony latarni po drugiej stronie skrzyżowania, ścinanej w czołowym zderzeniu bez hamowania, nałożyły się na siebie, rozsadzając głowę. Następne piski hamulców zabrzmiały na tym tle wyjątkowo cienko i żałośnie.

Na Helenę leciało teraz całe, wielkie i białe, urwane skrzydło awionetki. Zobaczyła to jak w zwolnionym tempie, ale uchyliła się z normalną szybkością. Skrzydło przeleciało nad nią i... nie zrezygnowało! Trafiło w pobliską latarnię, przekreśliło się wokół niej jak bumerang i zawróciło ku Helenie, biorąc poprawkę na jej nową pozycję...

- NIE!!! - krzyknął klęczący Alef. Patrzył na skrzydło i zaciskał gwałtownie pięści.

W nadlatującym fragmencie samolotu ujawniła się zwykła bezwładność. Jakieś przypadkowe zawirowanie powietrza zyskało nagle przewagę i skrzydło przekoziółkowało w bok, po czym upadło na trawnik.

Alef chwycił Helenę za rękę.

- Zwiewamy!

- Trzeba pomóc rannym! - oznajmiła tknięta mocnym postanowieniem.

Rozbity samochód stawał się kipiącą kulą ognia, ale zgruchotany samolot się nie zapalił. Co więcej, pokrwawiony pilot właśnie gramolił się spomiędzy pogiętych blach...

Alef popatrzył uważnie na pilota i stanowczo powstrzymał Helenę.

- Nie podchodź! On już nie żyje, ale nie pójdzie za nami, bo jest zbyt połamany. Jeżeli jednak ty podejdziesz, w protokole napiszą, że zszokowany lotnik, zanim zmarł, niechcący złamał kark kobiecie, która próbowała mu pomóc... Albo przytrzyma cię, aż wrak zacznie się palić... To nie była twoja myśl!

- Ach tak...

- Zwiewajmy stąd, bo za chwilę będzie tu tłum fotoreporterów! - ponaglił Alef. - Chyba rozumiesz, jaka to gratka dla pismaków?

Nie zdążyli odejść dziesięciu kroków, gdy w płomieniach stanął także rozbity samolot.

- Nie oglądaj się! To nie koniec... - mówił szybko Alef. - Teraz musimy przejść przez ulicę, pod płót tamtego cmentarza. Uważaj, oczy dookoła głowy!

Fala destrukcyjnych przypadków musiała na chwilę osłabnąć, bo na drugą stronę ulicy przedostali się bez problemu. Nie próbowali jednak zabierać peruki Heleny, mimo że zostawał po nich wyraźny ślad.

- Tędy! - Ruszyli wzdłuż cmentarnego muru. Pomiedzy nim a ulicą rozciągały się dawno opuszczone ogródki działkowe. Z altan prawie nic nie zostało, najwyżej pojedyncze ściany. Ruiny przemieszane byty z pozostałościami dzikiej zwalki.

- Patrz pod nogi, żebyś o coś się nie potknęła i w nic nie wpadała, bo otwarte złamanie gotowe... - instruuwał Alef. - Każde zadrapanie to pewny ciężec... Uważaj też na drzewa, na spadające gałęzie! Pogoda jest ładna, więc nie powinno być piorunów... Za chwilę nastąpi druga fala zdarzeń! Im więcej możliwości ogarniesz myślą i spróbujesz je przewidzieć, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że się staną... Ale pewności nie ma.

Z zarośli naprzeciwko wyszedł bezdomny. Alef zareagował błyskawicznie, doskoczył do dziada, uderzył go w twarz, kopnął w jądra i poprawił palcami w oczy. Helena nie zdążyła wyrazić sprzeciwu. Gdy bezdomny padał, okazało się, że trzyma w dłoni zakrwawiony nóż. Alef chwycił ćwiartkę cegły i przywalił leżącemu w skroń. Poprawił, po czym wykopał upuszczony nóż w krzaki.

- Idziemy! - oznajmił.

Helena poszła potulnie. Łoskot uderzeń cegły o głowę bezdomnego wciąż dudnił jej w uszach. Sto kroków dalej spotkali następnego. Siedział nieruchomo w obniżeniu terenu, chyba dawnym leju po bombie, i przyciskał dłonie do zakrwawionego brzucha. Nie prosił o pomoc, tylko powiódł wzrokiem za przechodzącymi. Helena zobaczyła w jego oczach martwą, lodowatą nienawiść i poczuła się jak w koszmarnym śnie. Alef znów wniknął w jej umysł, wspomagając własną wolą i precyzją myślenia. Nie opierała się. Dzięki temu nie wpadła w starą studnię, przykrytą zbutwiałymi deskami, zamaskowanymi warstwą śmieci oraz ominęła kawał przerdzewiałego żelastwa, zdradziecko sterczący w wysokiej trawie. Tak przeszli jakieś pół kilometra.

- Tam - pokazał Alef.

Kolejny cmentarz, ale nietypowy. Zupełnie mały, jakieś pięćdziesiąt grobów bez krzyży, położony za murem większego sąsiada i ogrodzony dodatkowo płotem z żelaznych sztachet. Brama była zamknięta na kłódkę, ale Alef zręcznie poradził sobie wytrychem. Weszli. Alef starannie zamknął skrzypiącą bramę i dał znak, by usiedli na ławce przy pobliskim nagrobku.

- Jest gorzej, niż myślałem - powiedział - ale tu możemy chwilę ode tchnąć.

- Mój ojciec nie żyje! - zawołała Helena łamiącym się głosem. Objął ją i przytulił, jak wtedy, po pierwszej próbie z generatorem bólu.

- Współczuję...

- To... Tycki?

- Tego nigdy nie będziesz wiedzieć na pewno.

- Ja...- zadrżały jej usta.

Delikatnie dotknął siniaka rosnącego na jej policzku. Jego pięść minęła oprawkę okularów zaledwie o milimetr. Zdjął jej te okulary, Helena spojrzała mu prosto w oczy. Zaczęli się całować. Po chwili jednak dziewczyna cofnęła się zmieszana, oparła czoło o jego pierś i znieruchomiała. Alef czekał cierpliwie, aż ona dojdzie do siebie.

- Decydujące starcie dopiero przed nami - oznajmił, gdy nadszedł właściwy moment.

Helena uniosła się i skinęła głową z powagą. Dobiegł ich stłumiony dźwięk syreny. W dali, wysoko ponad drzewami, rozwiewał się czarny dym.

- Nie możemy tu dłużej siedzieć - powiedział Alef. - Dziennikarze i policja na pewno rozeszli się już po okolicy. Szukają naocznych świadków katastrofy i wypadku. Za chwilę znajdą tych dwóch bezdomnych, potem dotrą tutaj.

- Co robimy? - szepnęła Helena.

- Patrz - pokazał jej. - Prawie we własnej postaci... jak w ludowych podaniach.

Za bramą cmentarzyka kręciła się mata trąba powietrzna, może półtora metra wysokości. W lejowatym wirze energicznie kotłowały się kurz i zeschnięte liście, ale całe zawirowanie stało nieruchomo w jednym miejscu.

- Czekaj... - mruknął Alef.

- Czemu tu nie wejdziesz? Bo jesteśmy na poświęconej ziemi?

- Niczego tu nie poświęcono. - Pokręcił głową. - To nie jest cmentarz chrześcijański.

- A jaki?

- Karaimski. Leżą tu Turcy nawróceni na judaizm, mówiąc w grubym przybliżeniu.

- To miejsce ma jakąś specjalną moc?

- Nie - Alef uśmiechnął się. - Ale jest małe...

- Nie rozumiem.

- Gdyby to był cmentarz normalnej wielkości, prędzej, bym się skichał niż zdołał posrebrzyć wszystkie sztachety w płocie...

Rozejrzała się dookoła.

- Są pokryte srebrem?

- I pomalowane czarną farbą, więc nic nie zobaczysz. Pół roku pracy na nocną zmianę! Na każdej sztachecie mały fragment wyczyszczony do połysku, odtłuszczony, potem siarczan miedzi jako podkład, srebrzenie i znów farba... Trzy, cztery sztachety na noc... Łącznie z bramą. I, jak widzisz, to działa! Teraz jednak musimy zamienić się miejscami...

Helena poruszyła się niespokojnie.

- To znaczy?

Alef wstał z ławki.

- On ma być tu, a my za płotem.

- Jak? - spytała, podążając za nim.

- Musisz go tu zwabić, a ja go zamknę. Jak będziesz gotowa, wyjdź za bramę.

- Co się wtedy stanie?

- Zostaniesz opętana.

- Na chwilę?

- Tego, niestety, nie mogę ci zagwarantować. To naprawdę silne bydlę. Co najmniej dwa trupy... Z drugiej strony, nie możemy tu siedzieć i czekać, aż sobie pójdzie, bo on nie odejdzie. Poczeka, ma całą wieczność.

- A ty... nie możesz?

- On został nasłany na ciebie. Mnie właściwie ignoruje. Musi na tobie ciążyć mocna, imienna klątwa Tyckiego.

- To co mam robić? - Przelknęła ślinę.

- Mimo opętania pozostać sobą i cofnąć się tutaj. Wtedy pomogę ci się go pozbyć.

- Będzie jak na generatorze?

- Inaczej i gorzej, a w jednym podobnie. On spróbuje przełamać twoją wolę. To będzie jak nagły atak schizofrenii.

- Dobrze! - Helena zebrała się w sobie. - Otwieraj!



W chwili, gdy Alef uchylał cmentarną furkę, wir kurzawy urósł do ponad dwóch metrów. Helena weszła weń śmiało, mrużąc oczy przed pyłem. Wir zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Suche liście z szelestem osypały się na ziemię. I czegoż tu się bać?! Helenie zachciało się śmiać i zaczęta chichotać. Śmiała się coraz głośniej i szczerzej. Odreagowywała stres, rozluźniała się, czuła się coraz lżejsza. Zaprażyła pobiec przed siebie z tym śmiechem, poczuć na twarzy wiatr i być szczęśliwa. Tak bardzo szczęśliwa i wolna...

Przeciwstawiła się temu pragnieniu.

*No, biegnij!*, rozkazał wewnętrzny głos.

*Nie!*, pomyślała.

*Biegnij!* Coś ją wyraźnie popchnęło do przodu. *NIE!* Zaparta się w sobie.

To było jak uderzenie w brzuch, ale zmusiło ją, by postąpiła krok do przodu. Mdlący ból natychmiast przeszedł w ostry, jakby coś dźgnęło ją od środka. No, już! Już! JUŻ! Za każdym słowem ponaglenia przybywało kłujących ją w brzuchu ostrzy. Wyraźnie czuła, jak jednocześnie wbijają się jej w macicę, wątrobę, szatkują żołądek, nerki, jelita... Odsunęła od siebie ból i zrobiła trzy kroki w tył, w stronę czuwającego przy bramie Alefa. *Nauczyłaś się bronić*, oznajmił głos. *Ale to ci nic nie da!* Olbrzymie, stalowe cęgi chwyciły głowę Heleny i zmiażdżyły ją niczym orzech. Oczy wypłynęły wyciśnięte z czaszki. Wilgotne gałki oczne spłynęły po policzkach dziewczyny, centymetr po centymetrze, jak dwa ślimaki, po czym jedna po drugiej spadły w trawę. Głowa została zgnieciona do rozmiarów pestki. Był tylko ból, Ból, BÓL. Oceany bólu...

I myśl, że przecież wszystko widzi normalnie! Helena skoncentrowała się na tej myśli i nie przestała robić kolejnych kroków do tyłu. Nie powstrzymały jej zimne palce wewnątrz szyi, dławiące krtań, tamujące oddech. Nagle cmentarny płot i brama znalazły się przed nią. Szczęknęła furta uderzająca o żelazną futrynę.

*Jestem tu z tobą i pozostanę na zawsze!*, oznajmił głos.

*Jesteś tylko zakłamanym, fajansiarskim cieniem!*, odpowiedział w głowie Heleny głos Alefa.

Trzy osobowości w jednym mózgu to było stanowczo za dużo. Alef i demon zwarli się w tak gwałtownej walce, że Helena miała wrażenie, że wdeptują ją w dno jej własnej czaszki. I nagle to wszystko ustało, jakby wypadło z głowy Heleny. Stwierdziła, że klęczy na cmentarnej alejce. *Zwiewaj!* - krzyknął Alef w jej głowie.

Nie myśląc i nie oglądając się, skoczyła za bramę. Zatrzasnęła ją i dopiero poszukała wzrokiem Alefa.

On wił się i miotał pomiędzy grobami, zupełnie jak w ataku epilepsji. Nagle zaczął rytmicznie tłuc głową o nagrobek.

*Pomóż mi!*, zawołał głos.

Helena tylko uśmiechnęła się drwiąco.

*Agrrrrr!*, zaskowytał bezgłośnie demon. Alef zaś wykonał gest, jakby odrywał sobie coś od twarzy i odrzucał daleko między groby. Potem zerwał się i pobiegł do Heleny. Miał rozcięty łuk brwiowy, ale nie zważał na to. Otworzyła mu natychmiast.

- Nie za szeroko! - Przcisnął się przez szczelinę w uchylonej bramie, zatrzasnął ją i zaczął zamykać na kłódkę. Helena tymczasem sondowała kieszenie swojej kurtki w poszukiwaniu czegoś, co pomogłoby zatrzymać krwawienie.

- Mamy go! - odetchnął Alef. Usiadł pod płotem i pozwolił dziewczynie zająć się swoją raną. - Wspaniale się spiszałaś!

- Chyba zlekceważył przeciwnika... - mruknęła.

- Mówiłem, że arogancja i megalomania to są ich podstawowe cechy. Jak dla ciebie mogę dodać jeszcze mizoginię...

- To go zatrzyma? - upewniła się Helena, zerkając na płot. - Nie przejdzie górą?

- Linie świata atomów srebra trwale rozciągają się w przyszłość i przeszłość - wyjaśnił. - On jest teraz jakby w powyginanej klatce o nieskończenie długich prętach... Ściśnij mi mocno brzegi tego skaleczenia!

- Czemu demony nie mogą dotykać srebra? - spytała, robiąc, co kazał.

- Nie wiem na pewno. Może dlatego, że ono jest idealnie białe... Wzruszyła ramionami.

- Srebro jest przecież srebrne.

- Źle patrzyłaś. Czyste srebro jest białe jak mleko. To jedyny naprawdę biały metal. Może jest w nim coś świętego... Teraz nie mów nic przez chwilę! – skupił się i zamknął oczy. Trwał w tym stanie około minuty. - Możesz już puścić!

Helena cofnęła dłonie od głowy Alefa. Rozcięcie całkiem się zasklepiło. Została tylko różowa blizna i krew rozmazana dookoła.

- Jak to zrobileś?! - zdumiała się.

- Szamańska sztuczka dla zaawansowanych. O szczegóły pytaj na Filipinach...

Helena bez słowa pośliniła chusteczkę i zabrała się za ścieranie skrzepów.

- Teraz pora na finał! - oznajmił, gdy skończyła.

Spojrzała na niego czujnie.

- Czyli co?

- Nie możemy pozwolić, aby ktoś go teraz wypuścił. - Alef wstał, przeciągnął się i otrzepał kurtkę.

- Co prawda, rzadko ktoś tutaj bywa, pogrzeby trafiają się jeszcze rzadziej, bo wszystkich karaimów w Polsce jest raptem pięćdziesiąt osób, ale nie możemy ryzykować. Pognamy drania z powrotem tam, skąd przylazł!

Nie zadawała już pytań, tylko patrzyła. Alef odszedł kilkanaście kroków, rozgarnął butem niewielką kupkę gruzu i zaczął pod nią rozgrzebywać ziemię patykiem. Za chwilę ukazało się wieko wkopanej skrzynki.

- Nie chciało mi się ciągle przyjeżdżać tu ze sprzętem - wyjaśnił.

Wewnątrz było kilka słoików, skrobaczka, pędzel i rozpylacz do wody kolońskiej z gumową gruszką. Alef wyjął to ostatnie urządzenie i nalał do środka przezroczystego roztworu z jednego ze słoików.

- Azotan srebra - poinformował, wracając do dziewczyny. - Z której strony wieje wiatr...? - Sprawdził poślinionym palcem. - Stań za mną i uważaj na oczy!

Zajeli odpowiednie stanowisko, po czym Alef ścisnął gruszkę i w powietrze wzbila się chmura drobniotkich kropelek cieczy. Wiatr poniósł je ponad płotem cmentarzyka między groby.

- Azotan srebra pod wpływem światła rozkłada się na czyste srebro... - wyjaśnił, przyskajając energicznie. - Teraz, tam za sztachetami klimat dla przybyszów zza światów robi się wyjątkowo niegościnnie. Powiedzmy, że to świecka wersja wody święconej...

Coś przenikliwie zgrzytnęło, jakby metal o kamień. Potem rozległ się gwałtowny tupot po nagrobkach.

- Miotamy się, co? - stwierdził złośliwie Alef i przesunął się, tak aby kolejny obłok roztworu poleciał w inny kąt cmentarza.

Jeden z nagrobków z trzaskiem strzelił iskrami i pojawiły się na nim rysy jak po uderzeniu grabi. W tej samej chwili słońce wyszło zza chmur i wszystko zalało przyjemne, ciepłe, złociste światło. Helena dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo było tu dotąd chłodno i ponuro.

- Żegnaj i nie wracaj więcej! - oznajmił Alef, opuszczając rozpylacz. - Profesora Tyckiego pozdrowimy w twoim imieniu! - Obejrzał się na Helenę. - Dziesięć minut drogi stąd jest przystanek autobusowy - powiedział. - Teraz to będzie już spokojny i miły spacer.

## 7. OMEGA

Mimo zwycięstwa nastrój był żałobny. Po powrocie do domu prawie się do siebie nie odzywali. Helena zamiast popołudniowego treningu zamknęła się w sypialni i siedząc na łóżku dobre trzy godziny wpatrywała się w zmienne konfiguracje reakcji Bielousowa-Żabotyńskiego. Wieczorem zajrzał do niej Alef. Przyniósł wiadomość, o którą dziewczyna w zamieszaniu nie zdążyła się dopytać, że ojciec miał wylew i zmarł po trzech dniach. Wspomnił, że dowiedział się tego w transie, ale Heleny nie interesowały szczegóły. Postanowiła, że musi napisać list do matki. Alef tym razem nie oponował, uznał, że teraz już można i niczego dotyczącego treści nie sugerował. Do późnej nocy Helena wymyślała pokrętne wyjaśnienia, dlaczego nie może wrócić do domu i nie będzie na pogrzebie. Miała dość rozsądku, by nie napisać nic, co mogłoby zdradzić Alefa. Starła się prowadzić rękę jak najspokojniej, aby grafolog, który niewątpliwie będzie wkrótce analizował ten list, nie wykrył oznak działania pod presją. Dawała do zrozumienia, że śmierć ojca nie była przypadkiem i że szuka sprawców. Pobyt w klinice nazwała nieporozumieniem. Wiedziała, że umacnia w ten sposób podejrzenia

dotyczące swej niepoczytalności, ale mimo to na koniec poczuła się spokojniejsza. Wróciła jasność myśli, a pragnienie zemsty zastygło w niej w chłodny monolit determinacji. Teraz już mogła się cieszyć z pierwszej wygranej bitwy.

Alef włożył kopertę przeznaczoną dla matki Heleny w drugą, adresowaną do swego znajomego we Wrocławiu wraz z prośbą o wysłanie załączonego listu. Cały ten pakiet włożył z kolei w trzecią kopertę, do znajomej mieszkającej pod Krakowem, z prośbą o wysłanie do Wrocławia... Ten schemat powtórzył jeszcze dwa razy z Gdańskiem i Szczecinem, jednocześnie do każdej z kopert, wsypując po kilkanaście opłatków srebra.

- Po tak poplątanych i zabezpieczonych liniach świata nie trafi do nadawcy żaden człowiek ani demon - wyjaśnił zaintrygowanej Helenie. - Wyjątkiem są demony kierujące się indywidualną klątwą, ale tę dziś zdołaliśmy złamać. Jutro to wyślę.

Następnego dnia rano, zgodnie z obietnicą, Alef wyszedł wrzucić list. Wrócił z plikiem świeżych gazet. Prasa rozpisywała się na temat czarnej serii: „Szok, ogień i krew”, „Dwie katastrofy i zbrodnia”, „Potrójna tragedia” - głosiły kolejne tytuły na pierwszych stronach, z czego jeden nader trafny: „Zstąpił anioł zagłady”. Były w sumie trzy śmiertelne ofiary - kierowca, pilot i bezdomny, zmarły wskutek pięciu ran kłutych jamy brzusznej. Domniemany sprawca zabójstwa, także bezdomny, który jak ustaliła policja, w trakcie walki z ofiarą doznał poważnych ran tłuczonych głowy, znajdował się w stanie ciężkim, nieprzytomny po trepanacji czaszki. Lekarze dawali mu duże szanse przeżycia, ale z równą pewnością zapewniali, że gdy pacjent odzyska świadomość, nikt nic się od niego nie dowie, gdyż okres zdarzenia obejmie amnezja wsteczna.

Opisujących wydarzenia dziennikarzy najbardziej fascynowały dwie rzeczy. Z jednej strony niesamowite spiętrzenie śmiertelnych wypadków niemal w jednym miejscu; z drugiej fakt, że nic ich ze sobą nie łączyło. Samolot spadł, ponieważ zatankowano złej jakości benzynę. W ciągu godziny poprzedzającej wypadek awaryjnie musiały lądować także dwie inne awionetki pochodzące z tego samego aeroklubu. Pod zarzutem fałszowania paliwa lotniczego zatrzymano natychmiast dwie osoby, prokuratorskie nieprzyjemności czekały też kierownika kontroli lotów, za nieprzekazanie w porę ostrzeżenia maszynom znajdującym się w powietrzu. Facet tłumaczył się, że „jakoś nie skojarzył”. Powodem bójki bezdomnych były, jak się okazało, rozliczenia za sprzedaż złomu. Kierownik pobliskiego punktu skupu rozpoznał obu mężczyzn i pamiętał, że byli u niego rano i zaczęli się ostro kłócić podczas podziału pieniędzy. Z kolei w zwęglonych zwłokach dziesięcioletka prowadzącego renault rozbite na latarni znaleziono końską dawkę wyzwalającej dziką agresję metamfetaminy, zwanej potocznie śniegiem, więc właściwie wypadało dziękować Bogu za cud, że nieodpowiedzialny gnojek nie pociągnął nikogo za sobą. Redakcja zapowiedziała zgłoszenie tego przypadku do nagrody Darwina.

Szczęścia w nieszczęściu zresztą nie brakowało, bo naoczni świadkowie widzieli, jak jakiś przechodzień wyciągnął kobietę z budki telefonicznej tuż przed rozbiciem jej przez spadający samolot. W spalonym samochodzie i awionetce nie było pasażerów. Poza tym na feralnym skrzyżowaniu podczas nagłego zatamowania ruchu doszło tylko do kilku niegroźnych stłuczek.

Żadnych bliższych informacji na temat „pary z budki telefonicznej” Alef i Helena w prasie nie znaleźli. Jednak już ta jedna wzmianka oznaczała, że jeśli policja zdołała namierzyć miejsce, z którego dzwoniła Helena, z pewnością upadnie przypuszczenie, że była ona wówczas sterroryzowana przez porywacza. Alef wychodził zatem z kręgu podejrzanych i jego zdaniem był to typowy efekt związany z pokonaniem demona - biegi linii świata, jak mówił, „rozprostowywały się” i kolejne zdarzenia nabierały cech korzystnych dla osób zainteresowanych, znajdujących się po stronie zwycięzców. Pytanie tylko, czy policja zdążyła zlokalizować budkę telefoniczną?

Odpowiedź znalazła Helena. Była to krótka notatka w „Wyborczej” o nagłej chorobie zasłużonego i szanowanego lekarza, profesora Alberta Tyckiego, którego nazwano „Religą polskiej psychiatrii”. Ordynator Tycki zasnął nagle wczoraj przed południem, podczas obchodu. Jego otoczenie zgodnie przypisało to przepracowaniu i zaniedbaniu własnego zdrowia, spowodowanego ogromną troską o pacjentów i nieustanną wobec nich dyspozycyjnością. Rokowania lekarzy opiekujących się Tyckim były pomyślne, a redakcja serdecznie życzyła mu szybkiego powrotu do zdrowia.

-Pakt zawarty z demonem wiąże obie strony - skomentował wiadomość Alef. - Kiedy my wygnaliśmy bestię do otchłani, ona zabrała ze sobą część energii życiowej Tyckiego. Niestety niewiele, i do stanu jego katatoników jeszcze mu daleko...

-Trudno, ale nie o to chodzi! - przerwała mu Helena. - Jak sądzisz, dlaczego w gazecie w ogóle

znalazła się informacja o chorobie Tyckiego?

- To znana postać.

- Tak, ale news byłby wtedy, gdyby umarł lub dostał ważną nagrodę. Mnóstwo wysoko postawionych ludzi ciągle na coś choruje, a ten facet nie jest jednak papieżem, żeby zaraz pisali, że zasłabł. Rzecznik kliniki też na pewno nie wpadł na to, by w związku z czymś takim rozsyłać zawiadomienia do mediów. A gdyby nawet był tak nadgorliwy, w każdej redakcji poszłoby to do kosza. Dziennikarze musieli dowiedzieć się sami!

- Co masz na myśli?

- Oni już wiedzą, że to ja dzwoniłam, a co najmniej tyle, że dzwoniła zbiegła pacjentka Tyckiego. Musieli dostać cynk z policji, bo to bardzo interesujący zbieg okoliczności; dwa pożary, trzy trupy i wariatka na gigantycznej psychiatrii... Więc zadzwonili do kliniki, żeby dowiedzieć się czegoś więcej, a tu Tycki dętką! Jak ugryźć taki temat? Wiązać czcigodne nazwisko cierpiącego z tragiczną zadymą na mieście po prostu nie uchodzi, zresztą niby jakie to powiązanie? Ale z drugiej strony, część roboczników na to poszła i jakaś wierszówka się należy... Więc zrobili tę oddzielną notatkę o Tyckim. Dla nas ważne, że pismacy dostrzegli sprawę i można by to jakoś wykorzystać...

Alef podrapał się w głowę.

- To się trzyma kupy - stwierdził. - Tylko że za jakiś miesiąc, dwa, wszyscy poważni ludzie będą trzymać się od tematu z daleka. W miesięcznikach od bioenergonadwymiarów powypisują o wczorajszych wypadkach takie rzeczy, że ci oko zbieleje, chociaż wiesz, jak było i sądzisz, że już bardziej niesamowicie być nie może...

- Eee tam! - Helena machnęła ręką. - Nawet miesiąca czekać nie trzeba! Masz tu mój rodzimy tabloid - pokazała niewielki tekst, ozdobiony zdjęciem uśmiechniętej kobiety w wieku balzakowskim. - Już poprosili wróżkę o komentarz! To *niewątpliwa zapowiedź zbliżającej się znacznie większej katastrofy, a pod pewnymi względami znak końca świata...* - przeczytała na głos. - Ciekawe, co to są te pewne względy?

Alef spojrzał nad ramieniem Heleny.

- Znów ta idiotka! - westchnął ciężko. - Wróżka Weronea...

- Znasz ją?

- Jak zły szeląg. Naprawdę nazywa się Pawelina Łyko.

- Też zawarła pakt, jak Tycki?

- Gorzej. Ona nawet nie wie, że zawarła jakiś pakt i nie daje sobie nic wytłumaczyć. Jej przypadek to zupełnie nieprawdopodobna, koszmarna mieszanka głupoty i złej woli. Jest bezmyślnym narzędziem w ich rękach i to nie przypadek, że wypłynęła akurat w twojej byłej gazecie. One wciąż obstawiają wszystkie miejsca, w których możesz się pojawić. Niech ci nie przyjdzie do głowy iść na pogrzeb ojca!

Helena pochyliła głowę.

- Wiem... Napisałam matce, że jestem śledzona i nie chcę narażać rodziny.

- Uwiarygodniasz tym intrygę Tyckiego - zauważył Alef.

- Trudno. Zresztą, prawda jest jeszcze bardziej szalona... Dobrze! - Dziewczyna otrząsnęła się z melancholii. - Powiedz, jaka jest teraz nasza sytuacja?

- Wygraliśmy bitwę, ale nie wojnę. Za jakieś dwa tygodnie Tycki się pozbiera i pójdzie na całość. Już wie, że jeden silny demon na nas nie wystarczy.

- Domyślam się, że ten numer z komentarzem karaimskim zrobiłeś nie pierwszy raz?

Skinął głową.

- Będzie już siedem czy osiem eksmisji z tego świata. Od ponad trzech lat je tam zwabiam, ale tym razem, przyznaję, budka telefoniczna była trochę za daleko...

- Czemu nie wzięłeś komórki?

- Przecież mówiłem ci, że trzeba kalkulować ryzyko. Zbyt bezpiecznie, znaczy zbyt nieobliczalnie. Gdybyśmy wzięli komórkę i poszukali sobie bardzo spokojnego miejsca, z dala od ludzi i samochodów, poniewczasie okazałoby się, że stanęliśmy akurat na wojennym niewybuchu... Zresztą, samolot mógł spaść wszędzie. Prawdę mówiąc, o czymś takim nie pomyślałem.

- Było, minęło. Ale, słuchaj! Skoro profesorek jest teraz osłabiony, może...

- Pilnują go jak źrenic swych oczu, ile ich tam mają, jeśli mają. Przypominam, że pakt demoniczny wiąże wzajemnie obie strony i Tycki jest dla nich czymś w rodzaju wizy, umożliwiającej przebywanie w naszej rzeczywistości. Jeśli przyzywający umrze, przyzwane muszą odejść i mały dla nich zysk, że

go zabiorą ze sobą. To tylko nagroda pocieszenia, więc teraz klinika i miejsca, w których przebywa Tycki, zamieniły się w metafizyczne twierdze. Nie zdołamy się zbliżyć ani na kilometr. Co więcej, one wykryją każdy jednoznaczny zamiar zbliżenia, a wtedy rozpęta się piekło, przy którym wczorajsze to mały przyszc. Ich zakładnikami jest wielu niewinnych ludzi...

- Więc co możemy zrobić?

- Ostatecznie jedną z trzech rzeczy: odpuścić, zabić Tyckiego lub przepędzić jego demony, a wtedy one zabiją Tyckiego. Rozumiem, że pierwsza ewentualność odpada...

- Dobrze rozumiesz! Jednak teraz, kiedy Tycki jest osłabiony, chyba mogliśmy pójść za ciosem? Jakoś mu zaszkodzić...

- Owszem, ale najpierw dokończ swoje szkolenie.

Była chłodna, spokojna, opanowana. Bez śladu znikły dominujące dotychczas złość i desperacja. Świadomość, że potrafiła skutecznie przeciwstawić się opętaniu, dała jej pewność siebie. Teraz wola Heleny łamała i odpychała ból jak lodołamacz, przy czym kruszona kra za każdym razem zdawała się stawać coraz cieńsza i cieńsza...

Czwartego dnia po walce na cmentarzu Helena bez kagańca zaliczyła opcję Jeremiasza. Poszło tak łatwo, że przez moment znów pomyślała, że generator bólu się zepsuł, ale gdy zobaczyła, że Alef bije brawo, zrozumiała, że to już!

Wtedy się popłakała ze szczęścia. Znaczy, chciała się popłakać i już prawie zaczęła to robić w głębi duszy, ale stwierdziła, że nie wypada, więc przywołała tę samą wyniosłą dumę, którą przed chwilą przeciwstawiła bólowi, i uczucie wzruszającej euforii odeszło tak samo jak cierpienie.

Helena uniosła głowę i spojrzała Alefowi prosto w oczy. On odpowiedział takim samym spojrzeniem.

W oczach obojga była zimna stal.

- Jak się czujesz? - zapytał w końcu Alef.

- Wspaniale!

- A twój stygmat?

Helena wstała i podwinęła bluzkę do góry, odsłaniając podstawę mostka. Podczas pierwszego przejścia przez opcję Jeremiasza, dwa dni temu, podświadomie uległa sugestii i w miejscu symulowanego cięcia pilą pojawiła się pozioma, czerwona pręga. Skóra zachowała ciągłość, więc do prawdziwego stygmatu było jeszcze daleko, jednak Alef uznał to za błąd koncentracji i nie zaliczył jej próby. Teraz nie było żadnego zaczerwienienia i dopiero po dokładnym przyjrzeniu dano się zauważyć drobne, zanikające wybroczyny sprzed dwóch dni.

- Pora znaleźć dla ciebie nowe imię! - oznajmił Alef i całkowicie wyłączył generator bólu.

Nie odpowiedziała.

- Chodźmy... - Odwrócił się i podszedł do stołu laboratoryjnego. - Na początek to będzie coś prostego - mówił do siebie, zdejmując z półki słoiki z ciemnego szkła ze szlifowanymi korkami. - LSD 25 i meskalina... - Zerknął z ukosa na Helenę. - Albo rzucę cię na trochę głębszą wodę i dodamy jeszcze heroinę! Zasłużyłaś na odrobinę przyjemności... Ile dokładnie ważysz?

Helena poszła do łazienki, gdzie Alef trzymał wagę osobową. Wróciła po minucie, boso, w samych majtkach. Forsowny trening wcale nie zniekształcił jej piersi. Przeciwnie, stały się bardziej strome...

- Pięćdziesiąt dwa kilo! - oznajmiła, patrząc na niego wyzywająco.

- Doskonale... - mruknął Alef, otwierając gablotkę wagi analitycznej, stojącej na osobnym stoliku w kącie laboratorium. Był to staroświecki model z agatowymi przyzmatami i „konikiem”, w doskonałym stanie. Alef był z niego bardzo dumny; zawsze o tym wspominał, zabierając się przy Helenie do robienia naważek. Teraz jednak uroda aptekarskiego zabytku mocno przybladła...

- Mogłabyś mnie nie rozpraszać? - Uśmiechnął się, otwierając słoik z LSD. Pochyliła się nad nim, opierając obiema rękami o stół wagowy.

- Miałam się ważyć w ubraniu...?

- Ależ nie, to byłoby znaczące zafałszowanie wyniku... Tylko nie trząś! To delikatny mechanizm. Zatem pięćdziesiąt dwa kilogramy... A która faza cyklu miesięcznego?

Helena lekko przekręciła głowę.

- Okres płodny zaczyna mi się za trzy dni.

- OK. To będzie sto trzydzieści miligramów LSD 25... Wiesz, że to wcale nie jest wynalazek hippisów? Naturalny kwas lysergowy jest alkaloidem sporyszu. Całe średniowiecze chodziło na nieustannym haju od mniej lub bardziej skażonego chleba.

- Stąd tyle wtedy opętań, diabłów i czarownic?

- Owszem. A potem, w XX wieku, syntetycznie dodano jeszcze grupę dwuetyloamidową, no i zrobiła się z tego rewolucja seksualna...

- Mów do mnie jeszcze! - szepnęła gardłowo.

- Trzy miligramy pejotlu, znaczy meskaliny, powinny wystarczyć... - Odłożył szklaną szkatułkę i przez chwilę manipulował dźwignią konika, przemieszczając pierścieniowe odważniki na ramieniu wagi. - A heroiny damy sto miligramów... Łączny efekt powinien być synergiczny, ale nie obawiaj się, dawki dalekie są od letalnych.

- Nie obawiam się.

Alef przestał udawać, że nie widzi piersi kołyszących się koło policzka. Odwrócił się i skubnął ustami bliższy sutek. Helena ukłękła mu na udach i wygięła się w łuk, z zamkniętymi oczami podając do całowania raz jedną, raz drugą pierś. Alef przesunął dłońmi po jej talii, pośladkach i od tyłu dotknął ukrytego pod figami sromu.

Natychmiast, z kocią zwinnością Helena wywinęła się z jego rąk.

- Nie zapomniałeś o sobie? - Wskazała na wagę i słoiki.

- Nie. - Zamknął naczynie z heroiną. - Ja wezmę coś dla dorosłych szamanów... Zdejmij z półki, za tobą, ten słoik z „A-8” na etykietce!

Pięć minut później siedzieli naprzeciw siebie, na materacu Alefa, stykając się pochylonymi czołami. Przed sekundą skończyli się całować. Obok, na stole laboratoryjnym, stały dwa kieliszki od wódki z gotowymi miksturami.

- Powiedz, czy ty mnie lubisz? - spytał Alef. Zaczęła ściągać mu T-shirt.

- Czemu pytasz?

- Chciałbym wiedzieć to teraz, zanim zażyjemy... Palcami zakryła mu usta.

- Oboje wiemy, że to nic nie zmieni. Szukasz okoliczności łagodzących dla prokuratora czy wątpisz we mnie, że zdołam pozostać sobą?

- Chcę usłyszeć twój głos, nie myśli.

- Więc... - Oparła dłonie o jego uda i spojrzała mu prosto w oczy. - Jesteś złośliwym, bezwzględnym cynikiem z zasadami... - wyliczyła. - Powinam się ciebie bać i może nawet trochę się boję... Wolę cię jednak lubić, choćby za te zasady i pomysły, które ciągle mnie zaskakują. Skoro więc moja wola ma tu coś do powiedzenia, a ostatnio ma dużo, to lubię cię. Nawet bardzo...

- Odkąd tu jesteś, mam dla kogo i po co żyć.

- Nie pokazuj słabych stron, mój szamanie... - Poszukała ustami jego ust.

Całowali się namiętnie, nie licząc czasu. Ale gdy Helena zaczęła rozpinąć mu spodnie, Alef przytrzymał jej dłoń.

- Poczekaj! Jeszcze mały wykład...

- Tak, panie psorze! - Z niewinną miną skrzyżowała ramiona na piersiach.

- Tylko słuchaj uważnie. Wszystko, co zaraz weźmiesz, działa jak neurotransmitery, przenoszące impulsy nerwowe w synapsach pomiędzy neuronami. LSD jest chemicznym odpowiednikiem serotoniny, meskalina dopaminy, a morfina i heroina, oczywiście, endorfiny. Już teraz masz podwyższony poziom tych wszystkich naturalnych substancji, a syntetyki działają dużo mocniej. To wszystko razem zupełnie odłączy cię od twoich zwykłych narządów zmysłów. LSD i peyotl są, moim zdaniem, neuroprzekaznikami impulsów pochodzących od potencjalnie możliwych zmysłów, które się nie rozwinęły. Ewolucja nam ich poskąpiła, widać nie były niezbędne do przeżycia albo wszystko jeszcze przed nami. W każdym razie twoja jaźń musi sobie z tym brakiem poradzić, wprowadzając selekcję wrażeń. To jednak w drugiej kolejności. Najpierw musisz opanować spontaniczny odlot. To będzie jak przebudzenie. Czy zdarzyło ci się kiedyś, że twoja świadomość ocknęła się w trakcie normalnego snu? Że śniłaś i wiedziałaś, że śpisz?

Helena przestała się krygować i odsłoniła piersi.

- Raz czy dwa... To fajne uczucie.

- Bo możesz wtedy kontrolować swój sen, zgadza się?

- Tak, i chyba robiłam wówczas coś na przekór. Zdaje się, przestawałam uciekać przed potworem,

który mnie gonił. On się wtedy stawał przyjazny, mały i znikał...

- Teraz masz zrobić coś podobnego. Przebudzić się i pozostać sobą w samym środku narkotycznych majaków, a wtedy one zaczną być ci posłuszne. Pamiętaj, że to ty decydujesz, co chcesz odczuwać, a twoja wola jest już wystarczająco silna, by ukierunkować jaźń. Jak przejdziesz przez fazę oszołomienia, spotkasz mnie...

- Będziemy razem tam i tutaj?

- Gotowa? - Alef sięgnął po swój kieliszek, którego zawartość była brunatno-zielonkawa.

- Zawsze gotowa! - Zasalutowała mu swoim kieliszkiem. Jej roztwór był przezroczysty.

- Na pohybel demonom!

- I Tyckiemu!

Wypili i przezornie powstrzymali się przed rozbijaniem szkła wokół siebie. Puste naczynia odstawili na stół, po czym Alef, wykorzystując czas, jaki im jeszcze został, szybko rozebrał się do naga. Helena siedziała bez ruchu.

-Ty mnie rozbierz... - szepnęła, gdy spojrzał na nią pytająco.

Uniosła się na kolana, a on zsunął jej figi. Włosy łonowe miała niegolone, takie jak lubił, układające się w naturalny, rudawy, kędzierzawy trójkąt. Potem położyli się obok siebie i zaczęli się delikatnie pieścić i całować. Zgodnie nie ponaglali namiętności. Tak spędzili minuty, które mieli po doustnym zażyciu narkotyków.

Wokół Heleny wyrosła ściana płomieni.

Ogień nie parzył, był przyjemny w dotyku. Gorejące jęzory owinęły się wokół niej, po czym przekształciły się w ogniste tornado i zaczęły unosić Helenę do góry, obracając ją w coraz szybszym piruecie. Prędkiej i prędkiej! W końcu nie mogła nadążyć za wirującą spiralą płomieni i wysunęła się sama z siebie, rozdzielając na dwie Heleny, z których jedna pomknęła w górę jak roziskrzona strzała, druga runęła w dół ciężka jak głaz, przelatując przez niezliczone kręgi ognia. Była w dwóch osobach i zarazem była jednością. Nagle znikło poczucie góry i dołu, spadania i wznoszenia, a pozostał tylko porywający impet ruchu. Czysty ruch bez żadnego kierunku. Kwintesencja ruchu i blasku. Helena zjednoczyła się z tym ruchem i ogniem. Stała się światłem mknącym przez jądra gwiazd, w samo centrum Wielkiego Wybuchu, przez eony czasu w Odwieczną Tajemnicę Tajemnic. Promień światła, którym była Helena, rozszczepił się nagle w niewidzialnym pryzmacie na pęk intensywnych, tęczyowych kolorów, które momentalnie splątały się ze sobą i znów rozdzieliły na Helenę i magmę płomieni, ale tym razem wielobarwnych, mrowiących miliardami odblasków purpury, błękitu i zieleni, za którymi kryła się nieskończona głębia mądrości i rozkoszy. Helena poczuła, że stoi przed Bogiem, że jest białą posągową archanielicą, po czym dumna i zachwycona zaczęła śpiewać monumentalny, spiżowo grzmiący, pochwalny hymn, a wszystkie kolorowe płomienie śpiewały razem z nią niczym wznoszące się chóry. Helena zapamiętała się w śpiewie i znów zaczęła się stawać czystym ogniem, tęczowym, śpiewającym, a poza tym już nikim i niczym więcej. Zachwytył rodził ekstazę, a ta rozkosz rozkoszy. Dziewczyna zatracala się w niej...

Nie.

To było zbyt przyjemne... Odsunęła od siebie rozkosz, tak jak nauczyła się odsuwać ból. Przywołała wyniosłą dumę i natychmiast doznania Heleny oddzieliły się od niej samej i zawisły gdzieś obok. Rozgarnęła je jednym aktem woli, a one odsunęły się jak wzorzysta kurtyna i dziewczyna stwierdziła, że leży z zamkniętymi oczami.

Otworzyła je i zobaczyła pochylonego nad nią Alefa, który wpatrywał się w nią swoim nienaturalnie sztywnym, ale widzącym obie strony rzeczywistości wzrokiem.

- Miło, że do mnie wróciłaś - powiedział półgłosem.

Był tylko Alef, mieszkanie znikło. Zamiast laboratorium była przestrzeń, w której iskrzyły miliardy fajerwerków, wybuchały gwiazdy i kwazary. Ale to wszystko było obok, chwilowo nieistotne. Helena zapagnęła poczuć w sobie jego członek, więc uniosła uda i pociągnęła Alefa na siebie. On chyba właśnie na to czekał. Zręcznie rozsunął palcami jej srom i wsunął się w nią jakby od niechcenia. Helena objęta go mocno. Uznała, że teraz jej rozkosz ma sens, więc pozwoliła odczuwać ją swemu ciału.

Sama zadowolila się tylko przyjemną ekscytacją. Znów zwróciła uwagę na wizje, które posłusznie nadpłynęły ze wszystkich stron. Nie były już jednak dzikim, wszechogarniającym

żywołem i nie dawała się im nigdzie porwać i nieść. Kolory, dźwięki i kształty ulegały dotykowi jej woli niczym glina w rękach garncarza. Gdy zechciała, znikwały syntezeryjne barwnych dźwięków, a przestrzeń odzyskiwała wymiary. Gdy chciała, widziała sufit ponad ramieniem Alefa lub swoją macicę łąszącą się do jego członka. Mogła to widzieć lub czuć albo jedno i drugie naraz, albo odsunąć się od tego i skupić na czymś zupełnie innym. Było tak, jakby przełączała swoje doznania pilotem od telewizora.

Helena szła poprzez deliryczne wizje, poświęcając im coraz mniejszą uwagę, a one stopniowo wtapiały się w tło. Zapragnęła odnaleźć jaźń Alefa i stało się to, gdy tylko o tym pomyślała.

*Witaj* - na tej płaszczyźnie percepcji Alef przypominał mały krąg falującej wody.

*Jestem.*

*Wejść.*

Zbliżyła się. Ich jaźnie zetknęły się i zaczęły odczuwać jedna drugą. Fala czystej miłości wezbrała nagle i ogarnęła Helenę bez reszty. Zrozumiała, że kocha i jest kochana, że zakochała się absolutnie do szaleństwa! Że Alef jest nierozdzieloną częścią niej, a ona Alefa. Wiedziała, kim jest on i kim jest ona sama, ale dominującym uczuciem było cudowne dopełnienie.

*Więc to tak...* - szepnęła bez słów.

*Właśnie tak!* - odpowiedział radosnymi myślami. - *To żadna chemia, żadne feromony... Raczej fizyka, spłot dwóch funkcji kwantowych... Tak spotykają się jaźnie...*

*Proszę nie... nie mów... nie teraz... Kocham! Kochaj mnie! Kocham!*

*Kocham cię, Heleno! Kocham!*

Wpadli znów w swoje ciała, nie rozłączając umysłów. Helena miała już drugi orgasm, Alef właśnie dochodził. Podniecenie gwałtownie wzrosło, zakipiała namiętność. Ich tożsamości na moment znikły, odłączone od obu jaźni, które zatraciły się w przepływającym strumieniu doznań. Nie było już żadnego konkretnego Alefa i Heleny, tylko on i ona, a w pewnym ułamku sekundy znikł nawet ten podział i pojawiła się zjednoczona, pierwotna jaźń, zupełnie nieskonkretyzowana przyjemność. Po tym jednym błysku znów odczuwali jako para. Ona nie cieszyła się jednak długo uczuciem przepływu, zaniepokojona odszukała swą tożsamość, przywróciła z nią więź i znów stała się Heleną, odzyskując indywidualność. Opuściła stan zwany przez buddystów nirwaną, przez artystów twórczą ekstazą, a przez dzieci "zabawieniem się"...

Helena zrozumiała, że wyjaśnienia te czerpie prosto z umysłu Alefa.

*Czy musisz tyle myśleć?!* - Przytuliła się do niego mentalnie.

*To ty sama... Ja tylko nas czułem...*

*Co ja...?*

*Zaczerpnęłaś ze mnie wiedzę o swoim stanie.*

Pomogli swoim spoconym ciałom położyć się wygodniej na materacu i odpocząć.

*Pora trochę popracować. Dopuść znów wizje...*

Ponownie spotkali się w wyobrażeniu, w którym Alef był źródłem wody, a Helena płomieniem. Uczucie zakochania zawisło obok.

*Teraz wyjdź ze swojego ciała. Rozszerz jaźń...*

*Na co?*

*Wejść w ekran, w którym zachodzą reakcje Bielowosowa...*

*Jestem.*

Helena poczuła mrowienie. Rozjaśniła to uczucie, doprecyzowała i stwierdziła, że są to ruchy elektronów, niestannie, w tę i z powrotem przemieszczających się pomiędzy walencyjnymi orbitalami atomów ceru i bromu. Zrozumiała, że korzysta z wiedzy chemicznej Alefa, po czym skupiła się na oscylacjach elektronów. Zaczęła je rozumieć i po chwili wiedziała już, jak na nie wpływać. Faktycznie, przeciwstawianie się gradientom ich pól elektrostatycznych i magnetycznych było trudne, tak mogła zmusić do uległości tylko pojedyncze cząstki, ale za to z łatwością skłaniała je do tunelowania pod barierami potencjałów i kwantowej teleportacji, umieszczając dokładnie tam, gdzie chciała. Po prostu chwilowo utożsamiała się z nimi...

*Obmyśl wizualizację, będzie wygodniej.*

Pomyślała, że elektrony są ziarnkami piasku przesypanych się pomiędzy jej palcami. Mogła kształtować ich strugi, po czym wzięła szczyptę i zaczęła usypywać mandalę. Mimo że ekran znajdował się w drugim pokoju, dobrze widziała, jak kolory czerwony i błękitny układają się zgodnie z jej wolą w kraciasty wzór.



*Wspaniale! Teraz coś trudniejszego.*

*Może później...*

Wróciła do swojego ciała i zaczęła całować tors Alefa. On otworzył oczy, usiadł i pokrył pocałunkami jej ramiona i szyję. Po chwili skrzyżował nogi i pociągnął ją na siebie. Helena usiadła w zagłębieniu jego ud, nasunęła się na członek, zaplotła stopy na krzyżu Alefa i mocno chwyciła go za kark, opierając się na jego ramionach. Odnalazły się ich usta.

Tym razem jednak kochali się bez łączenia jaźni, nie zapadając w miłosną ekstazę, oszczędnymi i powolnymi ruchami. Po paru minutach oboje odsunęli się od swoich ciał, przez chwilę jeszcze z dystansem śledzili ich odczucia, po czym pozostawili je zajęte sobą i odeszli w przestrzeń transu.

*Ogarnij teraz cały ten dom i wszystkich, którzy w nim mieszkają - polecilo Źródło Wody. - Co widzisz?*

*Jakieś smarkacze też się kochają... dwa piętra wyżej... - odpowiedział Płomień. - O, w domu są rodzice! Małolaty robią seksualną partyzantkę...*

*Nie wchodź w ich umysły... są przewrażliwieni... zauważą i zaczną się wzajemnie obwiniać...*

*Tamtego babsztyla na kiblu też sobie daruję...*

*Wejź w tego starszego mężczyznę na samej górze, co siedzi w fotelu. O czym myśli?*

*Martwi się, jak znaleźć wspólny język z synową. Chciałby zobaczyć wnuka...*

*Dobrze. A teraz skłoń go, żeby zrobił sobie herbaty.*

*Pić mi się chce... - zaszepotała Helena w mózgu staruszka. - Słodkiej i mocnej z cytrynką... poczuję się lepiej...*

*Mężczyzna wstał, poszedł do kuchni i zaczął nalewać wodę do czajnika.*

*Skąd wiedziałaś, że lubi mocną z cytryną?*

*To było w jego pamięci.*

*Bardzo dobrze! Jednak pamiętaj, że łatwo możemy korzystać tylko ze wspomnień neutralnych emocjonalnie. Ponadto, ingerencje sprzeczne z wolną wolą będą tłumione i ignorowane. Najwyżej spowodujesz myślowe natręctwo...*

*Rozumiem.*

*Teraz opuść przestrzeń domu. Ogarnij całą dzielnicę.*

*O raję! Widzę ich wszystkich! Niesamowite!*

*Co się dzieje przy kiosku Ruchu?*

*Chłopak pije jakiś napój.*

*Jaki?*

*Pomarańczowy... z dodatkiem... guarany... Smaczne...*

*A tam wysoko, na placu budowy?*

*Alpiniści układają izolację termiczną.*

*Świetnie! Teraz wejź w przestrzeń ich emocji...*

*O Boże! W tamtym domu jakiś skurwysyn katuje pasem małą dziewczynkę!*

*Opanuj się! Kim on jest?*

*Ojczy mem... Już wiem!*

*Co chcesz zrobić?!*

*Sąsiadka za ścianą to słyszy. Chce zadzwonić na policję, nie może się zdecydować... Popchnę ją! O już... Widzisz...*

*Zadowolona? Pamiętaj, że nie takie rzeczy będziesz jeszcze oglądać i nie całe zło tego świata zdołasz poskromić. Musisz nauczyć się z tym żyć... I dobrze, że nie weszłaś w tego faceta... Natknęłabyś się tam na kogoś niemilego...*

*Demon?*

*Drobny przypadek opętania. Mimowolne przyzwolenie... Musiałabyś jednak stoczyć walkę, aby uzyskać wpływ na myśli tego człowieka, a na to jeszcze nie jesteś gotowa...*

*Czy spotkamy tu jakieś demony?*

*Nie na tym paśmie percepcji, to bezpieczny obszar. Wyjątkiem mogą być spotkania pośrednie, jak tu, w przypadku demonów już wpersonalizowanych. A teraz rozszerz jaźń na przedmioty martwe, zjawiska, na całą przyrodę... Co widzisz?*

*Wszystko płynie...*

*Nie ty pierwsza to zauważasz! Bardziej abstrahuj, znaczy pomijaj indywidualne szczegóły...*

*Wszystko rozpada się na pęki jakichś nici...  
To linie świata, czyli drogi atomów i cząstek w czasoprzestrzeni... Ogarnij inne wymiary... Możesz to zrobić!*

*Niesamowite...*

*Stawanie się i przemijanie... Wszystko, co możemy poznać teraz, poznawaliśmy kiedyś i to, co może się stać... Oto istota naszej rzeczywistości! Przejścia niepoznawalnego w poznawalne i odwrotnie. Biegająca bez końca fala zdarzeń...*

*Możemy wiedzieć wszystko!*

*To złudzenie! Odrzuć je! Opanuj trans!*

*Już dobrze... Przepraszam. Co teraz?*

*Zbuduj swoją poszerzoną tożsamość... Określ się na nowo...*

*Jak?*

*Twoja sprawa... Nie mogę ingerować.*

*Jestem... Jestem! JESTEM!* - Helena rozpościerała się coraz szerzej nad metafizyczną przestrzenią. -  
*JA!*

Płomień zataczał kręgi rozwijające się w spiralę. Jednak falujące nieznacznie Źródło Wody wciąż stanowiło ich centrum.

*Już wiem!* - oznajmiła Helena. - *Nie ma mnie bez ciebie!*

Alef nie odpowiedział, lecz Płomień bez wahania zanurkował w Źródło Wody. Ich jaźnie połączyły się i znów zakochały.

*Chodź! Pójdź za mną!* - promieniowała Helena.

*Dokąd?*

*Coś fajnego dzieje się z naszymi ciałami...*

Znów kochali się na siedząco. Tym razem szybko i mocno. W jego lędźwiach i jej łonie narastał szybko żar.

-Ja! TAK! - krzyknęła Helena, otwierając szeroko oczy.

-Coo...? - wydyszał, wypełniając ją swoim nasieniem.

-Gdzie ty Alef, tam i ja, Omega!

## 8. PRZYSMAŻYĆ KRZEM

Przez dwa dni i noce nie wychodzili z łóżka i transu. Przenieśli się tylko z laboratoryjnej podłogi do sypialni, po czym gdy jedne mieszanki przestawały działać, Alef serwował następne. Większość czasu spędzali na najniższym, podstawowym, jak mówił Alef, stanie przeczuwania jaźni, czyli korzystali z bładozielonkawego roztworu, oznaczonego etykietą „A-2”. Helena uczyła się kształtować wyimaginowane, wewnętrzne zmysły, pozwalające odróżniać omamy od prawdziwych informacji o otoczeniu, uzyskanych przez bezpośrednią percepcję, oraz ukierunkowywać rozszerzoną zdolność czucia. Służył temu zarówno namiętny seks, gdy od fizycznego kontaktu ciał przechodzili do kwantowego splątania jaźni i głębokiej, wzajemnej penetracji swych uczuć i pamięci, jak i okresy przerw, kiedy siedząc po turecku na łóżku ze wzrokiem utkwionym w ekranie z reakcjami Biełousowa-Zabotyńskiego, grali w chemiczne go.

Helena kierowała kolorem czerwonym, Alef błękitnym. Cel strategiczny był ten sam, co w starożytnym pierwowzorze - otoczyć kolor przeciwnika własnym i zamknąć go w stworzonej przez siebie figurze. Taktyka wychodziła jednak daleko poza geometrię Euklidesa. W zacieklej rywalizacji tworzyli dwubarwne fraktale, o jakich nie śniło się matematykom. Zmagali się najpierw na kilku, potem już kilkunastu poziomach złożoności naraz, przebiegając myślą setki i tysiące rzędów wielkości. Alef posługiwał się przede wszystkim zimną logiką i znajomością rzeczy, zręcznie manipulując fluktuacjami stężeń oraz nierównowagowymi wahaniami entropii. Helena intuicyjnie wchodziła w quasi-erotyczny kontakt ze stanami elektronowymi, decydującymi o szybkości przeciwstawnych reakcji. Wyobrażając je sobie jako uczucia miłości i nienawiści, przyzwolenia i odrzucenia, wciągała Alefa w odwieczną walkę płci. Decydowały szybkość i zakres molekularnej odpowiedzi na ruch partnera. Gdy wygrywał Alef, czerwień uległa wtapiała się w błękit, gdy przeważała Helena eksplozje czerwieni wprost szatkowały błękitne obszary na samotne, bezkształtne wysepki. Remis objawiał się uogólnionym, fraktalnym wizerunkiem jin-jang, przenikających się w wymiarze rzędu 2,33 D.

Grali ze zmiennym szczęściem, przy czym zwykle pierwsze rozgrywki w każdej serii należały do Alefa, potem górę brała Helena. Po jakimś czasie doszli do takiej wprawy, że nie patrzyli już w ekran na ścianie, lecz sobie w oczy, pozostając całkowicie świadomi tego, co się dzieje za szkłem trzy metry obok. W trakcie takich rozgrywek często spontanicznie przechodzili do seksu i nie kończyli już partii. Czasem jednak, kochając się, nie zrywali mentalnej więzi z potencjałami redox ceru i bromu, a wtedy na ekranie objawiały się wzory zdolne przyprawić o orgazm najbardziej kostycznych profesorów matematyki.

Mikstury Alefa sprawiły, że znikła potrzeba snu. Zmieniały się tylko formy percepcji. Zamiast spać pograżali się w bliskiej, wzajemnej kontemplacji swych tożsamości, poznając się wzajemnie i nie wysuwając jaźni poza obręb ciała, które leżały wtedy nieruchomo, mocno przywarte. Być może ich ciała jednak spały, ale nie dotyczyło to świadomości, nieustannie przenikających się nawzajem.

Oboje szybko przekonali się, że są w ich umysłach obszary pamięci niedostępne dla tego drugiego, łagodnie, lecz bardzo stanowczo bronione przez narastające wibracje woli podczas każdej próby mentalnej penetracji. Alef wyjaśniał bez słów, że są to najbardziej fundamentalne pokłady tożsamości i światopoglądu, których naruszenie oznaczałoby złamanie wolnej woli, depersonalizację i głębokie zmanipulowanie partnera. Podobnie obwarowane były ich podświadomości. Nikt nie mógł mieć dostępu do wspomnień, których nie chciał pamiętać właściciel. Tu jednak znajdowały się sprawy, którym należało stawić czoło. Drżąca jaźń Heleny, przytulona do jaźni Alefa, przekroczyła więc barierę wewnętrznego mroku, pokazując mu koszmary okresu dorastania, które powtórnie opanowały jej psychikę w klinice Tyckiego. Okazało się, że bariera grozy była uludą, wystarczyło w nią wejść, by natychmiast opadła. Złe emocje natychmiast odłączały się od wspomnień i gasły, pozostawiając neutralne informacje o przeszłości. Lęk, wstręt i wstyd w konfrontacji z obecną wolą Heleny, wytrenowaną do twardości stali, stawały się nieporozumieniem niegodnym uwagi. Po pierwszym takim wewnętrznym przełamaniu Helena śmiało kontynuowała autopsychanalizę, sprząając swą podświadomość już bez przewodnictwa i wsparcia Alefa. On w tych okresach, zwykle przed świtem, kiedy tracili ze sobą mentalny kontakt, wstawał i zaczynał krzątać się w kuchni i laboratorium, przygotowując jedzenie oraz odtrutki.

Jeść właściwie nie musieli, bo uczucie głodu też niemal znikło, ale robili to z rozsądku. Sprawą o wiele ważniejszą niż rozum, bo gardłową, było zażywanie substancji chroniących wątrobę i nerki oraz przyspieszających wydalanie narkotycznych metabolitów. Alef nie ukrywał przed Heleną, że ludzki organizm, ukształtowany przez prostą walkę o byt i dobór naturalny, nie jest przystosowany do tolerowania substancji, które pięć-, sześciokrotnie zwiększały zużycie glukozy przez mózg. Samo utrzymanie w stanie normalnej aktywności tak dużego mózgu jak ludzki było tak kosztowne i energochłonne, że jego zaistnienie w przyrodzie można uznać za cud, a co najmniej biologiczną ekstrawagancję. Naturalny dostęp do wyższych pasm percepcji wymagałby całkiem innego modelu ewolucji i metabolizmu. Sztuczne obchodzenie tej niedogodności miało swoją cenę, której nie można było nie zapłacić, a tylko zmniejszać i rozkładać na raty.

Pierwszą najmniejszą pułapką był fakt, że w transie nic nie sygnalizowało wzmożonego zapotrzebowania na cukier. Gdyby nie Alef, Helena nie wpadłaby na to, aby podczas erotyczno-mentalnych igraszek stale, mimochodem podjadać coś słodkiego i skrajne wyczerpanie dopadłoby ją już po kilkunastu godzinach. O drugą sprawę omal się nie pokłócili, gdy Alef oznajmił, że wolno jej tylko zażywać mikstury oznaczone do „A-6” włącznie. Oznaczało to, że pewne fazy transu są dla Heleny zakazane. Przeważył argument, że przy „A-7” i wyżej będzie mogła przestać martwić się o antykoncepcję, ale wcale nie powinno ją to cieszyć, bo zamiast miesiączek będzie miała automatyczne poronienia, ze znacznie większym krwotokiem. Helena pogodziła się z tym, ale w zamian, podczas kolejnej partii chemicznego go, z furią wymazała z ekranu niemal cały błękit. Tak zaliczyli pierwszą kłótnię kochanków.

Trzeciego dnia rano Alef wszedł w głęboki trans na poziomie preparatu „A-10” i zostawił Helenę samą w paśmie percepcji wyzwalanym przez miksturę „A-3”. Przed odpłynięciem nakazał dziewczynie przećwiczyć wpływ jaźni na pracę komputera.

Zadanie było równie łatwe jak kierowanie biegiem reakcji Bielousowa-Żabotyńskiego. Jaźń, chemia i elektronika sprowadzały się do zjawisk kwantowych, którym podlegały wszelkie elektrony, niezależnie od tego, czy znajdowały się w białkach neuronów, nieorganicznych roztworach, czy

domieszkowanym krzemie. Odmienne podłoże wymagało jednak nieco innych imaginacji pseudomysłowych, które należało sobie uprzednio wyobrazić i przetrenować.

Helena zaczęła od starego komputera Alefa, który nie miał połączenia z Internetem. Żeby włączyć tego archaicznego składaka, musiała pofatygować się do biblioteki osobiście, bowiem nadzieja na skuteczną telekinezę i ściśnięcie sprężyny włącznika siłą woli była, zdaniem Alefa, dokładnie tym, co odróżnia szamana od ćpuna. Wychodząc z sypialni, dziewczyna naciągnęła zielony T-shirt nieobecnego duchem kochanka i gdy system operacyjny zastartował, tak ubrana usadowiła się przed monitorem w pozie do medytacji.

Na początek zabrała się za przesuwanie kursora bez dotykania myszy. Żeby wyzwolić „enter” przy wybranej ikonie, musiała parę sekund pokombinować, zanim znalazła bramkę procesora, w której należało przeprowadzić tunelowanie. Potem poszło lepiej i Helena zaczęła obywać się bez całej strony wejściowej. Uruchamiała i wyłączała kolejne programy, pograła chwilę w przedpotopową wersję tetris, później zaliczyła jakąś prostą strzelankę.

Gry dla przedszkolaków szybko ją znudziły, więc zresetowała i porzuciła Alefowego rzęcha. Postanowiła sprawdzić, co ma na twardym dysku sąsiad z klatki obok, dwa piętra wyżej. Rozszerzyła więc swą zdolność odczuwania, krok po kroku, kolejnymi aktami woli, tak jak uczył Alef, następnie jaźń ukierunkowała i zaczęła czuć grę potencjałów elektrycznych procesora w wybranym komputerze. Wyobraziła sobie binarne ciągi impulsów jako szeregi i rzędy wznoszących się i opadających szpileczek, wysuwających się z obudowy obserwowanego chipa. Następnie zaczęła przeczesywać je wymaginowanym grzebieniem, jakby szczotkowata krótkie włosy, przy czym zęby w jej niby-grzebieniu też nieustannie chowały się i wysuwały z oprawki.

Facet nie miał nic specjalnie interesującego ani na dysku, ani w głowie, tu i tu same pornole. Gdyby chociaż gejoskie, może rzuciłaby okiem... Ale mniejsza o to! W zamian gość miał stałe łącze! Zaintrygowana Helena starannie rozczesala kołtun danych, kłębiących się przy wyjściu do neostrady. Świadomość, że może tam wejść bez tradycyjnych akcesoriów, typu wirtualne gogle i rękawice, trochę ją onieśmielała. Odczuwała psychiczny opór przed łamaniem konwencji. Jednak czemu nie? Gdzieś tam, w głębi mózgu Heleny łączyły się w kwantowych splotach funkcje falowe elektronów, decydujących o istnieniu jaźni, jej zdolności czucia. Figle innych elektronów, daleko stąd, zawierały jakieś informacje, które interesowały Helenę. Dlaczego te informacje musiały być zamieniane na prądy elektryczne, a te na impulsy światła w światłowodzie, na fale elektromagnetyczne o częstotliwości radiowej, potem impulsy i fale znowu na prądy, te jeszcze raz przekształcane w błyski światła w monitorach wirtualnych gogli, owe błyski w wyładowania w czopkach i pręcikach siatkówki oka, te na bioprądy w nerwach wzrokowych, wyładowania w neuronach ośrodka wzroku i dopiero na koniec oddziaływania z jaźnią... Po co aż tyle etapów pośrednich?! Nie lepiej je wszystkie ominąć? Każde uproszczenie tego szeregu to po prostu nowa generacja wirtualnej rzeczywistości. Najpierw był monitor i klawiatura, potem gogle i rękawice, zaraz będzie interfejs rejestrujący mózgowie fale beta, później mózgowie makroimplanty, nanoimplanty, inżynieria genetyczna, sztuczne geny... - a na koniec to, co od tysiącleci umiejają szamani - modyfikacja neuroprzekazników i nowy zmysł!

Zatem?

Helena zebrała się na odwagę i stanowczą decyzją rozczesala funkcje karty sieciowej. Wpadła w dziki chaos, jakby w „Gwiezdnym wojnach” przechodziła w wirującą nadprzestrzeń, zaraz jednak opamiętała się i przypomniała sobie o imaginacyjnej wizualizacji danych. Las? Ogród? Nie, lepiej jak dotąd... Włosy!

Wyładowała w salonie fryzjerskim bez ścian. Wszędzie siedziało mnóstwo postaci, uderzająco podobnych do kuzynka Coś z „Rodziny Adamsów”, wszystkie połączone ze sobą, a raczej przykryte, jedną bezkresną, wspólną peruką...

Rozbawiona Helena zaczęła tę perukę rozczesywać. Wtedy kuzynkowie Coś okazali się serwerami. Im bardziej skupiała się na którymś z nich, tym jego włosy, w miarę czesania, stawały się coraz krótsze, aż zamieniały się w czystą wiedzę o jego zasobach i Helena zaczynała widzieć wybrane strony lub jakby w błysku szybkiego czytania poznawała treść dokumentów.

Dobrała się do jakiegoś bloga: *Miałem fajną wizję na imprezie. Z sufitu spuszczały się na mnie pająki, mrugające jak neony, na pajęczynach-banji...* Helena po chwili badania systemu operacyjnego opanowała funkcję pola "Komentuj" i wygenerowała komunikat: *Jesteś małpa z brzytwą, naucz się golić! Szamanka.*

Utrwaliła to, po czym cofnęła się do swojego salonu fryzjerskiego i zbliżyła grzebień do następnego kuzynka Coś...

*Moja Barbie robi trwałą?* - poznała Alefa. Otoczył ją jego bezdźwięczny śmiech. Poczuta też, że on dotyka jej pleców, więc wycofała się z sieci i spragniona pieszczoty wróciła do ciała.

Alef siedział za nią. Teraz objął ją i pogłaskał po piersiach. Helena wtuliła się w niego jak kotka, odchylając głowę do tyłu.

- Ktoś mi podwędził koszulę... - szepnął, całując jej szyję. Był nagi.

- Chciałbyś ją ze mnie brutalnie zedrzeć? - mruknęła zmysłowo.

- Może... - Z ust do ust podał jej kawałek chałwy. Przez chwilę dzielili się podwójną słodyczą. Potem Helena chwyciła dłoń Alefa i położyła ją na swoim udzie.

Niespodziewanie cofnął rękę.

- Weź jeszcze. - Podsunął jej talerz z kawałkami chałwy i ptasim mleczkiem. Posłusznie włożyła do ust dwa ptasie mleczka.

- Teraz chałwy - rzekł, gdy przełknęła.

- Popsuję sobie zęby! - zaprotestowała kokieterystycznie.

- Więc koniecznie je później umyj - stwierdził z powagą. - Jeszcze kawałek chałwy...

- Za słodkie, zemdli mnie.

- Z mdłościami łatwo sobie poradzisz.

Zrozumiała, że nie przyszedł tu, aby się z nią kochać.

- Czy coś się stało?

- Uhm.

Dopiero teraz spostrzegła, że obok Alefa stoi flaszka z roztworem „A-6” i pusty kieliszek. Najmocniejszy roztwór, jaki dla niej przewidział...

- Ile mam zjeść? - spytała już profesjonalnym tonem, sięgając po talerz ze słodyczami.

- Wszystko - odparł krótko.

- Bez popitki nie dam rady.

- Pójdę po wodę. - Alef wstał. Po chwili wrócił z kuchni z butelką wody mineralnej. Kiedy piła, odmierzył jej porcję mieszanki narkotycznej.

- Czym właściwie te roztwory się różnią? Stężeniem?

- Składem - odparł. - A dokładniej siłą synergicznego oddziaływania składników.

- Roślinnych alkaloidów?

- Tak, ale zmodyfikowanych chemicznie, na tej samej zasadzie co heroina w stosunku do morfiny.

W większości to moje własne receptury.

- Pewnie ćpuny wiele by za to dały...

- Pewnie tak - potwierdził obojętnie. Helena wypiła swoją dawkę.

- Gorzkie... - Skrzywiła się. - Mogę popić? - Sięgnęła po wodę.

- Szybciej zadziała. - Skinął twierdząco.

Odsunęli naczynia na bok, po czym Helena wyciągnęła się na podłodze, kładąc głowę na kolanach siedzącego Alefa.

- Teraz mów... - powiedziała, rozluźniając mięśnie.

- Tycki jest w swoim domu, chroniony przez wszystkie demony, które sprowadził - zaczął Alef. - Klinika została prawie bez ochrony, choć wydaje mi się, że to „prawie” to pułapka... Jest jednak miejsce, które na pewno zostało bez ochrony...

Niepostrzeżenie od stów przeszli na kontakt mentalny.

*To mało znany instytut psychologii, finansowany przez prywatną fundację, inicjalnie założoną przez pewnego milionera, który po osobistych przejściach postanowił wnieść swój wkład do walki z depresją i amnezją.*

*Powiązany z Tyckim?*

*Oczywiście, ale nieoficjalnie. Ten instytut to pralnia czarnej wiedzy, przekazanej przez demony. Młodzi, niezwykle zdolni naukowcy na prywatnych stypendiach fundatora dokonują tam epokowych odkryć...*

*Jakiego rodzaju?*

Generalnie rozpracowują procesy wolicjonalne. Udowadniają, że wolna wola nie istnieje, a siła woli to kulturowy mit, złudzenie, którym nie warto zawracać sobie głowy. A już na pewno ćwiczenie i wyrabianie w sobie takiego złudzenia to bardzo szkodliwy dyskomfort...

Chyba rozumiem intencje...

Chcę, abyśmy wszyscy zostali mięczakami! Wtedy o wiele łatwiej jest włożyć ludziom w mózgi i skłaniać do rozmaitego działania...

Czy to przypadkiem nie teoria spiskowa? Wszechświatowy, demonicznie-szatański spisek, jak głosili dawni inkwizytorzy... ?

Chyba nie myślałaś, że demony wpuszczone do naszej rzeczywistości zechcą skromnie poprzestać na małym, co? To ambitne typki, które nie mają życzenia iść z nami na jakiegokolwiek kompromisy. Już ci o tym mówiłem.

Więc to my teraz jesteśmy inkwizytorami? Bardzo podoba mi się ta nasza mała koinkwizycja...

Jesteśmy szamanami! Nawet nas z nimi nie porównuj. Ci idioci inkwizytorzy uznali szamanów za czarowników, a zdolność przemieszczania jaźni za herezję. Wytępili nas, niszcząc przy tym cały, tworzony przez dziesiątki tysięcy lat system obrony ludzkości! Potem już łatwo sami ulegali opętaniom, kompromitując się, budząc pogardę, nienawiść i wstręt, aż przyszło do tego, że demony i ich współnicy od z górą stu lat robią właściwie, co chcą.

A te kościelne egzorcyzmy i relikwie nie są skuteczne?

Lokalnie i w zakresie ograniczonym osobistą wiarą, bo inaczej wchodzą w kolizję z zasadą ochrony wolnej woli, która jest najważniejszą regułą w naszej rzeczywistości. Oni jednak nie mogą tego pojąć i bez końca joczą na postępującą laicyzację... Ale zostawmy to! Musimy teraz zajrzeć do serwera tego elitarnego instytuciku i trochę im tam przysmażyć krzem!

Ja będę skalpować... Dlatego kazałeś mi ćwiczyć?

Tak. Planowałem to od jakiegoś czasu. Gotowa?

Zawsze, gdy tylko zechcesz...

Ogniu, kroc za mną!

Zapadli się w trans. Nie szukali żadnego konkretnego terminala, ale po prostu ogarnęli rzeczywistość sieci, która otaczała ich ze wszystkich stron. Wyselekcjonowali jeden, konkretny obszar percepcji z magmy prawdziwych wizji i złudnych halucynacji, w którą zanurzyły się ich umysły.

Alef trzymał się klasycznych imaginacji cyberpunkowych, do których przywykł, czytając literaturę fantastyczną i przenikał przez komplikujące się w nieskończoność labirynty korytarzy i klatki schodowe, pałace, muzea i biblioteki, lub leciał ponad rozświetlonymi polami matryc. Helena w równoległym paśmie mentalnym biegła przez kolejne salony fryzjerskie i perukarnie, w których poddawano ondulacji niezliczone fragmenty wciąż tej samej peruki. Tym razem jednak zamiast grzebienia trzymała w dłoni ognistą brzytwę, z której strzelały skry. Podekscytowana dziewczyna, raz i drugi cięła na odlew mijane serwery, sprawiając, że porastające je włosy skręcały się w chaotyczne dredy, a na monitorach terminali nieruchomiały obrazy zawieszonych programów lub wyskakiwały sprzeczne komunikaty o błędach łączy lub ataku wirusa. W końcu zirytowany Alef ostro przywołał ją do porządku.

To tutaj! - oznajmił wreszcie, otwierając skrzypiące drzwi komnaty w jakimś ponurym zamku.

Helena stanęła przed jednym z kuzynków Coś, który akurat trzymał głowę w suszarce.

O, firewall! - stwierdziła wesoło i chlasnęła brzytwą kołpak suszarki. Metalowy hełm rozpadł się jak przecięty laserem i odsłonił całego kuzynka Coś.

Alef w tym czasie pochylał się nad stołem, z którego zniknął obrus, odsłaniając leżące pod nim przedmioty - sztuce, narzędzia ślusarskie, elementy biżuterii.

Zaczekaj! - powstrzymał Helene, która zabierała się do nacinania skalpu. - Muszę się upewnić...

Pod wpływem jego wzroku biżuteria zamieniała się w plastikowe imitacje.

To fałszywy serwer - oznajmił. - Pułapka na hakerów! Te narzędzia to psychowirusy, zaprogramowane na automatyczny atak, w razie nieautoryzowanego dostępu.

Jakie narzędzia? - spytała Helena.

Alef na moment wejrzał w jej imaginację.

U ciebie to są loczki - wyjaśnił.

Chyba bym się nacięła... - stwierdziła skonfundowana Helena.

Pilnuj się. To prawdziwa akcja.

*Więc co robimy?*

*Teraz ja...* - Alef odsunął stół, odsłaniając stojący pod nim maty stoliczek, zastawiony kolorowymi flaszeczkami. Każda miała etykietkę z napisem: "Wypij mnie", wypisaną innym krojem czcionki.

W wizji Heleny z kuzynka Coś opadła zamaskowana peruka, odsłaniając jego prawdziwe włosy.

*Jeszcze chwila...* Alef wziął jedną z flaszeczek i wpatrzył się w etykietkę. Napis zachęcający do wypicia zniknął, a w zamian pojawiła się dokładna informacja, zawierająca katalog plików. Wybrał jeden:

WOLA JEST ZBIOREM SZEREGU RÓŻNYCH MOTYWACJI, KTÓRE MOGĄ BYĆ REGULOWANE ZA POMOCĄ STYMULACJI ELEKTRYCZNEJ WYBRANYCH FRAGMENTÓW MÓZGU...

*To to!* - oznajmił Alef. - *Siostró feministko-szamanko, do dzieła!*

Rzucił flaszkę na podłogę i rozgniół żelaznym, rycerskim butem. Następne buteleczki, jedna po drugiej zaczął rozbijać o ścianę.

*Juhuuu!* - zawołała dziko Helena, z rozmachem tnąc kuzynka Coś brzytwą po ciemieniu. Jak poprzednio, strumienie danych, widoczne jako włosy, poskręcały się w chaotyczne strąki, skołtuniły i sfilcowały, miejscami zaczęły przybierać wygląd przesuszonego siana. Słowem, wszystko najgorsze, co mogło się dziewczynie przytrafić u fryzjera...

Po pierwszym wybuchu Helena opanowała się jednak i przystąpiła do metodycznego skalpowania. Starannie odcięła swą brzytwą serwer od sieci, podczas gdy Alef metodycznie kasował pliki na twardym dysku. On też po pierwszym spontanicznym szale destrukcji zaczął uważniej wybierać cele. Przede wszystkim szukał buteleczek opatrzonych lakowymi pieczęciami. Nie próbował łamać kodów chroniących pliki, ale po prostu mielił szyfry i dane w jedną miazgę liter i liczb, a przypadkowo wybrane fragmenty tej cyfrowej pulpy po prostu unicestwiał, chaotycznie przemieszczając spiny elektronów, co dawało efekt malej, magnetycznej burzy, szalejącej na powierzchni dysku. Wewnątrz swej cyberpunkowej wizji Alef zachowywał niczym wiatrak, obiema rękami, na zmianę chwytając flaszki i tłukąc je o ścianę. Stopniowo rozpedził się aż do prędkości śmigła samolotu. Kolorowe odłamki szkła rozbryzgiwały się po całej komnacie, a ich rykoszety przekraczały barierę dźwięku i świergotały jak pociski karabinu maszynowego.

Obsługa serwera zareagowała po dziesięciu sekundach. Najpierw rutynowo, włączając standardowy zestaw programów antywirusowych, które zanim się zawiesiły, zdążyły zameldować brak wykrycia celu. Operator domyślił się hakerskiego włamania. Widząc jak znikają pliki z katalogów, a twardy dysk wymyka mu się spod kontroli, zdesperowany wystukał i wystął wszystkim abonentom komunikat: ZAGRAŻASZ DANYM O DUŻEJ WARTOŚCI NAUKOWEJ I MATERIALNEJ!!! NATYCHMIAST PRZERWIJ!!!

*Pewnie jutro we wszystkich w gazetach znów napiszą o kolejnym akcie bezmyślnego, chuligańskiego krakerstwa* - stwierdziła beztrasko Helena.

*Nie jesteśmy sami w branży...* - odparł Alef.

Po zlikwidowaniu pierwszej warstwy flaszek na wirtualnym stoliku Alefa pojawił się okazały, może piętnastolitrowy gąsior wypełniony gęstym, złocistym miodem. W wizji Heleny spod warstwy ściętych kołtunów wyjrzała gruba, wielokrotnie skrecona, okrętowa lina.

Jednocześnie wymienili się spostrzeżeniem.

*Baza danych!*

Gąsior nie dał się strącić ze stołu, był na to zbyt ciężki. Alefowi udało się tylko wyjąć korek z szyjki, a następnie naczynie przechylić. Miód powoli i leniwie zaczął wylewać się na podłogę. Alef zaprzestał niszczenia danych, by sprawdzić, co jest przyczyną oporu i spowolnienia procesu. Okazało się, że to zbita masa zarchiwizowanych informacji, olbrzymia jak lodowa góra, której wierzchołkiem był gąsior. Z kolei brzytwa Heleny okazała się równie przydatna jak scyzoryk wobec cumy supertankowca. Piłowała linę z całej siły woli, ale puszczały tylko pojedyncze włókna. Spróbowała wyobrazić sobie, że ma siekiere lub wielki miecz, ale brzytwa uparcie pozostawała brzytwą.

Alef dostrzegł bezskuteczne wysiłki towarzyszki.

*Zostaw to! Dalem ci zbyt słabe neuroprzekazniki* - oznajmił.

*Cholerny, sameczy szowinista!!!*

*Ja się zajmę tą bazą danych.* - Utracił szyjkę gąsiora, co wyraźnie przyśpieszyło wypływ miodu.  
- *Ty weź system operacyjny.*

Michał Szpak, operator informatycznej centrali fundacji Nowa Wola Życia, w bezradnym osłupieniu patrzył na ikony chaotycznie mrugające na monitorze przed nim. Potem na wznoszące się i opadające świetlne słupki diodowych wskaźników na korpusie głównego serwera. To, czego był właśnie świadkiem, całkowicie przerastało jego wiedzę i wyobraźnię. W głowie kołatały mu niejasne przepowiednie futurologów o duchu w maszynie i powszechnym przebudzeniu komputerów...

Do pokoju wkroczył szef ochrony fundacji; decyzja, by go wezwać, była ostatnią logiczną myślą Michała Szpaka.

- Co się dzieje?!

- Przecież go odłączyłem... Zupełnie odłączyłem go od sieci... - wybełkotał operator.

- Odłączył pan nasz serwer od Internetu? Całkowicie?! - rozgniewał się szef ochrony. - Zdaje pan sobie sprawę, na jakie straty naraża pan naszych partnerów, odcinając im stały dostęp do...

- Musiałem. Mamy atak krakerów!

- I... - szef ochrony zawahał się. Też już zaczęło do niego docierać...

- Oni nadal tam są! - jęknął Szpak, pokazując wyrwaną wtyczkę światłowodowego łącza. - I dalej psują...

W oczach szefa ochrony pojawił się zimny błysk zrozumienia.

- Proszę natychmiast stąd wyjść! - rozkazał tonem niedopuszczającym sprzeciwu. Kiedy za operatorem zamknęły się drzwi, wyjął telefon komórkowy. Odpowiedni numer miał zapisany pod hasłem: „Alarm kat. A”.

- Mamy problem z ochroną danych - powiedział, uzyskawszy połączenie.

- Pan Michorski? Ochrona fundacji...? - upewniał się głos w słuchawce.

- Tak. Tu fundacja Nowa Wola Życia. Zgodnie z procedurą zgłaszam atak mentalny.

- Przełączam, proszę czekać. Kilkanaście sekund ciszy.

- Rybiec, klinika, słucham...

- Fundacja NWŻ, telepaci w serwerze.

- Natychmiast ewakuować z pomieszczenia informatyków!

- Jestem tu sam.

- Więc niech pan wyjdzie i dobrze zamknie drzwi.

- Czy mam przywrócić łączność naszego serwera z siecią?

- To nie będzie konieczne. Proszę czekać na dalsze instrukcje.

Nie damy rady skasować wszystkiego! To nie baza, a cała hurtownia danych... - stwierdził Alef. - Rozwalaj linki katalogowe!

Robi się... - odpowiedziała Helena.

Podstawowy problem polegał na tym, że mieli tu do czynienia nie z wolnymi elektronami w brankach procesora, ale ze statycznymi stanami kwantowymi, utrwalonymi na magnetycznym nośniku. Dawało to subiektywne poczucie twardości materii, której dotykały wola i jaźń. Alef wpadł na pomysł, by podziurawić tę informacyjną skalę, wierząc w niej jakby otwory spinowych zaburzeń i chociaż w ten sposób uszkodzić jak najwięcej plików.

Nie zdołał się jednak do tego zabrać. Zarejestrował ruch w innym paśmie percepcji...

Rybiec ogarnął spojrzeniem trzech informatyków z podległego mu zespołu. Tylu zdążyło przybyć na wezwanie.

- Panowie! - powiedział. - Musimy pomóc naszym przyjaciółom, którzy znaleźli się w kłopotcie...

Podszedł do nich z tacą, na której stało pięć kieliszków do leków, wypełnionych niebieskawą cieczą.

- Wchodzimy w narkomental bez profesora? - zaniepokoił się jeden z programistów.

- Profesor jest niedysponowany. Musimy poradzić sobie sami. Proszę pić! Edek już czuwa...

*Uważaj, idzie demon!* - ostrzegł Helenę. *Demon? Przecież mówiłeś... Może naruszyliśmy zasady jakiegoś banku. Czy bezpieczeństwa banków pilnują demony?! A co myślałaś? Że*



*uczciwość, lojalność i zaufanie do partnera? Solidność bankierska ma naprawdę mocne podstawy. Oni nie boją się, że...*

*To jest, kochanie, wyjątek. Jedyny rodzaj ludzi, których boją się demony... Czekał no! Zaraz... Tak?*

*To nie demony! Idą po omacku, jak ćpuny, bez przewodnika... Możesz sama poczuć...*

*Helena namacała jeden, potem drugi umysł.*

*Ja... ich znam! - oznajmiła po chwili. - To ludzie Tyckiego! Informatycy z zespołu SSI... Czemu tak dziwnie się zachowują? Jak ślepcy...*

*Nie mają wtajemniczenia szamańskiego. Dotąd musieli wchodzić w trans wyłącznie w towarzystwie demona-przewodnika, który wzmacniał ich wolę.*

*Dlaczego teraz weszli bez niego?*

*Nie wiem. Może liczą, że wsparcie przyjdzie później. To by znaczyło, że wszystkie demony rzeczywiście są teraz przy Tyckim...*

*Skoro tak, powinno być łatwo!*

*Dobrze, tylko musisz być szybka! Klinika to teren wroga. One mogą się zjawić tam bardzo łatwo.*

*Nie strasz mnie. Tym razem ja będę straszna...*

Jeden z siedzących na podłodze informatyków przeraźliwie zaryczał z bólu. Nagle rozboleły go wszystkie zęby, jakby wbijano mu w dziąsła rozżarzone do czerwoności gwoździe... Ból w ułamku sekundy, wielokrotnie przekroczył poziom, który świadomość byłaby w stanie opanować. Wycie zamieniło się w rozedrgany, zupełnie nieludzki skowyt. Nieszczęśnik, przyciskając obie ręce do twarzy zatrzepotał na podłodze, jakby ta stała się rozpalonym rusztem pieca. Mimo potwornego cierpienia utrata przytomności nie nadchodziła.

*Mięczak... - stwierdziła zimno Helena. - Podzieliłam się z nim tylko wspomnieniem symulacji zapalenia nerwu trójdzielnego...*

Pozostali obecni patrzyli na torturowanego nieruchomym i obojętnym wzrokiem. Lecz za chwilę kolejny z siedzących zwinął się w gwałtownym ataku bólu brzucha. Po dziesięciu sekundach delikwentowi puściły zwieracze pęcherza. Po następnych piętnastu, z obydwu końców zaczął opróżniać swój przewód pokarmowy.

*Teraz to całkiem co innego, niż znęcanie się nad głupią blondynką, prawda? - syczała mściwie Helena.*

Trzeci informatyk opanowany przez wolę Alefa wstał, sztywnym krokiem podszedł do wyjścia i metodycznie, jeden po drugim zaczął łamać sobie palce, wkładając je pomiędzy drzwi a framugę. Alef blokował czucie bólu, dopóki tamten nie skończył.

*Mister Rybiec... - Helena jak bogini zemsty zawisała nad umysłem szefa, stoicko obojętnego na męczarnie podwładnych. Dziewczyna przypominała sobie, że Rybiec był obecny podczas ceremonii, w której zginął Gosiek. Sięgnęła więc do pamięci informatyka, aby spojrzeć na to jego oczami.*

Zobaczyła więcej niż się spodziewała. Migawki z powolnej agonii na sali katatoników... Rybiec był nawet przy tym, jak pakowano wyniszczone ciało do worka z czarnej folii... Helena stwierdziła, że opuszczają ją ludzkie uczucia. Dlaczego jednak Rybiec tak się tym interesował?

Po chwili znalazła odpowiedź.

*Byłby z ciebie fajny chłopak... I kolejne, szydercze słowa, wydobywające się z głośnika syntezy głosu Edka... Pośród sałaty słownej, generowanej przez Schizofreniczną Sztuczną Inteligencję, Helena rozpoznała myśli i strzępy zdań, które mogła zrozumieć tylko ona, bo kiedyś były skierowane wyłącznie do niej... Dobre i mądre słowa, pełne ukrytej miłości, które stały się drwiną demona...*

Potem pojawił się widok sprzężonego z Edkiem monitora, a na nim senne obrazy intymnych wspomnień, gdy ona nieświadoma, że Gosiek patrzy na nią jak normalny mężczyzna, przebierała się przy nim bez skrepowania... I wtórujący temu rechot Rybca... Jego podniecenie... onanizm przed monitorem...

Helena poczuła jak wypełnia ją lodowata, bezdenna nienawiść.

*TY SKURWYSYNU!!! - eksplodowała w mózgu lajdaka. Wbiła się w umysł Rybca z taką mocą woli, jakiej, nawet ostatnio, w sobie nie podejrzewała. Było tak, jakby wypila którąś z wyższych,*

szamańskich mikstur Alefa... Momentalnie przejęła kontrolę nad rękami informatyka i zmusiła go, aby wbił palce we własne oczy.

*Popatrzylesz sobie i starczy!* - Nienawiść i furia dziewczyny daty Rybcowi taką siłą, że jego powieki i mięśnie ustąpiły jak papier. Bez wahania, jednoczesnym ruchem wyrwał sobie obie gałki oczne, po czym zgniótł je w dłoniach na miazgę.

Alef zajęty przy drzwiach za późno spostrzegł, co się dzieje.

*Omega, zostaw go!* - w chwili, gdy przekazywał ten rozkaz, wiedział już, że dziewczyna nie działa sama z siebie...

*Opętało cię! Sprzeciw się!! Natychmiast!!!*

Nie posłuchała. Może dlatego, że znajdowali się za blisko wyrwy w rzeczywistości i demon miał mocne oparcie. Nie było czasu do namysłu. Alef uderzył całą mocą swojej woli w wolę Heleny. Po prostu zgwałcił ją. Tylko psychicznie, ale wyzwolone emocje były te same, jakby brał ją przemocą na podłodze swej biblioteki.

*Czemu mi...* - załkała bezgłośnie.

Nie odpowiedział. Z determinacją zdierał mrok wczepiony w umysł dziewczyny, nie bacząc na cierpienia, jakie jej sprawia. Nie mógł pozwolić, by demon trafił za nią do domu, do laboratorium...

Na szczęście tamten nie był zbyt silny. To chyba nie było zaplanowane opętanie, duchowa bestia tylko wykorzystwała przypadkową okazję... Także trening Heleny nie poszedł całkiem na marne. Mimo szoku coś do niej dotarło, zaczęła wpółświadomie, niezbornie współdziałać. Jednak wystarczyło, by Alef zdołał całkowicie zerwać z jej jaźni kłęb czarnych jelit i wypchnąć je w otchłań poza czasoprzestrzeń. Pewnie niezbyt głęboko, ale nie było to teraz istotne. Alef natychmiast porwał dziewczynę za sobą i wrócili do ciała.

- Nie dotykaj mnie, ty bydlaku! - krzyknęła histerycznie i odskoczyła w kąt biblioteki. - Nie zbliżaj się do mnie! - Zadygotała, widząc, że wstaje z podłogi.

Porwała książkę z półki i rzuciła w niego na oślep. Nie trafiła. Zaraz zamierzyła się drugą, lecz nie rzuciła, bo Alef stał nieruchomo.

Powoli opuściła rękę. Zaczynała sobie przypominać i rozumieć.

- Alef, ja... - Książka wypadła jej z dłoni. - Boże... przepraszam... wybac mi... ja... -W oczach dziewczyny pojawiły się łzy. - Alef...

Odwrócił się i wyszedł bez słowa.

## 9. METASTAZA

Tę noc Alef spędził znów na materacu w laboratorium. Rano, nie ruszając się z miejsca, przez ścianę, delikatnie wsunął jaźń w umysł Heleny i spojrzał jej oczami.

Dziewczyna siedziała na łóżku z kolanami pod brodą, otulona kołdrą i w dużym skupieniu wpatrywała się w ekran Bielousowa-Żabotyńskiego. Narzuciła reakjom statykę równowagową i utrzymywała kolory wciąż w tych samych miejscach. U samej góry pas ekranu szerokości dwóch palców zajmowały trzy prostokąty, kolejno od lewej: czerwony, błękitny, czerwony. Ich naroża miały niemal doskonale kąty proste. Poniżej znajdował się kolejny pas, podzielony z kolei na dziewięć prostokątów, po trzy pod każdym z poprzednich, w takim samym układzie barw: czerwony-błękitny-czerwony.

W trzecim pasie jeszcze raz: czerwony-błękitny-czerwony, ale prostokątów było dwadzieścia siedem, a właściwie były to już kwadraty. I niżej znów: czerwony-błękitny-czerwony, osiemdziesiąt jeden razy, tak, że dotychczasowa szerokość prostokątów stała się ich wysokością.

*...czerwony-błękitny-czerwony... czerwony-błękitny-czerwony... czerwony-błękitny-czerwony...*  
- cały umysł Heleny był wypełniony tą jedną myślą.

W miarę schodzenia w dół ekranu, dwukolorowe prostokąty zwięzły się w regularny kod paskowy i skracały w sekwencje kropek, zagęszczających się u dolnej ramy ekranu tak, że wychodziły poza zakres rozdzielczości ludzkiego oka. Alef sięgnął więc w ekran samą jaźnią. Stwierdził, że dziewczyna utrzymuje w sumie piętnaście poziomów tego komplikującego się w potrójnym postępie geometrycznym wzoru, aż do punktów o średnicy sześćdziesięciu nanometrów. Niżej nie potrafiła już poradzić sobie z ruchami termicznymi molekuł i jonów.

*Bardzo ładny zbiór Cantora* - pochwalił Alef, ujawniając swą obecność.

Nie wypchnęła go. Tylko się zdekoncentrowała i pięć najniższych poziomów elementarnego fraktala skomplikowało się natychmiast w wyższe formy chaosu.

*Proszę, przyjdź!*

*Dobrze.* - Wstał z materaca i ruszył do sypialni.

Gdy wszedł, Helena siedziała w niezmienionej pozycji i stanie umysłu. Dopiero gdy usiadł obok i objął ją, przez ekran przeszła gwałtowna fala coraz wyższych iloczynów topologicznych, po kilku sekundach przywracając łagodne zawirowania spontanicznych przekształceń dwu kolorów. Dziewczyna skuliła się bardziej, jakby zapadła w siebie.

- Zawiodłam, zasłużyłam na karę - powiedziała głucho. - Miałeś prawo to ze mną zrobić.

- Nie zawiodłaś, ani to nie była kara - odparł najłagodniej, jak umiał.

- Dałam się opętać.

- Potraktuj to jako kolejny stopień wtajemniczenia. Teraz już chyba wiesz, skąd we wszystkich kulturach świata wziął się zakaz nienawidzenia wrogów?

- To było takie naturalne... moje myśli i gniew splatały się tak harmonijnie... coraz mocniej... - Zadrżała na wspomnienie.

- Mówiłem ci, że demony to sprytnie bestie. Dobrze, że był tylko jeden, bo byłoby po nas. Powinienem być na ciebie bardziej uważać. Sam też dałem się ponieść okrucieństwu... Wybacz mi.

- Dlaczego ten demon nie pomógł tym ludziom, tylko nam? Przecież chyba powinno być odwrotnie?

- Być może nie miał paktu z Tyckim. Albo chciał się zabawić i zinterpretował umowę na swoją korzyść. One są w tym mistrzami. Poza tym demony zawsze wolą wspierać silniejszego i okrutniejszego. Myślę jednak, że w grę wchodzi raczej pierwsza z tych możliwości. Tam w klinice jest mocno poharatana struktura czasoprzestrzeni, w każdej chwili mogło coś wyleźć, zwłaszcza pod nieobecność gospodarza.

- Co by się z nami stało, gdyby...?

- Jakbym go z ciebie nie wyrwał? Przeszedłby tutaj za nami, a w laboratorium miałyby już dużo możliwości... Pewnie na początek byłoby chlapanie jakimś mocnym kwasem... raczej ty mnie... Potem pożar z mnóstwem cholernie toksycznego dymu, skażenie, ewakuacja domu, a może i całej ulicy. Gdyby to, co faceci w chemicznych kombinezonach znaleźliby potem w zgliszczach, nadawało się jeszcze do autopsji i analizy toksykologicznej, stwierdzono by, że para ćpunów na odlocie puściła z dymem swoją fabrykę narkotyków. Przygrzali, aż przegrzali... Gdyby jeszcze doszli, że jedno z tych dwojga uciekło ze szpitala psychiatrycznego, wszystko byłoby już więcej niż jasne. Zważywszy zaś obecność w pogorzelisku bojowych środków trujących z okresu pierwszej wojny światowej, dalsze śledztwo objęłoby bałtyckich rybaków, łowiących iperyt na głębi bornholmskiej oraz ich domniemane powiązania ze zorganizowaną przestępczością. Mam mówić dalej?

- Nie. - Helena spuściła głowę. - Ja się chyba do tego nie nadaję...

- Rychło w czas mi to mówisz! - Zirytowany wstał z łóżka.

- Myślałam, że to mieszkanie jest bezpieczne! Że jest twierdzą albo pułapką, jak tamten cmentarz...

- Twierdzą widać z daleka, przykuwa uwagę, dlatego przyjąłem inną strategię bezpieczeństwa.

- Jaką?

- Po co pytasz, skoro chcesz się wycofać?

- Boże... to wszystko jest takie trudne...

- Omega, weź się w garść!

- Przepraszam. - Otarła oczy. Dopiero teraz zauważył, że są zaczerwienione i podpuchnięte od płaczu i bezsenności. Do tego dochodził wpływ mikstury na rozszerzenie jaźni i wyczerpanie wielogodzinna koncentracją. Wyglądała jak świeżo potępiona upiórzyca.

- Jadłaś słodycze?

- Trochę...

- Natychmiast zjedz całą garść! - zdenerwował się nie na żarty. - Chcesz się odkorować?! Nic dziwnego, że głupiejesz z braku glukozy!

Posłusznie sięgnęła po salaterkę.

- Już. Usiądź, proszę...

- Wola i jaźń muszą mieć oparcie w sprawnym metabolizmie - mówił rozeźlony, krążąc po

pokoju. - Stabilna biochemia to podstawa! Nie jesteśmy demonami, by jak one funkcjonować bez związku z materią!

- Co się dzieje z nami po śmierci? - spytała z ustami pełnymi ptasiego mleczka.

Tylko machnął ręką i zrezygnowany siadł obok niej.

- Zapytaj księdza, nie szamana... - burknął - Rabin też może być.

- Dobrze. - Przelknęła i odetchnęła głębiej. - Więc co z tym systemem zabezpieczeń?

- Jest nastawiony na lekceważenie i zniechęcanie. W wielu domach jest dużo srebra, więc to nic szczególnego. Tutaj srebrnych przedmiotów też trochę jest. Niby przypadkiem tworzą taki układ, aby żadnemu demonowi nie chciało się zaglądać do środka. Ale są też i luki, żeby z kolei nie wydawało się, że ktoś w tej klatce z linii srebra specjalnie coś ukrywa. Polegam głównie na zacieraniu śladów. Dlatego wyraźny trop, wystawiający to miejsce na zaplanowany atak stanowi poważne zagrożenie. Jest ono największe, gdy w środku znajdzie się ktoś opętany...

- A sąsiedzi? - W miarę jak rósł poziom cukru we krwi Heleny, malało jej poczucie winy.

- Dyskretna manipulacja świadomości. Bagatelizuję wszelkie ich myśli na mój temat. Staram się być dla nich elementem społecznego tła. Dlatego mieszkam w bloku, a nie na odludziu. Jednak miałem z tego powodu spory problem z zapachami z laboratorium...

- Jak to rozwiązałeś?

- Silny wyciąg i dodatkowa rurka w przewodzie wentylacyjnym. Wylot zamaskowany tak, żeby kominarz się nie przyczepił. Oczywiście, nadal nie mogę robić nic, co otwarcie przyciągnęłoby ludzką uwagę, bo wolnej woli nie przełamie.

- Masz na myśli wolną wolę człowieka w niezmienionym stanie świadomości? - upewniła Helena.

- Albo zmienioną, ale tylko u osoby po treningu szamańskim. - Alef skinął głową. - Ci, których załatwiliśmy wczoraj, nie spełniali ani jednego, ani drugiego warunku.

- Demon-przewodnik to trzeci warunek... - zadumała się Helena.

- To jest tylko łagodniejsza forma opętania. Ktoś, kto ma zawarty pakt demoniczny, może delegować swego nadnaturalnego sprzymierzeńca do współpracy z wybraną osobą, która się na to zgadza. Demon z ramienia, wysunięty na czoło... tak to wygląda z całkiem dobrym przybliżeniem. - Uśmiechnął się i spoważniał. - Gdybyśmy zabawili w klinice trochę dłużej, odsiecz na pewno by przyszła.

- Jak się zawiera pakt demoniczny?

- Bardzo prosto. Wchodzisz w odpowiednie pasmo percepcji, mówisz, czego chcesz, i załatwiasz sprawę od ręki. To jest naprawdę szybka obsługa, tak szybka, że tak powinno być w każdym banku...

- A jak się tam wchodzi? - spytała, z trudem zachowując powagę.

- Tego nie musisz wiedzieć. Nie chcę cię wodzić na pokuszenie.

- Wiesz, że mówisz teraz całkiem jak Tycki?

- W końcu robimy w tej samej branży...

- Więc mam na zawsze pozostać głupią blondynką, która od czasu do czasu wpada w szal i wydlubuje ludziom oczy?

- Widzę, że ci lepiej. A Rybcem się nie przejmuj. Nie on pierwszy i nie ostatni. Wieszczyk Tejrzejasz, Homer, Edyp..., że wspomnę tylko starożytnych Greków. Od tysięcy lat dziwne rzeczy dzieją się z oczami, gdy ich właściciele biorą się za podpatrywanie spraw nie z tego świata... W każdym razie, skurwielowi się należało! Może teraz zmądrzeje. Wiesz, jeden z tych moich gangsterów, co z bliska zobaczyli iperyt, jest już w klasztorze... Gorzej, że ty dałaś się podpuścić i wymiar sprawiedliwości zamienił się w osobistą zemstę.

- Nie chcę już szukać zemsty - oznajmiła z powagą Helena. - Chyba dojrzałam do tego, by wybaczyć Tyckiemu i zapomnieć.

- Uważaj, jak on wybaczy tobie!

- Rozumiem - skinęła głową - że musimy zakończyć tę wojnę... Zatem, co dziś piszą w gazetach?

- Nic. Bo tym razem to było prawdziwe trzęsienie ziemi. Jak nie wierzysz, spójrz sobie oczami kogoś przy kiosku na dole... I jak?

- Rzeczywiście... - zdumiała się dziewczyna po chwili. - Myślałam, że napiszą o złych i

nieodpowiedzialnych krakerach...

- Którzy narazili szacowne spółki giełdowe na ogromne straty? – zadrwił Alef. - Albo o bestialskim katowaniu personelu naukowego jeszcze bardziej szacownej kliniki psychiatrycznej? Żeby wszyscy wokół pytali: dlaczego? Wszędzie tam, gdzie wczoraj byliśmy, trwa teraz wielkie sprzątanie i tuszowanie. Ale źle patrzysz, znajdź coś z prasy ekonomicznej, najnowsze notowania giełdowe...

Wzruszyła ramionami.

- Nie znam się na tym.

Alef zapatrzył się w przestrzeń.

- Odnotowano spadek notowań w grupie najbardziej innowacyjnych przedsiębiorstw - oznajmił. - Średnio 10-12%. Maklerzy mówią, że to przejściowa fluktuacja, ale wyrażają zdziwienie, bo dotąd firmy te stale pięły się w górę... - Skrzywił się. - Cholera, gość uznał tę wiedzę za poufną i chroni ją teraz jego wola! Muszę spróbować z kimś innym... - szukał długą chwilę, po czym uśmiechnął się szeroko. - No, proszę! Mleczko się rozlało... Wygląda na to, że ktoś niegłupi wpadł na pomysł, że skoro ludzie wyprzedają akcje bez powodu, to jednak musi być powód. Jeszcze nie wiedzą, że konkretnie był to cynk, że co najmniej przez parę tygodni, póki nie pozbierają tego serwera, giełdowe czarne konie będą miały szlaban na know-how, ale Komisja Papierów Wartościowych już zapowiada sprawdzenie sprawy... Nasi to pikus, ale za wielką wodą też mocno się wkurzyli, a oni nie odpuszczają, póki nie dowiedzą się, co jest grane. Inwestorom i cichym wspólnikom zaczną puszczać nerwy, a profesor Tycki znów poczuje się gorzej...

- Obawiam się, że to go raczej postawi na nogi - stwierdziła zamyślona Helena.

- Możesz mieć rację. - Alef wyszedł z transu. - Ale póki ma prawdziwe kłopoty, my jesteśmy jego drugim daniem.

- Może teraz jednak odpuści - powiedziała dziewczyna. - Ta zemsta i dla niego staje się zbyt kosztowna, a ma do niej dużo mniej powodów. Może uznajmy, że jesteśmy kwita?

- Jeżeli chcesz, znajdę sposób, aby ta myśl do niego trafiła. Powiedzmy, jeden z tych jego... jak ich nazwałaś? Trojaczków? dozna o szarym świecie, czyli zaraz, w drodze do pracy, przebłysku rozsądku i poczuje potrzebę, by podzielić się tą głęboką refleksją ze swoim szefem. Wybiorę najgłupszego z nich, żeby Tycki od razu wiedział, że jego docent sam na to nie wpadł... Do tego sugestia, że jesteśmy chętni i gotowi do dalszych ataków... – myślał głośno Alef. - Chcemy pokoju, więc szukujemy wojnę, ale po co te stresy? Więc dobrze, będziemy negocjować pokój!

Helena rzuciła mu się na szyję.

- Dziękuję! - Pocałowała go w policzek.

Kiedy jednak on spróbował poszukać jej ust, zeszywniała i zawstydzona odwróciła głowę.

- Ja wiem... - szepnęła. - Należę do ciebie i...

- Rozumiem - odpowiedział spokojnie. - Po wczorajszym to normalne.

- Ale naprawdę chcę, żebyś był ze mną... - zapewniła zmieszana. - Zaraz się przełamie!

- Nie - powstrzymał ją łagodnie i stanowczo. - Oszczędzaj siłę woli. Załatwimy to inaczej, jak już dojdiesz do siebie.

- A jak? - Spojrzała na niego tak ufnie, że aż się roześmiał, by ukryć wzruszenie.

- Niespodzianka! - pocałował ją w nos.

Po zażyciu swej najmocniejszej mikstury, Alef do późnego popołudnia siedział w bibliotece, w pozycji medytacyjnej, zwrócony twarzą do ściany. Helena pozostała na pobudzeniu podstawowym. Korciło ją, by wejść w umysł Alefa i podsłuchać, jak idą pertraktacje, wiedziała, że on nie miałby nic przeciw temu, ale ostatecznie się nie odważyła. Zbyt przerażała ją myśl, że mogłaby się tam zetknąć z jaźnią Tyckiego. Nie bała się ordynatora, ale własnych emocji, ich kolejnego wybuchu. Nie chciała sprawdzać, czy potrafi je opanować, a jeszcze bardziej nie chciała kolejnej, mentalnej konfrontacji z Alefem. Jego siła woli, ujawniona podczas starcia w klinice, w równym stopniu przerażała ją, co fascynowała. Wolą więc mówić sobie, że zbyt się Tyckim brzydzi, aby mieć z nim jakikolwiek kontakt. A z drugiej strony, świadomość, że nie potrafi się oprzeć Alefowi, przyprawiała Helenę o całkiem przyjemny trzepot serca... Po kobiecemu starała się temu zaprzeczyć, ale jako szamanka po inicjacji nie mogła już skutecznie wpędzić się w złudzenia. Ostatecznie, tak się jakoś samo złożyło, że wylądowała w gorącej kąpieli, a potem zaczęła przymierzać ciuchy. Wybrała niewinną białą bluzkę, ale bez stanika oraz długą spódnicę.

Gdy Alef skończył, pierwszy raz, odkąd się poznali, dostrzegła w nim oznaki zmęczenia. Nic nie mówiąc, poszedł od razu do laboratorium i przygotował sobie koktajl odtrutek. Potem też poszedł się wykapać, nieswoim głosem prosząc Helenę, by przyniosła mu słodycze. Kiedy jadł, dziewczyna przysiadła na krawędzi wanny. Spokojnie czekała, aż zacznie mówić.

- Jest dobrze - powiedział wreszcie. Miał wyraźny problem ze skupieniem wzroku na Helenie. - Mamy ten pokój.

- Tycki się zgodził?

- Nie od razu. Najpierw chciał, żebym cię zwrócił... Przeszło mu, gdy wspomniałem, że parę osób może otrzymać anonimowe maile z informacją, że przyczyną ich strat finansowych jest osobista niechęć pana profesora do pewnej dziennikarki. Akurat tylko wkurzonych pismaków brakuje jeszcze w tym pasztecie... Potem było trochę wojny nerwów, gry na zwłokę i prób namierzenia mnie przez jego pieszczochy. Przestali, gdy zagroziłem, że zaraz następny wróci tam, skąd przyszedł. Po ostatnim razie woleli nie sprawdzać, czy to blef. Tycki stwierdził więc, że między nami woda i zapominamy o sprawie.

- Uwierzyłeś mu? Dał jakieś gwarancje?

- Oczywiście, nie jestem dzieckiem! Tycki przy mnie zmodyfikował swój pakt z demonami. Ogłosił, że jeśli pierwszy podejmie jakiegokolwiek działania przeciwko tobie lub mnie, jego demony mogą się czuć zwolnione z obowiązku świadczenia mu usług. One wprost uwielbiają takie sytuacje. Zawsze po zawarciu paktu dążą do omińnięcia warunków, które je krępują. Zatem gwarancja pokoju jest mocna. Ustępstwem z naszej strony jest zobowiązanie, że nie tkniemy już więcej żadnych interesów Tyckiego, ani nikogo z jego ludzi. Inaczej koniec z ugodą i zaczynamy wojnę od początku. Mnie osobiście nie wolno już przekraczać mentalnie muru kliniki. Drugiej takiej, jak ty, już nie uratuję...

Helena przygryzła wargi.

- Podsumowując - dokończył Alef. - Wolność Tomku w swoim domku!

- Będą więc następni tacy, jak Gosiek.

- Będą - przytaknął z powagą. - Taka jest cena tego pokoju.

- A i ty możesz mniej niż dotąd...

- Tycki też będzie musiał się ograniczać. Poderwaliśmy mu wiarygodność w bardzo poważnych kręgach. Łatwo tego nie nadrobi. I nie martw się, są jeszcze inni szamani... Walka dobra ze złem na tym padole się nie skończyła, a my jesteśmy wolni!

- Co będzie z nami?

- Taak... - Alef wyciągnął się w wannie. - Oto jest pytanie! Przyznaję, że jest w naszym związku pewien brak logiki... - ponuro zawiesił głos.

Helena poczuła, że robi się jej zimno.

- Jaki?

- Owszem, bywają pary, które idą do łóżka na pierwszej randce. Zauważ jednak, że my, choć śpimy ze sobą, na żadnej randce jeszcze nie byliśmy.

- Chcesz powiedzieć, że...

Zamiast odpowiedzieć, oburącz chlusnęła na nią wodą, zalewając połowę łazienki.

- Co robisz, wariacie! - Parsknęła śmiechem pełnym ulgi.

- Konkurs mokrych podkoszulków! - zawołał. - Poza tym wolę cię w tej czerwonej bluzce. Przebij się i idziemy w miasto!

Pół godziny później, gotowi do wyjścia stali przed lustrem w przedpokoju.

- Wszystko świetnie - stwierdziła Helena - tylko te nasze oczy! Wyglądamy jak para zombi na przepustce z cmentarza... Żaden makijaż nie mógł tego zakryć.

- Raczej podkreślał, co? - Alef przesunął się tak, aby ich twarze znalazły się blisko siebie.

Jeżeli oczy są zwierciadłami duszy, to oboje byli martwi. Mieli całkowicie sztywne, rozszerzone źrenice. Częściowo sparaliżowane mięśnie gałek ocznych sprawiały, że oczy poruszały się niemrawo i bez synchronizacji, co dawało im bystrość spojrzenia pijanego kameleona. Ich portrety mogły być ozdobą każdego podręcznika psychopatologii.

- To skutek działania modyfikowanej metatropiny - wyjaśnił Alef. - Jak chcesz wiedzieć, to zdolność akomodacji wysiadła ci całkiem, a astygmatyzm masz taki, że nie odróżniłabyś konia od słonia.

- Żartujesz?! Przecież widzę wyraźniej, ostrzej i dalej niż kiedykolwiek!

- Bo twoja kora wzrokowa niepostrzeżenie przystosowała się do interpretacji bodźców kwantowych, dostarczanych nie tylko przez nerwy wzrokowe, one zresztą obsługują teraz margines twojej percepcji. Po prostu, widzisz już nie tylko oczami...

- Da się to odwrócić? - zaniepokoiła się.

- Owszem, kosztem kilkudniowej kreciej ślepoty. Zanim twoje oczy odzyskałyby formę, rozróżniałyś same jasne i ciemne plamy. Ale nie masz czego żałować. W końcu oczy wyższych kręgowców to kompletna ewolucyjna tandeta. Kto to słyszał, żeby nerwy i naczynia krwionośne w siatkówce umieszczać na warstwie światłoczułej, zamiast pod nią, i utrudniając dostęp światła? Jeżeli kreacjoniści mają rację, to Pan Bóg jest ostatnim partaczem! A do tego jeszcze prostacki układ optyczny typu camera obscura z jedną soczewką... Gdyby nie zaawansowana informatyczna obróbka bodźców wzrokowych w korze potylicznej, żadna małpa nie byłaby w stanie odróżnić węża od liany i byłoby po hominidach. Skoro jednak mamy w głowach tak dobre procesory obrazu, możemy też wykorzystywać je do widzenia jaźnią...

- Wszystko rozumiem, ale jak ja wyglądam?! - parsnęła Helena.

- Od razu widać, że jesteśmy razem... - stwierdził wesoło Alef. - A myślałaś, że niby dlaczego szamani na całym świecie noszą rytualne maski, które całkowicie zakrywają im oczy?

- W porządku! - powiedziała zgryźliwie Helena. - Wyjdziemy na ulicę w maskach czarowników Zulu, Pigmejów czy Papuasów? Ja wolałabym coś w stylu amazońskich Indian Maku...

- Ale masz wymagania! A nie mogą być niebiesko-żółte szkła fotochromowe? - wyjął z kieszeni kurtki dwie pary okularów. - Przeznaczone do prowadzenia samochodu o zmroku, ale do naszych potrzeb też sprawdzają się niezłe...

- Przyznaj się, znów mnie podpuściłeś! - Helena szturchnęła go łokciem i przymierzyła okulary. Objął ją od tyłu.

- Może troszeczkę.

- No, jak Trynity to teraz nie wyglądam...

- Witaj w alternatywnym Matriksie. - Ugryzł ją lekko w koniuszek ucha.

- Dokąd właściwie idziemy? - spytała, gdy znaleźli się w centrum.

- Zapomniałem ci powiedzieć, to będzie randka we troje...

- Co?!

- Przecież całymi tygodniami kisimy się we własnym sosie. Pora na trochę urozmaicenia...

- Kto to? - spytała zdumiona Helena, zastanawiając się, czy okazać rozczarowanie, czy się cieszyć z odmiany.

- Mój pośrednik w interesach, ale bez obaw, dziś nie będę gadać z nim o pracy. Chcę ci go tylko pokazać.

- On o tym wie?

- Nie, i dlatego będzie zabawniej. Na początek spóźnimy się przynajmniej godzinę...

- Jesteś pewien, że będzie czekał?

- Jest przyzwyczajony do cierpliwości. To ksiądz i były egzorcysta, albo odwrotnie... nie mam głowy do kanonicznych niuansów. A gdyby nawet sobie poszedł, to znajdziemy go w miejscu, w którym najmniej będzie się nas spodziewał... Oho! W bramie za rogiem mamy ćpunów - oznajmił. - Sięgnij tam, a przekonasz się, czym się od nich różnimy!

- Która to brama? - zdziwiła się Helena. - Ja nikogo tam nie wyczuwam...

- Bo jesteś przyzwyczajona wykrywać obecność człowieka po wibracjach jego woli. Ćpuny niczego takiego nie mają.

- Dobrze, więc postaram się odnaleźć jaźń... - stwierdziła Helena, nie zwalniając kroku. - O, już czuję...

Alef zajrzał do jej umysłu.

- Daj spokój, to kot w piwnicy!

- Kot? Jejku, on też mnie czuje! Ale fajnie, jakby się połasił... A teraz wypycha!

- Skup się i poszukaj jeszcze raz.

- Jakieś robaki...

- O to, to!

- Błeee!!! - Aż przystanąła z wrażenia. - To są ludzie?!!

- To z siebie zrobili.

- Jakbym zanurzyła głowę w gnojówkę...

- Nie wybrzydź, tylko analizuj. Co konkretnie zostało z ich umysłów?

- Jażń bez związku z tożsamością... ale to jasne, skoro nie ma woli... - Helena zaczęła znów iść. - Tożsamość w całkowitym rozpadzie... Nie ma tych niedostępnych fragmentów, o których mówiłeś, że zawierają światopogląd... Brak wyraźnej granicy między świadomością a podświadomością...

- A jak widzisz to, co odpowiada za uczucie głodu narkotycznego? - nakierował ją Alef. - Skoro nie jest to wola, to co?

- Czekaj... czekaj... - Właśnie mijali przecznicę, przy której stała kamienica z bramą, gdzie dogadzali sobie narkomani. - To jest... jak te nasze reakcje w ekranie! Tylko takie zwielokrotnione...

- Proste przyciąganie orbitali dwóch związków chemicznych, zdolnych wejść ze sobą w reakcję - uściślił Alef. - Tylko sfazowane w jeden efekt makro kwantowy o bardzo dużym gradiencie potencjału funkcji Gibbsa. To wszystko, co zostało z jażni. W praktyce nie czują nic poza drugim substratem reakcji. Jest tylko biały proszek, dążący do chemicznego połączenia z drugim białym proszkiem. Reszta funkcji psychicznych to gra pozorów, amorficznych wspomnień i schematów motorycznych.

- Oni są jeszcze ludźmi? - wzdrygnęła się Helena.

- Tylko z punktu widzenia miłosierdzia bliźniego i ślepej z urzędu Temidy.

- A demonów?

- One mogą mieć z ćpunów pożytek tylko w początkowych stadiach nałogu, kiedy jeszcze jest wola, którą można przejąć i wzmocnić. Z tych za nami już nie. Gdybyś spróbowała któremuś narzucić swą wolę i zmusić go, na przykład, by wstał i coś dla ciebie zrobił, jego umysł przecieknie ci, jak woda, przez palce. Nawet demon nie zdoła nad tym zapanować, opętanie będzie niestabilne, a opętany nie wykona poleceń w sposób przewidywalny.

- Ale one próbują?

- Pewnie! Granica całkowitej bezużyteczności jest płynna, a narkoman w okresie, gdy nałogu jeszcze nie widać, to idealne narzędzie demonów.

- Wiesz, Alef, że psujesz nastrój? Myślałam, że jesteśmy na randce.

- Przepraszam. Wolisz sushi czy steki?

- Spóźniłeś się! - zawołał z wyrzutem otyły mężczyzna w wieku około pięćdziesiątki, o twarzy okrągłej jak księżyc w pełni, z brodawką w kącie nosa i lewego oka. Ubrany był w białą koszulę i ciemną marynarkę bez krawata. Siedział przy stoliku w pubie, urządzonym w stylu satanistyczno-gotyckim.

- Tylko półtorej godziny. - Alef machnął ręką. - Wielu modliło się do mnie, abym przybył, więc zostałeś wysłuchany dopiero, gdy przyszła twoja kolej...

- Modłę się za ciebie, nie do ciebie! - syknął rozeźlony duchowny.

- Ale chciałeś, żebym przyszedł, więc co za różnica? - rzekł Alef tonem uroczystym. - Czego więc pragniesz, śmiertelniku?

- Specjalnie kazałeś mi tu czekać! Wiesz, że usilnie staram się o przywrócenie prawa sprawowania sakramentów i gdyby ktoś zauważył, że przesiaduję w takim miejscu...

- Odrobinka szatańskiej przewrotności. Czyżbyś, Michałku, naprawdę sądził, że któryś z pobożnych kleryków i ministrantów bywa w tak niegodziwych miejscach? Czyż to naprawdę możliwe? Czyżby nawet wśród was zdarzali się hipokryci? Co za czasy i obyczaje...!

Helena nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

- A to kto?! - Ton, w jakim zadano pytanie, był co najmniej nieuprzejmy.

Dziewczyna pochyliła się nad stołem, zdjęła okulary i spojrzała mężczyźnie prosto w oczy. Ten z wrażenia omal nie spadł z krzesła.

-Apage... -jęknął.

-Mów mi Helia - powiedziała zmysłowo, zakładając okulary z powrotem.

- Przedstawiam ci księdza Michała Koniczyna, egzorcystę - oznajmił Alef, krztusząc się ze



śmiechu.

- Byłego egzorcystę - uściślił ponuro Koniczyn. - Przez ciebie zresztą...

- Egzorcyzmował biskupa wbrew jego woli - wyjaśnił Alef.

- I co, nie udało się? - spytała Helena.

- Udało, bo dyskretnie pomogłem, ale biskup okazał się szują także sam z siebie. Po wszystkim uziemił wielebnego Michała za złamanie ślubu posłuszeństwa.

- Nie było cię przy tym! - zaprzeczył Koniczyn. - To Chrystus swą mocą ocalił duszę biskupa, a ja pokutę swoją w pokorze przyjmuję i Jemu ofiarowuję...

*On uważa mnie za przedstawiciela jednej ze zwalczających się frakcji satanistów* - przekazał Alef Helenie.

*Czemu mu nie wytłumaczyłeś?* - odpowiedziała także bez słów.

Podeszła do nich kelnerka.

*Próbowałem, ale dla niego okultyzm, czarownictwo i szamanizm, wszystko jest jeden czort! Pryncypialny typ, nie widzi różnic. To pewnie skutek prania mózgu w seminarium, które oni nazywają formacją kapłańską. Zatem w trosce o spójność jego psychiki i światopoglądu, zgodnie z zasadą miłości bliźniego staram się nie przyprawiać go o dysonans poznawczy i trzymam konwencję, choć czasem to diablo trudne...* - Równocześnie Alef głośno zamawiał piwo, deskę serów i solone orzeszki.

- Skoro ksiądz tak nami gardzi, czemu chce rozmawiać? - spytała Helena, gdy odeszła kelnerka.

- Nie gardzę wami, lecz troszczę się o wasze dusze. - Koniczyn nagle przestał się denerwować i wyprostował na krześle. - Martwi mnie, że sprowadziłeś tę niewiastę na złą drogę - spojrział z wyrzutem na Alefa. - Myślałem, że jednak jesteś inny...

- My, sataniści, nie zachowujemy celibatu.

- Chwilami nie wiem, kiedy mówisz serio, a kiedy żartujesz, mój bracie.

- Chętnie bym wytłumaczył, ale choć raz musiałbyś mnie wysłuchać...

- Nie interesują mnie praktyki okultystyczne! Chcę z tobą rozmawiać, ale nie o tym... Nie dam się wciągnąć w to bagno!

- Więc o czym mielibyśmy mówić? - zainteresowała się Helena.

- O bożym miłosierdziu i drodze nawrócenia, która jest dla was zawsze otwarta.

*Będzie nas nawracał?* - spytała dziewczyna.

*Tak. I zaraz tak się zaperzy, że zapomni, po co przyszedł. To gwóźdź programu dzisiejszego wieczoru...*

- Ksiądz nas chyba osądza zbyt surowo - powiedziała głośno.

- Ja wcale was nie osądzam.

Wróciła kelnerka z tacą. Helena uniosła piwo do ust.

- Tylko co?

- Zaświadczam o bożym miłosierdziu i wzywam do nawrócenia.

- Aha... Ale może jest coś, czego ksiądz o świecie nie wie?

- Z pewnością w świecie jest wiele błędów, których poznawać nie chcę.

- A skąd ksiądz wie, że to są błędy?

- Stąd, że jest jedno, krystalicznie czyste okno, które pozwala widzieć świat w prawdzie i tylko w prawdzie.

- Jakie?

- Nauka świętego Tomasza z Akwinu! - oznajmił z godnością Koniczyn.

Alef zakrzuszył się piwem.

- Znaczy co... - Złapał oddech. - Nie ma atomów i cząstek elementarnych, a wszystkie byty są nadal złożone z formy i materii? Ciągłe obowiązuje fizyka Arystotelesa, którą święty Tomasz włączył w swój system?

- Języki przyrodników i filozofów są zupełnie różne...

- Idiota! Wiedza jest jednością!

*I kto tu się zaperza?!* - Szturchnęła go mentalnie Helena.

- W pokorze nadstawiam drugi policzek, mój bracie. Znieważaj mnie dalej.

- Może innym razem - opanował się Alef. - Jesteś jednak trochę mniej ważny niż prawda. Czy nie widzisz, że to, co mówisz o dwóch językach poznania, to dwojmyślenie w stylu Orwella?

- Nie. To jest mistyczna tajemnica wiary. A żadnego Orwella nie czytałem. Nie pociąga mnie

płocha erudycja.

*Teraz dla odmiany leci świętym Augustynem...* - skomentował niemo Alef.

- I nie ma ksiądz wątpliwości? - zagadnęła Helena

- Oczywiście, że mam, nieustannie odczuwam zwątpienie, ale staram się je przewyciężyć w modlitwie.

- W transie możesz wmawiać sobie wszystko, cokolwiek zechcesz - rzekł Alef. - Modlitwa to jedna z wielu metod rozszerzania jaźni...

- Wszystko inne jest narkotyczną ułudą! - wpadł mu w słowo Koniczyn. - Nie ma nic prawdziwszego od zatopienia w głębokiej modlitwie.

- Doprawdy? - syknął Alef. - A to się Beniek Laden ucieszy! Ale skoro tak, to czemu potępiliście mistrza Eckharta?

- Nie mnie roztrząsać wyroki Stolicy Apostolskiej.

- A może jednak skutki przemodlenia bywają podobne do narkomanii?

- Kościół, jeśli uzna za słuszne, potrafi sam korygować swoje wyroki.

- Raczej nie - odparł Alef. - Nie da się niczego poprawić, jeśli posłuszeństwo ma przewagę nad krytycznym myśleniem. Dziękujcie heretykom, bo gdyby nie oni, nadal głosilibyście, że na przykład, kobieta nie ma duszy...

- Kościół od początku głosił równość kobiet i mężczyzn! - zapewnił Koniczyn, zwracając się do Heleny.

- Naprawdę?! - zakpił Alef. - A co na to twój święty Tomasz...? Wiesz, wielbny, mnie się wydaje, że twój Kościół odkrył w sobie tę mądrość dopiero wtedy, gdy feminizm zaczął odnosić wyraźne sukcesy. Podobnie było z ekologią, gdy Zieloni urosli w siłę i zarzucili wam, że rabunkowa eksploatacja środowiska wzięła się od biblijnego nakazu „czyńcie sobie ziemię poddaną”.

- To nieprawda! Adam w raju był ogrodnikiem...

- Wymyśliliście to po fakcie, więc się nie liczy! - uciał Alef. - Jeszcze raz mówię, dziękujcie heretykom, którzy mieli odwagę się sprzeciwić bezmyślnemu powtarzaniu niedorzeczności.

- Raz dałem ci się namówić do nieposłuszeństwa i patrz, czym się to skończyło!

- Jak to czym? - Alef spoważniał. - Wiesz dobrze. Twój drogi arcybiskup przestał wreszcie posyłać nowicjuszek na skrobanki!

- Może zbyt szybko i niesłusznie go osądziłem... Może należało...

- Milczeć i nie wychylać się z szeregu, tak? Przynajmniej raz w życiu zachowałeś się przyzwoicie i teraz tego żałujesz?

- Mogłem się mylić i może za to, za swą pychę, zostałem słusznie ukarany. Sąd należało zostawić Bogu...

- Przepraszam - wtrąciła się Helena. - To w końcu, w co ksiądz wierzy? Co jest prawdą?

- Prawdą jest to, co Kościół podaje nam do wierzenia.

- A jeśli to się kłóci z tym, co wiemy o świecie?

- To musi być znak, że tkwimy w błędzie lub że stoimy wobec tajemnicy wiary, której ludzkim umysłem nie da się przeniknąć.

*Miałeś rację, to nieprzemakalnie pryncypialny typ!* - oznajmiła Helena, przez nieuwagę przekazując tę myśl obu rozmówcom. Zdumiony Koniczyn zamrugał gwałtownie oczami i podejrzliwie popatrzył na swoją wodę mineralną.

- Nie należało nadawać statusu świętych prawd wiary zwykłym filozoficznym spekulacjom, bo kiedyś jakiemuś papieżowi się spodobały. Przez to teraz nie możecie się z tego wycofać i brniecie w coraz większe absurdy, wmawiając sobie i innym, że tak właśnie powinno być - stwierdził chłodno Alef. - A świat omija tę wydumaną rafę z rosnącym dystansem. Ma rację ten wasz Hans Kung, że wierność tradycji to tylko fasada...

- A co, mamy może tańczyć, jak nam świat zagra? - zirytował się Koniczyn. - Proszę bardzo, zrezygnujmy z obrony życia, niech cywilizacja śmierci robi, co chce, a sataniści niech nam udzielają moralnych pouczeń, co mamy robić!

*Nie jestem satanistą!!!* - huknął rozsierdzony Alef w głowie duchownego, pozwalając także usłyszeć to Helenie.

*Ależ nie denerwuj się tak!* - zmięgowała go dziewczyna, też nie kryjąc przekazu. - *Za bardzo się przejmujesz...*

*Jak mam się nie przejmować? Przez własną głupotę naupuszczali demonów do tego świata i teraz strugają głupków, zamiast pomóc sprzątać! Jakbyście mniej zajmowali się scholastycznymi wyдумiskami, a więcej ludźmi, tym co oni czują, może nie byłoby ze światem aż tak źle!* - Alef pochylił się w stronę Koniczyna, który przerażony wpatrywał się w jego nieruchome usta.

*I kto mi mówił, że nie chce łamać konwencji?* - mitygowała Helena.

*Przejadło mi się!*

*Znowu psujesz nastrój...*

- Przepraszam - burknął Alef, hamując swe emocje.

- To jest... jest... złe miejsce... - Koniczyn zaczął szczerkać zębami. - Ja słyszę głosy... Głosy, które obrażają Kościół... jakby wy, ale nie wy...

*I patrz, co narobiłeś!* - przekazała Helena już tylko Alefowi.

*Pierwsza zaczęłaś...*

- Muszę stąd wyjść! - Duchowny wstał gwałtownie, omal nie przewracając krzesła. - Muszę się modlić...

- Nie denerwuj się, Michał, to była tylko telepatia - uspokoił go Alef. - Nie jesteś nawiedzony.

- A jak posiadliście tę umiejętność?

- To długa historia.

- Kto wam dał ten dar?! Przecież nie Chrystus...

- Można się tego nauczyć.

- A kim są wasi nauczyciele? - Koniczyn aż zadygotał.

*To po prostu jedno z praw przyrody* - przekazała Helena.

- Nie składaliście żadnych ofiar siłom ciemności? Nie wzywaliście ich?

Oboje przecząco pokręcili głowami.

- Nie - odpowiedział Alef.

- Ale znacie tych, co składają?

- Znamy.

- Więc jakże mogę sądzić, że nie jesteście od Złego?

- Umiesz odróżnić złodzieja od okradzonego? Dla ciebie jeden i drugi w równym stopniu jest zamieszany w kradzież?

- Nie wiem, czy mogę wam wierzyć...

Alf sięgnął po swoje piwo i dopił je duszkiem.

- No właśnie! I po co w takim razie było zapewniać nas o swej duszpasterskiej trosce? - spytał, odstawiając szklankę.

- Nie wiem, czy moja troska jeszcze może pomóc... Nie wiem, czy już nie jesteście zgubieni...

- I to by było na tyle, jeśli chodzi o wiarę, nadzieję i miłość... *A idźże się modlić!*

- Tak, tak! Koniecznie powinienem... - Koniczyn wybiegł z pubu.

Helena oparła brodę na dłoni i bębniąc palcami drugiej ręki o blat stołu, bez słowa, powłóczyście wpatrzyła się w Alefa.

- Tak, wiem... - mruknął zakłopotany. - Chyba nie jestem najlepszy w organizowaniu randek... Właściwie słabo się na tym znam.

- Po pierwsze, to się robi tylko we dwoje - mówiła głośno i wyraźnie, jak nauczycielka do tępego ucznia. - Taka jest konwencja, wiesz? Po drugie, kto mi mówił, że wolna wola każdego człowieka jest chroniona i nie da się naruszyć wybranego przez nią światopoglądu?

- Masz rację, poniosło mnie...

- Tylko nie przepraszaj! Powiedzmy, że jesteśmy kwita...

- Co dalej?

- Przejmuję dowodzenie! Po tym wszystkim, co tu usłyszałam, marzę już tylko, aby wyszaleć się z tobą na jakimś sabacie czarownic. Gdzie tu jest najbliższa dyskoteca?

## 10. POŚREDNIK

Wrócili do domu rozchichotani.

- Zapamiętam sobie - śmiała się Helena - że na pierwszej randce stale mnie przepraszałeś! Nigdy nie tańczyłeś z dziewczyną?

- Szamani tańczą z duchami - odparł Alef tonem nadąsanej wyroczni. - A te nigdy nie skarżą się na podeptane stopy!

Potem poszli się kochać. Tej nocy robili to jednak bez szaleństwa i namiętności, ale uważnie, w skupieniu, skoncentrowani, by dać sobie nawzajem jak największą rozkosz. Oboje wiedzieli już, jak najlepiej łączyć swoje ciała i jaźnie, jak otaczać się doznaniem. Starali się w tym przelicytować, rywalizowali w pieśczościach i niepostrzeżenie wymiana zmysłowych darów zamieniła się w erotyczne go; każde z nich starało się zamknąć to drugie w przestrzeni przyjemności i ekstazy. Ich jaźnie wyostrzały się tak bardzo, że chwilami widzieli wnętrza swoich ciał, swoje myśli, wyładowania w zakończeniach nerwowych, impulsy, które szukały się, splatały, a w momentach wspólnego orgazmu sprawiały, że wszystko stawało się krystalicznie przejrzyste i jasne. Ona pozwalała mu czuć kaskady swojej rozkoszy, iskrzącej raz po raz, jak potok na kolejnych stopniach kaskady. On zabierał ją ze sobą, gdy zrywając wszystkie więzy, wzbijał się ostro w górę, ponad przestrzeń i czas.

Potem, kiedy odpoczywały ich ciała, umysły kochały się nadal. Połączone podświadomości wypełniały się uczuciem ciepła i bezpieczeństwa. Wyćwiczone wole Heleny i Alefa nie dawały im jaźniom zatracić się w zmysłowym oszołomieniu, lecz pozwalały wyraźnie odczuwać każdy z miliardów okruczeń przyjemności, które wirowały i kłębiły się w nich jak piasek w pustynnej zawiei. Aż wreszcie Helena otworzyła się przed Alefem tak bardzo, że cała jego zdolność odczuwania wniknęła w jej tożsamość i on stał się nią. Równocześnie Alef zrobił to samo dla jaźni Heleny i ona stała się mężczyzną. Po pierwszym takim, trwającym ułamek sekundy kontakcie, spłoszeni intensywnością zmiany, cofnęli się do swych samoświadomości, po czym zebrawszy się na śmiałość, wymienili się sobą jeszcze raz. Po kolejnej chwili zawahania, z nieskończoną rozkoszą, płynnie i delikatnie, stopili się w jedno idealne androgenie. Było to uczucie tak intymne i głębokie, że całkowicie znieruchomieli. W tym bezruchu zawarta się doskonała martwota niebytu.

Czas przestał płynąć.

Stali się sobą zupełnie niepostrzeżenie. Prócz odzyskanej tożsamości czuli też całkowity spokój, a ich umysły miały niezmaconą jasność.

- My umrzemy, prawda? - zapytała Helena.

- Jak wszyscy - odpowiedział Alef.

- Ale my umrzemy szybciej od innych?

- Tak. Na dłuższą metę nie uda się uniknąć degradacji układu nerwowego. Mamy zmysły półbogów, ale wciąż jesteśmy tylko nagimi małpami.

Wtulili się w niego mocniej, wciskając mu głowę pod pachę.

- Czy przeżyliśmy już wszystko?

- Ależ skąd! - roześmiał się cicho. - Została nam jeszcze modlitwa egzystencjalisty.

- To znaczy?

- Panie Boże, proszę o jeszcze trochę tego samego.

Przeszedł ją powracający dreszcz rozkoszy.

- Jesteś pewien, że On jest?

- Oczywiście.

- A czy możemy zażyć coś, żeby się przed Nim znaleźć?

- Oczywiście, arszenik, cyjanek, VX, ale to będzie krótka i raczej chłodna audyencja.

- Nie żartuj! Wiesz, o czym mówię.

- Nie ma takiej substancji. LSD i heroina dają tylko złudzenie zbawienia. Sama przechodziłaś tę próbę, więc wiesz najlepiej.

- Jednak są takie substancje, po których można spotkać demony?

- Są. W sumie około trzydziestu.

- Więc dlaczego?

- Pytasz, dlaczego nie ma drogi na skróty? Szkoda, że nie spytałaś Koniczyna...
- Pytam ciebie.
- Zasada Zachowania Wolnej Woli, Kiciu... - Pocałował ją szybko, żeby zamknąć jej usta i zarazem przeprosić. Całował tak długo, aż poczuł, że mu ulega. - W towarzystwie demonów - podjął przerwany wątek - prędzej czy później robi się niesympatycznie. No, powiedzmy szczerze, że raczej później niż prędzej, ale nieuchronnie. Wszystkie przekazy kulturowe są co do tego zgodne, więc nie ma nadmiaru chętnych. Gdyby jednak był środek pozwalający naprawdę obcować z Bogiem czy osiągać buddyjską nirwanę, wyobraź sobie, na jakim haju chodziłaby cała ludzkość.
- Zapanowałoby Królestwo Niebieskie.
- No, coś ty?! Wszystkie narody wymarłyby z głodu i wycieńczenia, bo kto by wtedy miał głowę do takich przyziemnych spraw jak jedzenie i infrastruktura? Pewność istnienia Boga, aniołów i demonów znacząco wypaczałaby nasze zachowania. Mniej byłoby przejawów twórczości i przedsiębiorczości, więcej fatalizmu. Trudno byłoby w tych warunkach mówić o wolności. W odwrotną stronę też to działa. Pewność braku Boga byłaby smutna, nie zachęcała do robienia wielu miłych rzeczy, a wolność zmieniałaby się w anarchię, więc ateści też nigdy nie dopną swego. Cała nasza rzeczywistość jest tak skonstruowana, żebyśmy nie mogli być pewni rzeczy będących źródłem egzystencjalnego czy światopoglądowego przymusu. Dzięki temu czujemy się wolni i jesteśmy wolni. Możemy wierzyć, w co chcemy i żyć według uznania, nawet innym na przekór, a przynajmniej tego próbować. Możemy komuś odbierać wolność lub walczyć o wolność, ale zawsze będzie w tym zachowana równowaga. Im większe wprowadzisz zniewolenie, tym większy napotkasz sprzeciw. I zarazem, im większa anarchia, tym silniejsze żądania porządku. Po to, abyśmy mogli cieszyć się tą naszą osobistą wolnością wyborów, wolna wola musi być zachowana w wymiarze metafizycznym, jako najbardziej stanowcze prawo całej naszej rzeczywistości. Nic z zewnątrz, z zaświatów czy innych wymiarów, nie może tu wleźć i udowodnić nam, że żyjemy złudzeniami. Nasze poczucie wolności i możliwości kontroli nad tą rzeczywistością nie jest złudzeniem. Zapewnia to Zasada Zachowania Wolnej Woli. Ustanowił ją Bóg, abyśmy nie czuli się jego niewolnikami, jak anioły, co nie wszystkim im się spodobało... Bóg więc tej zasady nie narusza i działa zgodnie z nią.
- A Jezus? - szepnęła Helena.
- Wszystko odbyło się zgodnie z Zasadą Zachowania Wolnej Woli, więc możesz w Chrystusa nie wierzyć. Możesz uznać całą historię zbawienia za plotkę, mit, nieporozumienie, oszustwo, cokolwiek zechcesz, jak zresztą sądzi o tym większa część ludzkości. Być chrześcijanką naprawdę nie musisz, to twój wolny wybór.
- Nie wychowanie? - zaproponowała.
- Wychowanie, jak dorośniesz, możesz sobie skorygować wedle uznania, jak wiele osób. Ja, w każdym razie, lubię chrześcijańskiego Boga za to, że był odpowiedzialnym Stwórcą. Znaczy, z własnej woli i na własnej skórze sprawdził, jak to jest być swoim własnym stworzeniem... To mi się podoba i dlatego jestem po Jego stronie, wbrew insynuacjom Koniczyna.
- I tępisz demony.
- Ich nie można zabić, tylko przegnać z powrotem.
- A one nie mogą nas najechać? Jak kosmici z innego wymiaru?
- Nie. Nie mogą tu wejść, póki ktoś ich nie wpuści, a i wtedy muszą się kryć. Chociaż chcą, nie mogą wjechać z butami w naszą rzeczywistość i robić kaszanę, jak się wydaje scenarzystom horrorów. Zabrania im tego Zasada Zachowania Wolnej Woli, której nie są w stanie złamać, albo, jak powiedziałby każdy człowiek z branży Koniczyna; pozostają w bożej mocy. Więc zjawiają się, gdy nasza wolna wola wprost im tego nie zabrania lub gdy je wręcz zaprasza. Bardzo się o te zaproszenia starają, stąd substancje umożliwiające kontakt leżą niemal wszędzie...
- Nie powiesz mi, co to jest?
- Obym nie musiał... ale widziałaś nie raz... Uwierz mi, że to wiedza, którą czasem zbyt trudno jest dźwigać.
- Wierzę. - Pocałowała go w policzek. - Więc czemu im tak zależy?
- Pytałaś już o to - zauważył. - Może im ciasno u siebie, bo zwinięte wymiary to grubo mniej niż średnica protonu, dokładnie dwadzieścia rzędów wielkości mniej... A może chodzi o co innego i do szalu zawiści doprowadza je nasze dobre samopoczucie, które mamy dzięki Zasadzie Zachowania Wolnej Woli, i koniecznie chcą nas go pozbawić albo też je poczuć. Na pewno wkurza je, że muszą się z nami liczyć, przypochlebiać się nam i ciągle nas przekupywać, bo starczy jeden sprzeciw ze strony

zainteresowanego, a muszą migiem wracać tam, skąd przyszły... Jak mówiłem, nagrody pocieszenia, które zwykle biorą ze sobą, ich nie satysfakcjonują.

- Skoro starczy się sprzeciwić, po co ten cały Koniczyn i jego egzorcyzmy? Słyszałam, że to dużo zachodu i wysiłku...

- Jak się egzorcyzmuje osobę, która w głębi duszy tego nie chce, to możesz sobie egzorcyzmować do upojenia i prędej zabijesz, w wodzie święconej utopisz czy relikwiarzem zatłuczysz niż złamiesz wolną wolę. Dalej, egzorcyzmy nie działają na zwykłą chorobę psychiczną, a granica jest tu bardzo płynna. Zgadnij, ilu ludzi z zespołem Tureta spaliła Święta Inkwizycja jako nie budzące najmniejszych wątpliwości przypadki opętania? Ojczulkowie woleli olać Chrystusa, kiedy mówił o miłosierdziu... Święta instytucja... święta władza... święty system... - wyliczył z rosnącą irytacją - czyste oksymorony! Ale mniejsza o to. Ten sam przypadek może być na zmianę opętaniem lub chorobą, raz tak, raz tak, okresowo, Zasada Zachowania Wolnej Woli to dopuszcza, i co wtedy? Zresztą tak bywa najczęściej... Cała kościelno-medyczna procedura Koniczyna jest psu na budę, ale weź mu wytłumacz! Stolica Apostolska rytuał rzymski ustaliła i koniec. Pomagałem Michałowi, ile mogłem, ale jego historyczny sprzeciw bardziej działa na mnie niż jego pacjentów, wiąże mi ręce - westchnął ciężko Alef. - Po wczorajszym spotkaniu będzie pewnie jeszcze gorzej.

- Będziemy walczyć razem - zapewniła z powagą Helena. - Ty, Alef, i ja, Omega. Póki nasze ciała się nie rozpadną.

Alef odpreżył się.

- Tak... Będziemy walczyć. Zresztą z czegoś żyć trzeba... Ale póki masz jeszcze takie ładne piersi, mogę je trochę pocałować?

Zadarła nosa.

- No, nie wiem... A będziesz dla nich sprawiedliwy? Żadnej nie zaniedbasz?

- Chcesz się przekonać... - Pochylił się nad nią.

Wsunęła palce w jego włosy.

- I niżej też... - szepnęła po chwili. Wsunął jej język w pępek.

- Jak nisko?

- Najniżej...

Zaczął całować wewnętrzne powierzchnie jej ud, a ona unosiła je coraz wyżej. Na chwilę przerwał, wyczekał, po czym dmuchnął w jej włosy tonowe.

- Ooooo.... - jęknęła przeciągle.

Alef nagle usiadł.

*Wejdz w mój umysł!* - polecił. *To Koniczyn?! - Helena otrzeźwiała. - Też coś wziął? Nie on. Musiał długo się modlić. Przy dużej wprawie efekt bywa podobny. Skoro potrafią czytać w myślach, powinni wiedzieć, że o nich myślę... To nie tak, ale akurat o tobie mówiliśmy - przekazał Alef, wchodząc w głębszy trans. - Chociaż specjalnie nam ciebie tu nie brakowało...*

*Jest późno... - domyślił się. - Ale przecież nie jesteście małżeństwem...*

*Nie twój interes! Mam zerwać kontakt?!*

*Wybacz, nie chciałem przeszkadzać, ale nie musieliście mnie wieczorem straszyć...*

*Mogłeś sobie darować ostentacyjny fundamentalizm.*

*I nawzajem. Myślę jednak, że Pan zesłał mi oświecenie. Niestuszenie was odtrąciłem...*

*Tylko żadnych kazań o celnikach i jawnogrzesznicach!*

*Ja się nie wstydzę - oznajmiła Helena.*

*Domyślam się, że jesteście animistami...*

*To zawsze jakiś postęp!* - Alef nie krył sarkazmu.

*Najważniejsze nie ustawać w dialogu ekumenicznym. Lecz chodzi mi o sprawę, z którą przyszedłem.*

*A możemy się z tym umówić na rano?*

*O dziewiątej znów będę w kaplicy.*

*Znajdę cię. To na czym skończyliśmy...? - zwrócił się do Heleny.*

Po nocnych szaleństwach potrzebowali dwóch godzin prawdziwego snu. Helena spała nawet dwie i pół godziny. W tym czasie Alef rozmówił się z Koniczynem, a także zakrzętał w kuchni i laboratorium.

Kiedy dziewczyna wstała, Alef czekał już ze śniadaniem, na które składały się kanapki z dżemem i miodem, cukierki toffi oraz dwa zestawy odtrutek, rozpuszczonych w mleku i eterze. Helena zrobiła sobie podkład z dwóch kanapek, po czym desperacko wychyliła roztwór eterowy i szybko zapila go koktajlem mleczno-ziolowym. Alef, odwrotnie, mleko wypił najpierw, a eterową nalewkę sączył jak stary koniak.

- Myję zęby trzy razy dziennie - powiedziała Helena, biorąc trzecią kanapkę. - A i tak czuję, jak mi się szkliwo lasuje... Czy próchnica to choroba zawodowa szamanów?

- Myślę, że określenie: "wygląd archetypowy" brzmi znacznie lepiej - odparł Alef.

- Włosy też mi się przesuszają... - stwierdziła dotykając głowy. - Muszę kupić lepszy szampon... Rozumiem, że całe to gadanie o chatkach z piernika jest echem wzmożonego zapotrzebowania na cukier. Powiedz, gdyby nie higiena i kosmetyki, po jakim czasie wyglądałabym jak Baba Jaga?

- Po pół roku. Ale zapomniałaś o odtrutkach, a z ich jakością też różnie bywało. W sumie w średniowieczu kariera szamana trwała pięć do piętnastu lat, zależnie od wiedzy i indywidualnej odporności. Finał nigdy nie wyglądał zachęcająco. Tylko szarlatani oczywiście żyli dłużej i wyglądali lepiej. Pomijam toksyczne kontakty z przedstawicielami władz kościelnych...

- Właśnie, jak twój dzisiejszy kontakt?

- Woląłem nie przyjeździe.

- Dla nas to chyba żaden problem?

- Pewien proboszcz z malej, podmiejskiej parafii zgłosił systematyczne profanowanie miejscowego cmentarza, przypuszczalnie przez satanistów.

- To chyba sprawa dla policji? W ostateczności ludzie mogliby się skrzyknąć i przypilnować cmentarza.

- Policja nie przyjęła zgłoszenia, a ludzie nic nie wiedzą.

- Jak to?!

- Nie ma oznak jawnej dewastacji, żadnego otwierania i rozbijania grobów czy wyrywania krzyży.

- A co jest?

- Drobne zmiany, świeża zaprawa, małe przemieszczenia nagrobnych płyt, wazonów, doniczek... Pierwszy rzecz zauważył miejscowy grabarz i zaczął opowiadać, że ktoś grzebie w grobach... Nikt nie dał wiary, bo gość rzadko trzeźwieje. Jednak proboszcz dla świętego spokoju postanowił sprawdzić i zrobił kilka dyskretnych znaków na świeżych grobach, tak żeby grabarz nie widział. I okazało się, że pijaczyna ma rację. Proboszcz poszedł z tym do biskupa, a ten nakazał dyskrecję i modlitwy o nawrócenie sprawców.

- Nie uwierzył proboszczowi?

- Dobrodziej swoje lata ma, jest już po siedemdziesiątce, więc mogło mu się coś pozajęzkować. Może eminenca nie chciał robić zamieszania, zresztą cała ta firma to nie są siły szybkiego reagowania, delikatnie mówiąc. W każdym razie, tak sprawa dotarła do Michała i on się jej bliżej przyjrzał.

- To jak to jest z tym twoim księdzem, zawiesili go czy nie?

- Zawiesili w obowiązkach kapłańskich, ale o dziwo, nigdzie nie zostali. Nadal siedzi w kurii za biurkiem. Zdaje się wyegzorcyzmowany pryncypał woli Michałka mieć na oku, albo to kwestia resztek sumienia. Tak dla jasności, to inny biskup.

- I co Koniczyn stwierdził?

- Że z grobów znikają fragmenty zwłok. Mieli tam ostatnio dwie ekshumacje, jedną sądową, drugą rodzinną, w związku z przeniesieniem na inny cmentarz, więc Michał skorzystał z okazji. Akurat obie dotyczyły wątpliwych grobów. W tym drugim przypadku w trumnie brakowało dłoni.

- Czarna magia?

- Nie można wykluczyć. Jednak rodzina nie zrobiła sprawy. Nieboszczyk był mocno zleżały, więc uznali, że „takie drobne kosteczki musiały się całkiem w proch obrócić”. Woleli w to uwierzyć, a Michał przez delikatność nie naciskał. Dopiero przy tej sądowej ekshumacji wyszła grubsza sprawa. Pochowany był niezłym oprychem, a autopsję zarządzono, bo pojawiły się wątpliwości co do autentyczności aktu zgonu i tożsamości już szczęśliwie nieobecnego. W trumnie był ponoć totalny kipisz. Lekarz sądowy stwierdził między innymi, że ciało sztucznie oddzielano od kości, ale zakwalifikował to jako „pozostałości po przygotowaniu preparatów anatomicznych w prosek-

torium". Bałagan w trumnie go też nie zdziwił, bo kto by tam niańczył trupa kryminalisty? Zgruzili ochłapy, jak leci, i finito. Ale Koniczyn sam wszystko dokładnie sprawdził i okazało się, że prócz rutynowej sekcji, żadnej wymyślnej, anatomicznej preparatyki na tym przypadku nie uskuteczniają. Poza tym pochówek nie był na koszt państwa, więc zwłok nie zutylizowano jak śmieci. Rodzina co prawda na pogrzeb nie przyszła, bo się wstydziła, ale zakład pogrzebowy opłaciła. Był „minimalny serwis”, jak zapisano w zleceniu, co jednak oznacza, że ciało złożono w trumnie w porządku anatomicznym i, tanim bo tanim, ale jednak jakimś przyodziewku, żeby nie było konsternacji, jakby ktoś z krewnych jednak przyszedł się pożegnać i zajrzał pod wieko.

- Zatem Koniczyn znalazł dowody - zauważyła Helena.

- W tym rzecz, że te dowody zaraz wyparowały! Kiedy Michał złożył doniesienie, protokół z pierwszej autopsji gdzieś przepadł... Był telefon, kazali wysłać, no to wysłali, ano gdzieś na policję, dokładnego adresu nikt nie pamięta, na miejscu nikt nic nie znalazł w papierach, a u nadawcy nikomu nie przyszło do głowy zrobić ksero. W zakładzie pogrzebowym to samo, umowa gdzieś się zawieruszyła, została tylko zaksięgowana suma za usługę, więc nie ma o co się czepiać. Tu i tu nikt nic nie kojarzy, w stylu: „Panie, wiesz pan, jaki mamy przerób? Kto by spamiętał?!”. Krótko mówiąc, śledztwo po dwóch tygodniach zostało umorzone. To zresztą też rekord, bo normalnie prokuratorzy sprawy z biurka spychają dopiero po kilku miesiącach, żeby nikt się nie czepił. Aby się odwołać, Michał potrzebował poparcia bezpośredniego przełożonego i tu się sprawa ryła.

- Ale gdzie tu robota dla szamana? - spytała znudzona Helena.

- Ten bałagan, Kiciu... - Alef z ręcznie uchylił się przed nadlatującą kanapką z dżemem, która zgodnie z zasadą maksymalnej złośliwości rzeczy martwych trafiła posmarowaną stroną we włącznik światła przy drzwiach i spadła spodem do góry.

- Następnym razem będzie cały tort! - ostrzegła zimno dziewczyna.

Posłał jej buziaka.

- Nie bądź taka słodka... Takie niedbalstwo i olewactwo to jak pieczęć demona - podjął temat. - Nie mogą zmienić żadnego naszego postanowienia, kiedy jesteśmy trzeźwi i zdecydowani, ale zwykle próbują manipulować nami przez bagatelizowanie. Starają się, by sprawa, która je interesuje, nie znalazła się w centrum świadomości, pod nienaruszalną władzą wolnej woli, więc wpływają na wagi nadawane zdarzeniom podczas selekcji informacji, którą stale wykonuje nasz umysł. „to nieważne”, „bez znaczenia”, „ołać to”, „a co mnie obchodzi”, „nie moja rzecz”, „mniejsza z tym”. Wszystko to nie do końca świadomie, ale po fakcie zafrasowany delikwent drapie się w głowę i stwierdza, że „tak jakoś nie pomyślał”.

- Wszystkim się zdarza... - Wzruszyła ramionami Helena. - Niby co można na to poradzić?

- Myśleć trzeba! - rozzłościł się Alef. - Rozumu i wyobraźni używać! A nie tylko w środek dupy patrzeć! Własnej lub cudzej... Szczerze mówiąc, pojęcia nie mam, jak naród, w którym jest tylu bezmyślnych olewusów, że graniczy to ze zbiorowym opętaniem, mógł wydać takiego papieża?! Widać są rzeczy, o których nie śniło się szamanom.

- Może zadziałała Zasada Zachowania Wolnej Woli? - podsunęła Helena.

- A wiesz, że chyba masz rację... Ale do rzeczy! W sprawie Michała wychodzi na to, że goście, którzy grzebią w grobach, mają solidne wsparcie ze zwiniętych wymiarów. Jego zdaniem to sataniści lub okultyści dyskretnie pozyskują gadżety do swoich praktyk. Według mnie, jest jeszcze trzecia możliwość, obym się mylił...

- Znaczy? - Spojrzała uważnie.

- Zorganizowana nekrofilia.

- W przypadku tego kryminalisty to chyba homonekrofilia?

- Dupy akurat brakowało...

- Skoro tak. - Helena przygryzła wargi. - To jest raczej walka z gangiem niż demonami. Powinna się tym zająć policja.

- Policją zajmą się demony. W taki sprytny sposób, aby z różnych przypadkowych powodów oraz przyczyn obiektywnych i przeszkód formalnych sprawa nie ruszyła z miejsca lub zaraz potem utknęła. Zaświaty i półświatki doskonale się uzupełniają.

- Czasem chyba ten układ pęka - zauważyła.

- Wcześniej niezbędna jest czyjaś niewinna ofiara, żeby ludzie oprzytomnieli i zaskoczyła wolna wola. Zawsze trzeba coś poświęcić, by demony sobie poszły. Jeżeli w porę nie znajdzie się jeden dzielny człowiek, później będzie naprawdę wiele niewinnych ofiar...



- W roli męczennika nie bardzo cię widzę - odparła Helena. - A oddziału antyterrorystycznego też nie zastąpisz.

- To zależy.

- Od czego?

- Od tego, czy goście przyjdą na robotę naćpani...

- Zrobimy im to samo, co tym informatykom? - wzdrygnęła się.

- My?

- Gdzie ty, tam ja. Po co innego miałbyś mnie szkolić?

Alef milczał długą chwilę i patrzył dziewczynie w oczy.

- Sam mówiłeś, że z czegoś musimy żyć... Chyba że nie my, lecz tylko ty...

- My razem - powiedział to głośno i wyraźnie.

- Więc jaki masz plan?

- Michał przedstawi mnie proboszczowi jako prywatnego detektywa, na którego dyskrecji można polegać. Problem jest z tobą. Jesteś poszukiwana.

- Jakoś nie przeszkadzało ci to wczoraj na mieście - mruknęła zirytowana.

- Zmieniłaś wygląd. Najgorsze, co mogło wchodzić w grę, to przypadkowe legitymowanie. Stale o tym pamiętałem i sprawdzałem myśli wszystkich napotkanych policjantów, żeby w razie co, cię zbagatelizowali...

Uśmiechnęła się cierpko.

- Tam jednak bez policji w finale się nie obejdziesz - dokończył Alef. - I nie będą to już znudzone krawężniki, ale inspektorzy, świadomi tego, że przyjechali zrobić śledztwo i wyjaśnić sprawę.

- Więc ja mam siedzieć w domu, a ty tam?

Pokręcił przecząco głową.

- Potrzebuję ciebie. A ty możesz potrzebować mnie...

- Powinniśmy być razem - przytaknęła. - Więc co?

- Proboszcz i ludzie z plebani nie powinni cię widzieć. Tym bardziej ekipa dochodzeniowa. Przejrzałem już mapę okolicy. Jakies pół kilometra od cmentarza są ruiny zamku...

Na miejsce akcji pojechali autobusem PKS. Koniczyn proponował transport swoim samochodem, jednak Alef się nie zgodził. Helena, siedząc w fotelu, z głową na ramieniu partnera, rozpamiętywała ostatnią rozmowę przed wyjazdem.

- Koniczyn wie, że mam dziewczynę - mówił Alef - i nie musi wiedzieć nic więcej. Jak się zorientuje, kim jesteś, będzie miał świetną okazję do szantażu.

Zdumiała się ogromnie.

- Podejrzewasz go o to?!

- Nie podejrzewam. Ja wiem. Nie przypadkiem w starych kodeksach pojedynkowych kwalifikuje się duchownych jako niezdolnych do czynności honorowych.

- Dlatego, że służą wyższym sprawom.

- Zdecydowanie nie tylko. Jeśli Koniczyn będzie miał mnie w garści, to już kwestia czasu, kiedy postanowi użyć tej władzy dla większej chwały Bożej. Ewentualne skrupuły minuta osiem odpędzi mu pierwszy lepszy konfrater. Jak mówi poeta: „Kiedy trzeba, Pismem Świętym się zasłoni.”

- No wiesz... - Helena nie mogła otrząsnąć się z wrażenia. - W końcu Michał to całkiem porządny człowiek...

- Który jak przyjdzie co do czego, zaraz powie ci, że jest ponadludzki osąd i logika - wpadł jej w słowo Alef. - Najbardziej wystrzegaj się takich, o których mówią, że to gołębie, nie ludzie. Pod anielskim sercem kryje się precyzyjnie zaprogramowany cyborg, działający bez wahań i wątpliwości. Ich szkolenie zmienia psychikę równie mocno, jak nasze.

- Więc w czym nasze jest lepsze?

- Nie narusza wolnej woli. Zauważ, że ja nigdy nie uczyłem cię posłuszeństwa, ani nie stosowałem moralnego terroru. To dlatego księża, wbrew temu co twierdzą, tak kiepsko radzą sobie z demonami.

- Bardzo ich nie lubisz...

- Przysparzają zbędnej roboty, uważają się za lepszych i zapewniają, że ależ skąd... Wystarczy?  
- Dobrze już. Skąd wiesz, że to teraz?  
- Michał mówi, że w grę wchodzi tylko świeże groby, pomiędzy drugim a trzecim tygodniem po pogrzebie. Zwłoki są wtedy w pełnym rozkładzie, a dla nekrofilów, hien i sępów to sam miódzio. Do tego dochodzi pora nowiu, kiedy jest najciemniej. Wszystkie te warunki będą spełnione dzisiejszej nocy.  
- Ta logika może zawieść - stwierdziła sceptycznie. - Po śledztwie Koniczyna mogli w ogóle zmienić cmentarz.  
- Chyba jednak trudno byłoby im znaleźć lepszą kopalnię. W każdym innym miejscu zakłady pogrzebowe non stop włożą sobie na głowę, patrzą na ręce i podkładają świnię. Zaraz wykorzystaliby pretekst, by wyślizgać konkurencję i zrobiliby się szum większy od handlu skórą i tego cyrku z wzajemnym paleniem karawanów. Tam zaś stary proboszcz na żadne lewe układy nie idzie, a i grabarz pijacek też twardo pilnuje swego. Jednak sami, we dwóch, pokoju zmarłych dopilnować już nie są w stanie. Ot, etyczno-rynkowy paradoks... Na dodatek cmentarz jest daleko od zabudowań, a logiki innej nie mamy.  
- Ewentualnie jasnowidzenie - uśmiechnęła się prowokacyjnie.  
Alef zareagował dokładnie tak, jak się spodziewała.  
- Wybij to sobie z głowy! - wybuchnął. - Ile razy mam powtarzać, że jesteśmy z drugiej strony barykady niż Pawelina Łyko?! Tego, co będzie, nie wiedzą nawet demony! Jak którego spytasz o przyszłość, będzie ją tak aranżować, żeby wyszło zgodnie z jego zapowiedzią. Jednak, jak ostatecznie wyjdzie, demony wiedzieć nie mogą, bo nawet sam Bóg dobrowolnie zrezygnował z zagładania w przyszłość, by nie naruszać naszej wolności. Inaczej doskonała miłość i dobroć nie pogodzą się ze wszechwiedzą. A my też nie mielibyśmy żadnych szans, gdyby demony jasnowidziały!  
- Żartowałam... Kociu! - roześmiała się triumfalnie. - Ja też umiem podpuszczać.

- Zaraz twój przystanek! - Alef wyrwał Helenę z zadumy. Miała wysiąść w sąsiedniej miejscowości i dojechać do ruin zamku na piechotę. - Sprawdź, czy wszystko masz?  
- Już... - Otworzyła maty plecak. Były tam flaszki z miksturą „A-6” i odtrutką, dwie paczki landrynek, a na wszelki wypadek zwój liny, mały czekan, nóż i pistolet gazowy.  
Alef przyjrzał się temu krytycznie.  
- Landrynki działają zbyt wolno. - Sięgnął do kieszeni. - Weź moją paczkę chałwy.  
- A ty?  
- Spustoszę cukiernicę proboszcza.  
- O, koszerna! - Spojrzała na etykietkę. - Kupiłeś przy synagodze?  
- Uhm... Judaizm też ma wkład w naszą sprawę. W pistolecie trzy pierwsze naboje to gaz, trzy następne srebrny śrut.  
- Pamiętam.  
- Sprężynowiec lepiej przełóż do kieszeni i nie wyjmuj na postrach. Noża używa się od razu albo wcale. Inaczej zabiorą i wetkną ci w tyłek.  
Dopięła puchową kurtkę i poprawiła okulary.  
- OK.  
Autobus zaczął hamować.  
- No to cześć! - Cmoknęła go w policzek i ruszyła do wyjścia.  
*Pamiętasz, kiedy masz przejść na „A-6”?* - posłał za nią myśl.  
*O zachodzie słońca* - pomachała mu z przystanku.  
*Powodzenia!*  
*Nie klóć się z Michałem!*

Ubrany po cywilnemu Koniczyn stał na następnym przystanku.

- Witaj - powiedział. - Proboszcz czeka w kościele.  
- Chce mnie wyspowiadać?  
- Myślę, że nie będzie nalegał.

- Chodzi o to, bym nie przesadzał z honorarium, bo świątyni przydałby się remont?

Ulica powiatowego miasteczka, na której stali, była w stanie nie wskazującym na szczególną zapobiegliwość lokalnego samorządu. Ktoś najwyraźniej miał problem z wypełnieniem unijnego wniosku o dopłaty strukturalne, co przekładało się choćby na jakość chodników. Pobliski kościół o poczeriałych murach nie odstawał od tła.

- Chodźmy - westchnął ciężko Koniczyn. - Wszystko będzie zgodnie z umową, w końcu pracujemy razem nie pierwszy raz.

- Właśnie dlatego się zastrzegam. Pamiętasz tego cwaniaka, który koniecznie chciał, żebym ufundował dziękczynne wotum? Tym razem potrzebuję więcej kasy.

- Rozumiem, masz wydatki, ta dziewczyna?

- Może będzie ślub... - Alef zawiesił głos.

- Bardzo się cieszę.

- Musiałbyś przyjść w spódnicze z trawy.

Koniczyn bez słowa pociągnął drzwi kościoła.

- Może wody święconej... - zerknął na Alefa. Szaman sięgnął do naczynia i zrobił znak krzyża.

- Znowu cię naszło na inkwizytorskie testy? - zapytał prowokująco. - I co teraz? Uznasz to za świętokradztwo? Diabelską przewrotność?

- Jesteśmy w domu bożym - Koniczyn uchylił się od odpowiedzi i ruszył w głąb nawy.

- Wiem, komu służę! - rzucił za nim Alef półgłosem.

Na spotkanie wyszedł im staruszek w nienagannej, nowej sutannie.

- To pan detektyw - oznajmił Koniczyn.

- Wojski, proboszcz tutejszy, miło mi. - Podali sobie dłonie. - Wolałbym, abyśmy spotkali się w szczęśliwszych okolicznościach. Mam nadzieję, że obejdzie się bez przemocy?

- Tego nie mogę obiecać - odparł Alef. - Ale wszystko odbędzie się zgodnie z prawem ludzkim i boskim...

- O tym On zdecyduje. - Proboszcz spojrział z powagą w kierunku ołtarza. - Wie pan - powrócił wzrokiem do twarzy Alefa. - Lubię pierwszy raz spotykać ludzi w domu bożym, bo wtedy więcej się można o nich dowiedzieć. Pan, na przykład, musi coś ukrywać, skoro nawet tu nie zdejmuje ciemnych okularów...

- Nie musi ksiądz nic o mnie wiedzieć - odparł oschle szaman. - Nie przybyłem tu służyć do mszy, ale sprzątać to, czemu ksiądz nie dał rady.

Koniczyn pochylił się i szepnął coś szybko do ucha zmarszczonego Wojskiego.

- Tak, tak... - mruknął ten z wyraźnym zniecierpliwieniem. - Po owocach poznamy... A jak podoba się panu wystrój naszego kościółka? - znów zwrócił się do Alefa.

- Szczerze mówiąc? - Zapytany rozejrzał się dookoła. - Strasznie jest zagracony. Te kiczowate obrazy, figury, kapliczki, półkapliczki, ćwierćkapliczki... Nie pomyśleliście czasem, by wygruzić to wszystko i zostawić samego Gospodarza?

Koniczyn zbladł.

- Pan, jak rozumiem, protestant? - zachnął się proboszcz.

- Można tak powiedzieć.

- Cóż... - Skonsternowany starzec pokiwał głową. Wydawało się, że za chwilę powie coś o przejawach wiary, a nawet perłach i wieprzach, ale się opanował i nabrał dystansu. Choć nie ruszył się z miejsca, wydawało się jakby nagle znalazł się trzy kroki dalej od Alefa. - Pójdźmy na plebanie! - zdecydował ostatecznie.

## 11. FATUM

Kolacja przypominała stypę. Zachwycona była tylko gospodyni proboszcza, kiedy Alef poprosił o drugą dokładkę papieskich kremówek.

Szaman wyruszył o zmroku. Obszedł miasteczko opłotkami i, zanim zrobiło się całkiem ciemno, znalazł sobie zaciszne miejsce w zaroślach, za murowaną stodołą na tyłach jednego z gospodarstw. Budynek oddzielał go od cmentarza położonego jakieś trzysta metrów dalej, a ściślej mówiąc, osłaniał Alefa przed ewentualnym detektorem podczerwieni. Stanowisko Heleny znajdowało się po przeciwnej

stronie, niecały kilometr od szamana. Koniczyn modlił się w kościele i czekał na mentalny kontakt; proboszcz Wojski udał się z sąsiedzką wizytą na miejscowy posterunek policji. Miał tam gawędzić niezobowiązująco o problemach trudnej młodzieży i czekać na wiadomość od Koniczyna. A następnie nie dać się spławić i dopilnować, by powiatowe krawężniki nie olali zgłoszenia, ani by przypadkiem nie ruszyli do walki o prawo i sprawiedliwość z blockami mandatowymi w dłoniach, tylko od razu ściągali wsparcie z województwa. Na wypadek, gdyby któryś z parafian koniecznie postanowił umierać, dyżurował wikary z olejami, zaś organistę zgodnie postanowili posłać do gospody na wódkę z grabarzem, żeby ten przypadkiem nie przypałał się na cmentarz.

Wyglądało na to, że przewidzieli wszystko.

Alef wypił miksturę „A-10” i rozpostarł jaźń na przestrzeni najbliższych kilkunastu hektarów. Darował sobie zagładanie do domów i grobów. Kontrolnie skomunikował się z Koniczynem i Heleną, po czym zaczął śledzić ruch na drodze dojazdowej do cmentarza, poczynając od dwóch najbliższych, przeciwległych skrzyżowań.

W gęstej jak smoła czerni nocy minęły trzy godziny wyczekiwania. Około północy Alef znów skontrolował posterunki. Niedaleko Heleny kochała się jakaś para, więc dziewczyna na pewno się nie nudziła, ale trzeba było przypomnieć jej o koncentracji. Michał od nadmiernego rozmodlenia zaczął łapać mistyczną fazę, więc jego dla odmiany należało skierować bardziej ku ziemi. Wikary spał w ubraniu w fotelu na plebanii. Organista z grabarzem, wygonieni z knajpy, tankowali teraz na trawniku przed domkiem grabarza, zbliżając się do granicy zwałki. Proboszcz zaś, z podziwu godną żywotnością, twardo kazał na komisariacie, a zaspany aspirant modlił się w duchu, by nie okazać zniechęcenia. Niestety, komendant wyręczył się podwładnym i poszedł do domu, zatem droga służbowa ryzykownie wydłużyła się o jeden etap. Alef na wszelki wypadek odnalazł właściwy adres i dopilnował, aby pani komendantowa doszła do wniosku, że dziś boli ją głowa, skutkiem czego komendant nie mógł zasnąć snem sprawiedliwego, lecz zmuszony był odczuwać niezaspokojone wkurwienie na świat i ludzi.

O wpół do pierwszej Alef zarejestrował ruch na drodze i na nim się skupił. Granatowa furgonetka zboczyła z autostrady w kierunku cmentarza i natychmiast za zakrętem zgasła światła. Dwie minuty później bezszelestnie podjechała pod bramę. Wysiadło dwóch mężczyzn w ciemnych kombinezonach. Jeden ubezpieczał, drugi otworzył kłódkę. Samochód wtoczył się na cmentarz.

*Mają noktowizory - poinformował Alef Helenę. - W sumie czterech mężczyzn.*

Przybysze bezbłędnie trafili na miejsce niedawnego pogrzebu. Kiedy furgonetka nie mogła wjechać dalej w wąskie alejki, otworzono tylne drzwi i na gumowych gąsienicach wytoczyła się stamtąd miniaturowa, samobieżna koparka, bez kabiny, tylko z fotelem operatora.

*Bajer! - stwierdziła z uznaniem Helena. - Pełny profesjonalizm!*

*To nie są dzieciaki, bawiące się w czarne msze i brutalny seks - odparł Alef. - Zacznij sondować umysły, ale ostrożnie...*

*Niedobrze! - Helena po sekundzie potwierdziła jego diagnozę. - Są czyści! Nic nie brali...*

Alef sięgnął do Koniczyna.

*Michał!*

*Święta Mario! Matko Boża! - W odpowiedzi zadudniły też monumentalne organy, anielskie pienia i spizowe dzwony. W umyśle księdza Michała były tylko zachwyt, błogość i niewysłowiona słodycz.*

*Jasny szlag! Za to księżulo nam się zaćpał!*

*Czym?*

*Wpadł w mistyczną ekstazę. Cholera, nie dopilnowałem!*

*Znaczy jesteście ugotowani? - spytała rzeczowo Helena.*

*Ty ich obserwuj, ja spróbuję docucić tego maniaka - zdecydował Alef.*

*Masz jakiś pomysł? Cała nadzieja w Apokalipsie!*

*I straszno, i śmieszno... - skomentowała.*

W polu rozszerzonej jaźni, krzątający się na cmentarzu osobnicy w noktowizorach, wyglądali jak w pełnym świetle dnia. Działali metodycznie, szybko i bardzo sprawnie. Najpierw jeden z nich sfotografował grób polaroidem, przystosowanym najwyraźniej do zdjęć w podczerwieni, upewnił się, że zdjęcie wyszło i schował je do kieszeni. Dopiero potem usunęli z mogiły zeszlę wieńce i wypalone znicze, pieczołowicie odkładając wszystko na bok. Rozłożyli dwie płachty brezentu, po czym jeden z

mężczyzn siadł za sterami koparki i zaczął rozkopywać grób, usypując wybraną ziemię na przygotowaną tkaninę. Drugi pomagał mu łopatą.

W tym momencie z furgonetki wysiadł pasażer, siedzący dotąd obok kierowcy. Wolno podszedł do pracujących, podregulował swój noktowizor i zapalił papierosa. Tego mężczyznę sprawdzili wcześniej tylko pobieżnie. Teraz Helena sięgnęła głębiej do jego umysłu i zdrętwiała z wrażenia...

*Alef! Alef!*

*Jestem! Co się stało?*

*Tam jest Sewczyk! Człowiek Tyckiego!*

*O szlag, tylko tego brakowało! A ja nie mogę docucić Michała, ciągle mnie wypycha...*

*Co teraz? Jeśli zrobimy coś przeciw Sewczykowi...*

*...to złamiemy pokój zawarty z Tyckim! - dokończył ponuro Alef.*

Zamilkli oboje.

*Właściwie powinniśmy się wycofać - stwierdził szaman po chwili namysłu. - I tak nic tu po nas. Kontakt z Koniczynem anieli wzięli...*

Helena nie odpowiadała. Czuł tylko jej emocje. Rozczarowanie, gniew, desperację, a potem rodzącą się ostateczną decyzję. Nie ingerował, czekał.

*Mówiłeś, że z czegoś trzeba żyć... - odezwała się wreszcie. - Jakoś też żyć trzeba!*

*Więc co postanawiasz? - spytał retorycznie, bo już wiedział.*

*Atakujmy, jeśli będzie szansa. Powiedz, kiedy.*

*Dobrze.*

Jednak żadnej możliwości kontrakcji nie było. Mogli tylko bezsilnie patrzeć, jak hieny cementarne odkopują trumnę i wydobywają ją na powierzchnię. Kontakt z Koniczynem wciąż był zamknięty. Helena podjęła rozpaczliwą próbę podszycia się pod Matkę Boską, ale wskórała tyle, że ksiądz Michał uznał ją za świętą i zaczął zachęcać do wspólnej adoracji. Pomyśl, żeby Alef znajdujący się pod wpływem bardzo silnej mieszanki narkotycznej poszedł na posterunek policji z osobistym doniesieniem nie wchodził w grę.

Tymczasem Sewczyk rzucił niedopałek do rozkopanego grobu i na płycie pobliskiego nagrobka zaczął rozkładać sprzęt - lancety, nożyce, pity ortopedyczne oraz specjalistyczne foliowe woreczki na narządy do transplantacji. Potem przyklęknął przy trumnie i z miną w pełni usatysfakcjonowanego znawcy obwąchał spojenie wieka.

*Boże, to nekrofil! - zatrzepotały myśli wstrząśniętej Heleny. - Nawet rękawiczek nie założył... Te jego ręce! Teraz rozumiem, dlaczego nie mogłam ich wtedy dotknąć...*

Alef milczał. Narastała w nim głucha wściekłość.

*Naprawdę tego chcesz?! - zapytał, wyrzucając jaźń w przestrzeń ponad sobą.*

Gniewna modlitwa najwyraźniej została wysłuchana i w tunelu bezsilności pojawiło się światło nadziei. Kiedy Sewczyk wstał i polecił swym pomagierom otworzyć trumnę, ci dali mu znak, by chwilę zaczekał. Odeszli na bok i na szerokim ramieniu jednego z lastrykowych krzyży zaczęli usypywać kreski białego proszku...

*Widzisz?! - zaszepotała podekscytowana Helena. - Co to?!*

*Kokaina, metamfetamina, odrobina strychniny... - Alef spokojnie zanalizował skład mieszanki. - Nazywają to burzą śnieżną...*

*Mamy ich!*

*Zaczekaj, aż będą na pełnym haju...*

Słomki do napojów mieli przy sobie, każdy własną. Przy wciąganiu kreski nosem trochę im przeszkadzały noktowizory, ale poradzili sobie bez zdejmowania. Wsypali na zmianę. Kierowca furgonetki nie przyłączył się, tylko szczelnie zamknął drzwi i okna.

*Mam pomysł na Michała! - oznajmiła nagle Helena. - Co konkretnie robiłeś z tą Apokalipsą?*

*Próbowałem udawać Chrystusa mówiącego mu, że jest po lewicy. Skutek był odwrotny, zaczął się tylko mocniej modlić.*

*Ja w roli Marii też nie wypadłam dobrze... Ale teraz spróbujmy zrobić to razem! Ja będę babilońską nierządnicą, a ty bestią...*

*Mówisz...? Dobra, skoncentruj się... Wchodzimy!*

W umyśle księdza egzorcysty Michała Koniczyna z potwornym hukiem pękła siódma pieczęć.

- O Panie, jakże mnie doświadczasz!!! - zawołał w uniesieniu na cały kościół. Drzemiący pod chórem kościelny zerwał się na równe nogi, omal nie wywracając ławki.

*Ocknij się głąbie! Cmentarz rozkopuj! Zawiadom proboszcza!*

*Jeszcze tylko dziesiątek...* - Koniczyn potrząsnął różańcem.

*NATYCHMIAST!!! Bo cała chwała i rehabilitacja przejdą ci koło nosa!*

*Tak... już...* - Podniósł się z kolan.

Na cmentarzu otwarto trumnę. To musiała być kobieta, nie dało się poznać, czy młoda, czy stara. Magister Sewczyk stanął nad nią, odetchnął głęboko kilka razy, upajając się fetorem, po czym rozpiął rozporek i zaczął się onanizować. Oparci o nagrobki pomocnicy patrzyli obojętnie.

*Zaczekaj...* - pohamował Alef rozjuszoną Helenę. - *Jeszcze nie dostali pełnego kopa. Daj im pół minuty.*

*Odliczam...* - wycodziła.

Sprawdził, co się dzieje w mieście. Oszołomiony Koniczyn zapomniał o komórce w kieszeni, ale już dobiegał do komisariatu. Proboszcz spisywał się tam bez zarzutu. Natomiast grabarz i organista...

*O cholera!* - oświadczył zdumiony Alef.

Po pierwsze, nie spodziewał się, że mają tak mocne głowy. Po drugie, obaj zacni obywatele w pijackim natchnieniu pokojarzyli fakty i właśnie zbroili się przed wyprawą na cmentarz. Organista hołubił solidny kawał rury wodociągowej, grabarz wciągał właśnie orczyk ze starego karawanu.

Sewczyk nie doczekał orgazmu. Tuż przed finałem jeden z jego pomocników nerwowo potrząsnął głową, zatoczył się, a potem zdecydowanym krokiem podszedł do dogadzającego sobie farmaceuty i z woleja kopnął go w tyłek. Rozległ się trzask pękającej kości ogonowej, wrzask zaskoczenia. Kolejny kopniak, z boku i pod kolano zwinął nekrofila w korkociąg, a całość spuentował stłumiony łomot, gdy Sewczyk wpadł twarzą w dół do otwartego grobu.

Drugi z pomocników wyrwał solidny, żelazny krzyż z pobliskiej mogiły i wywijając nim nad głową, zaatakował furgonetkę. Pierwszym ciosem rozwalił całą przednią szybę, skutkiem czego grobowa woń owiała kierowcę. Ten już od dawna musiał mieć żołądek pod gardłem, bo od razu bryzgnął na kierownicę całą jego zawartością. Potem rozpaczliwie uchylając się przez kolejnymi uderzeniami krzyża, zgubił noktowizor i na oślep macając stacyjkę, usiłował zapalić silnik.

W miasteczku wrzało.

Krzyki organisty i grabarza nawołujących do rozprawy z satanistami profanującymi cmentarz szybko postawiły ludzi na nogi. Zgodne stanowisko i uzbrojenie dwóch poważnych parafialnych funkcjonariuszy budziło zaufanie. Ci zaś nie wdawali się w wyjaśnienia, tylko wrzeszczeli, że trzeba się spieszyć. Zaraz przyłączyło się ze dwadzieścia osób.

Tak wpadli na Koniczyna, który zrobiwszy swoje na posterunku wybiegł teraz na spotkanie komendanta.

- Satanista! - zawołał któryś z biegnących.

- Nie, to tylko ksiądz Michał! - wyjaśnił organista, sprawdzając się też w roli anioła stróża.

- Chwata Bogu!

- Tam! Na cmentarzu! - wysapał grabarz. - Grób Tereski!

- Tak, wiem... - potwierdził machinalnie Koniczyn.

Wobec tak wiarygodnego świadectwa tłum po prostu eksplodował furią. Alef wyczuł, co się dzieje.

*Przejmij kontrolę, bo będzie jatka...* - przekazał Koniczynowi. Ten jednak, daleki już od modlitewnego skupienia, nie odebrał komunikatu.

- Naprzód, rycerze Chrystusa! - zadudnił organista przepitym, lecz dobrze wyrobionym, donośnym głosem.

- Za Ojca Świętego! - zapiszczała jakaś kobieta.

Tłum ruszył cwałem, potrząsając sztachelami i łańcuchami. *Czy my jesteśmy w Wojsławicach?* - spytała Helena.

*Wszędzie jest tak samo.*

Tymczasem facet, który kopnął Sewczyka, zajmował się sobą. Wybrał nagrobek z solidną, granitową płytą z napisami, po czym wziął rozpęd przez całą szerokość alejki i zwałił obelisk,

uderzając go z byka. Nie poczuł, że pękła mu podstawa czaszki. Nie poczuł nic i za drugim razem, gdy tą samą metodą wybił z obmurowania kolejną nagrobną płytę. Dopiero przy trzeciej odłamki kości wbiły się tak głęboko w rdzeń kręgowy, że Helena straciła kontrolę nad sparaliżowanym ciałem. Mężczyzna legł w drgawkach.

*Będzie co najmniej tetraplegia i dużo czasu na egzystencjalne rozmyślania...* - Alef ocenił zimno stan rannego, po czym zajął się swoją marionetką.

Człowiek z krzyżem przestał atakować furgonetkę. Przystanął i z rozmachem wbił sobie między oczy żelazną rozetę, zdobiącą jedno z ramion. Uderzenie było tak silne, że noktowizor rozsypał się na kawałki, a jedno oko wytrysło z oczodołu. Po drugim ciosie ustąpiły kości czoła, trzeci już nie był potrzebny.

*Lobotomia łagodzi obyczaje* - skomentowała z kolei Helena.

Spanikowany kierowca zdołał wreszcie zapalić i ruszył na wstecznym biegu, miażdżąc kołami koparkę. Wykręcił gwałtownie, rujnując kilka nagrobków, po czym nie oglądając się na Sewczyka, pełnym gazem popędził w kierunku bramy. Nie znalazł swojego noktowizora, więc zapalił światła. Zrobił to jednak zbyt późno, żeby w porę zobaczyć, o czym zapomniał, to mianowicie, iż aby nie zwracać uwagi, bramę zamknęli za sobą... Hamując ostro, wpadł w poślizg na żwirowej alei i uderzył w słup podtrzymujący jedno ze skrzydeł.

Eksplodowała poduszka powietrzna, miotając w oczy kierowcy rzygowiny przesycone kwasem żołądkowym. Oślepiiony, skowycząc z bólu i przyciskając dłonie do twarzy, wytoczył się z szoferki.

Wpadł prosto na garbarza i organistę, którzy dobiegli na czele wzburzonego tłumu.

- Jebać satanistów! - wydarł się organista, lejąc kierowcę rurą na odlew przez nerki.

Grabarz przyzwyczajony do pracy w milczeniu przywalił orczykiem bez słowa, ale mocniej.

Thukli na zmianę, raz po raz, jakby młócili zboże. Kierowca, człowiek pod pięćdziesiątkę, dobrze pamiętający czasy *ancien regime 'u*, z bólu i strachu całkiem się pogubił.

- Milicja, na pomoc! - zaskomlał.

To go uratowało od linczu. Ludzie zaczęli rechotać. Wcześniej stali niezdecydowani. Przy cmentarzu nie było latarni, w furgonetce potłukły się reflektory, a w pośpiechu tylko dwie osoby pomyślały, by wziąć latarki, z czego jedna ledwie działała. Teraz skwapliwie przyświecano bijącym, ale światła było mało i strach było podejść, żeby przypadkiem samemu nie oberwać.

- Obywatele! - Przez tłum przecisnął się zdyszany komendant i ogarnął wzrokiem sytuację. - Dziękuję za obywatelską postawę...

Magister Sewczyk doszedł do siebie i wydłubawszy glinę z obiektywów noktowizora, wyjrzał z grobu. Trafił akurat na moment odjazdu furgonetki. Gdy usłyszał huk zderzenia przy bramie, pojękując z bólu, wygrzebał się z dołu i na zimno ocenił sytuację. O nawet pobieżnym ukryciu dowodów nie było co marzyć. Nie próbował też udzielać pomocy rannym kompanom. Klnąc pod nosem, nekrofil wyjął zza pazuchy pistolet z tłumikiem i przeładował. Potem sięgnął po telefon komórkowy...

Szary kształt wyprysnął zza grobu, w martwym polu widzenia noktowizora i bezszelestnie skoczył na Sewczyka. Nekrofil niczego nie zauważył, póki wyleniały, bezpański kundel precyzyjnie nie wgryzł mu się w nadgarstek dłoni trzymającej pistolet. Kły zmiażdżyły zegarek i rozerwały tętnicę.

Sewczyk zawył z bólu i przerażenia, aż usłyszeli go ludzie przy bramie. Pistolet wypadł mu z ręki, zgubił też komórkę, odruchowo bijąc nią psa po głowie. Kundel puścił, odskoczył i dopiero teraz zawarczał. Farmaceuta najpierw pomyślał o tamowaniu krwotoku, zacisnął zdrową rękę na zranionej, a potem, zupełnie bezbronny, myślał już tylko o ucieczce, ale i z tym był problem, bo po kilkunastu krokach urwał mu się guzik i opadły spodnie, których dobrze nie dopiął. W sumie, nie mógł nawet iść na czworakach, więc jedynie turlał się, boleśnie rozbijając o kanty nagrobków.

Pies szedł za nim krok w krok i patrzył wzrokiem mściwej kobiety...

Sewczyk miał jednak szczęście. Mimo wszystko nie stracił noktowizora i zdołał wypatrzeć stary, rodzinny grobowiec z uchylonymi drzwiami. Wtoczył się do środka i desperacko zabarykadował.

Pies usiadł naprzeciw grobu i zaczął donośnie ujaść. Helena opuściła umysł zwierzęcia dopiero wtedy, gdy upewniła się, że nadbiegający dobrze rozumieją, w czym rzecz.

A na drodze dojazdowej do cmentarza migotały już niebieskie koguty oddziału prewencji. Wkrótce potem dołączyły do nich syreny karettek pogotowia. Na koniec rozległ się szum śmigieł nadlatującego helikoptera.

Wczesnym rankiem Koniczyn dyskretnie wywiózł Alefa do sąsiedniej miejscowości, gdzie szaman, nie zwracając niczyjej uwagi, mógł spokojnie wsiąść w pekaes, którym wracała Helena. Ksiądz cieszył się, że nie musi odwozić współnika do miasta, bo za niecałą godzinę, na miejscu akcji miał udzielić co najmniej trzech wywiadów nadciągającym już ekipom telewizyjnym. Potem czekała go konferencja prasowa w urzędzie gminy.

Alef był zbyt zmęczony, by z nim gadać i robić jakiegokolwiek wymówki. Wystarczająca dawka gniewu zebrała się w szamanie dopiero, gdy stanęli na przystanku autobusowym i Koniczyn wręczył mu kopertę z pieniędzmi.

- Od proboszcza! - oznajmił bardzo zadowolony z siebie.

Alef wziął honorarium, pomacał, zdziwił się, po czym przeliczył. Brakowało jednej piątej umówionej sumy. Zamiast tego była karteczka z napisem: „Na biednych”.

Jednocześnie zmiął kartkę w dłoni i przekleństwo w ustach, po czym wdeptał świstek w ziemię.

- Wielu jest potrzebujących! - rzekł radośnie ksiądz Michał.

- A kiedy już przejedzą i wysrają moje pieniądze, będą potrzebowali jeszcze papieru toaletowego - wycedził ponuro Alef, chowając zarobek. - To koniec współpracy!

- Och, daj spokój! - bagatelizował sprawę Koniczyn. - Trochę wyrozumienia. Nie słyszysz przecież mamonie...

- Nie chodzi o pieniądze, tylko o to, że jesteś pieprzonym nieudacznikiem!

- Wymodliłem nam zwycięstwo nad siłami ciemności.

- Uhm... - Alef powstrzymał się od komentarza. - Nawet nie podejrzewasz, w jakie gówno mnie wpakowałeś, sługo jasności...

- Musisz zawierzyć bożej opatrności. O, twój autobus! No to, z Panem Bogiem!

- Chrzęć się...

Pasażerów było jeszcze niewielu. Helena siedziała sama, pod tylnym oknem. Alef osunął się ciężko obok niej.

- Szkoda, że nie można powiedzieć, że jest już po wszystkim... - westchnęła ciężko. Ich odtrutki nie usuwały wszystkich objawów ponarkotykowego kaca, zwłaszcza trupiej bledkości. Dziewczyna była równie zmęczona jak on, a ponadto zablocona i mokra od porannej rosy. Wyglądała, jakby spała w przydrożnym rowie, co nie było dalekie od prawdy.

Swoje dokładała też przysłowiowa mądrość szarego poranka.

- Jeszcze jedno takie zwycięstwo, a jesteśmy zgubieni - mruknął Alef.

Uśmiechnęła się niewyraźnie i podsunęła mu torebkę.

- Daj spokój z tą klasyką. Chcesz landrynkę?

Dwie godziny później w domu doszli do siebie na tyle, że mogli zacząć śledzić złe wieści. Nadchodziły jedna po drugiej.

Na początek okazało się, że ekipa dochodzeniowa dotarła na miejsce zbyt późno, żeby zabezpieczyć dowody. Zdezorientowany aspirant, przekazując meldunek pod nieobecność komendanta, powiedział tylko o zamieszkach w miasteczku, a zapomniał dodać, co było ich powodem. Skutkiem tego, najpierw przybył oddział prewencji, który w pierwszej kolejności zajął się rozganianiem tłumu. Kiedy trafiony gumową kulą komendant doszedł do siebie na tyle, by wyjaśnić nieporozumienie i zorganizować obstawienie miejsce zdarzenia, przepadły już broń, chirurgiczne narzędzia oraz noktowizor Sewczyka. Ten zeznał, że był tylko przypadkowym, zbłąkanym przechodniem, chciał pomóc ludziom, ale pogryzł go pies. Dwóch znanych adwokatów wyciągnęło go z aresztu już po dwudziestu czterech godzinach, obyło się nawet bez kaucji.

Na dobrą sprawę nie zdołano ustalić, po co właściwie rozkopano grób. Szczątki koparki wskazywały na działanie z premedytacją, ale obecność woreczków transplantacyjnych tylko gmatwała sprawę. Udzielić wyjaśnień nie było komu. Dwaj kopacze znajdowali się w stanie ciężkim, lekarze walczyli o ich życie i nie dawali nadziei, że po wszystkim delikwenci będą cokolwiek pamiętać. Przynajmniej tu sprawa była w miarę jasna. Badania toksykologiczne wskazywały, że



obrażenia podejrzanych były samookaleczeniami, dokonanymi w narkotycznym szale. To zdążył jeszcze potwierdzić kierowca furgonetki, zanim oderwany zakrzep żylny, po przepłynięciu przez serce, raz na zawsze zablokował mu tętnicę płucną. Lekarze orzekli, że oderwanie zakrzepu było rezultatem licznie doznanych stłuczeń i organista z grabarzem zostali postawieni w stan oskarżenia za pobicie ze skutkiem śmiertelnym.

Władze kościelne też się nie popisały. W pierwszym odruchu, do wyjaśnienia sprawy, zawieszono proboszcza, co w ludzkich oczach uczyniło go podejrzany, więc staruszek czym prędzej wziął urlop zdrowotny i wyjechał gdzieś na leczenie. Wikary, który przejął obowiązki, dyscyplinarnie zwolnił z pracy organistę, po tym jak prokuratura wszczęła przeciw niemu śledztwo. Skutkiem tego organista, ojciec czwórki dzieci, powiesił się w piwnicy swojego domu, więc zaraz błyskawicznie przeniesiono i wikarego. Próba urzędowego ustalenia gdzie oparła się o konkordat i utknęła w martwym punkcie. Sporo mógł powiedzieć grabarz, ale ten po otrzymaniu listu poleconego z wezwaniem na przesłuchanie przepadł bez wieści. Ostatni raz widziano go na przystanku PKS, ale nie udało się potwierdzić, czy wsiadł do jakiegoś autobusu.

Rozgorączkowani dziennikarze mieli tylko pijackie domysły, strzępy faktów i niespójne zeznania drugorzędnych świadków, którzy mimochodem pomawiali o satanizm wrednych sąsiadów. Z braku laku brukowce i poważne dzienniki zgodnie nie zostawiały suchej nitki na policji, od nieszczęsnego aspiranta poczynając, na komendantzie głównym i ministrze sprawiedliwości kończąc. Obrywało się także kurii biskupiej za zablokowanie kontrolnych ekshumacji oraz odmowę udzielania komentarzy, ale mało to dało. Furia mediów osiągnęła zenit, gdy okazało się, że sukę, która pogryzła Sewczyka, a którą jeden z brukowców nazwał „dzielną Leslie”, uśpiono natychmiast po przewiezieniu do schroniska i nikt nie potrafił sensownie wyjaśnić dlaczego.

Na tym tle gwiazda księdza Koniczyna błyszczała blaskiem niezmaconym. Wyszło na to, że działał zgodnie z prawem, najpierw zawiadamiając policję, potem miarkując gniew tłumu, a co najważniejsze, skutecznie zapobiegł dalszej profanacji. Pytanie skąd wiedział o sprawie, skoro w krytycznym momencie modlił się w kościele? Jedyne świadek, czyli kościelny, zapewniał, że ksiądz Michał miał objawienie od samej Najświętszej Pani. Relacja ta szybko obrastała w kolejne bogobojne szczegóły i nijak nie wypadało jej podważać. Zwłaszcza że zainteresowany proszony o wyjaśnienia tylko wznosił ku niebu natchniony wzrok. Dyskretnie z datą wsteczną przywrócono Koniczyna do poprzednich funkcji i obowiązków. Wreszcie sam prymas raczył się pochlebnie o nim wypowiedzieć, nadmieniając, że tacy dzielni ludzie zawierzenia jak ksiądz Michał są wielką nadzieją Kościoła w czasach postępującej laicyzacji.

## 12. WIRY CIEMNOŚCI

- Miałeś do mnie więcej nie dzwonić! - powiedział Alef.
- Na wszystko, co dla ciebie święte, zaklinam cię, przyjdź i pomóż! - mówił gorączkowo Koniczyn.
- Jesteś teraz takim wielkim egzorcystą, że możesz załatwić to sam.
- Modłę się nieustannie...
- I co, dobrze ci?
- Alefie, nie powinienes kryć urazy, to zbyt ważna sprawa! Niejedno ludzkie życie...
- Nie chodzi u urazę, ani nawet o to, że nie można na tobie polegać. Zrozum, człowieku, że jesteś teraz narzędziem w ich rękach!
- Czyich rękach?
- Alef rozejrzył się szybko. Już czuł, że nie należy przedłużać tej rozmowy.
- Demonów.
- To niemożliwe! Świeżo przyjąłem eucharystię.
- Widać ze zbyt małą wiarą. Cześć! - Alef przerwał połączenie i wyłączył telefon komórkowy.

Pośpiesznie wyjął kartę, przygryzł ją, złamał między zębami, a następnie wypluł do studzienki ściekowej. Potem odłożył komórkę na pobliską ławkę i odszedł pięćdziesiąt metrów. Kiedy się obejrzał, telefonu już nie było. Omiótł jaźnią okolicę i bez trudu zlokalizował złodzieja. Był to wyrostek, na oko szesnaście lat. Alef ruszył za nim w bezpiecznej odległości. Chciał ocenić, jak bardzo zinfiltrowana jest osobowość Koniczyna. Było gorzej, niż się spodziewał. Chłód narastał niezwykle szybko. Wszystko wokół odrealniało się i splaszczalo, jakby nagle głębia i trzeci wymiar zaczęły się

zacierać. Linie świata zostały ściśnięte w zwarty snop i wygięte. Kiedyś nazywano to klątwą lub urokiem.

Chłopak nie zdążył przejść pierwszego napotkanego skrzyżowania. Wbiegł na czerwonym świetle, w ogóle nie rozglądając się na boki. Betoniarka typu gruszka rozjechała go całym rzędem kół od strony kierowcy, który akurat spoglądał w drugą stronę. Młodziak nawet nie krzyknął, tylko zadudniło, gdy poderwane w górę koła uderzały z powrotem o jezdnię. Gruszka musiała być pełna, bo to, co zostało na asfalcie w niczym nie przypominało człowieka. Precyzja i płynność zdarzeń była tak porażająca, że naoczni świadkowie przez kilkanaście sekund nie mogli uwierzyć oczom. Betoniarka zatrzymała się dopiero po drugiej stronie skrzyżowania. Kierowca wysiadł, spojrzął na ochłapy wbite pod błotniki i ugięły się pod nim kolana. Dopiero teraz zaczęła krzyżeć jakaś kobieta.

Alef pokręcił głową i wycofał się z szybko rosnącego zbiegowiska.

- Sądysz, że zrobił to celowo? - zapytała w domu Helena, wysłuchawszy relacji.

Alef spojrzął na nią z roztargnieniem.

- Kto?

- Koniczyn.

- Oczywiście, że nie! On nie służy Tyckiemu świadomie. Może nawet szczerze myśli, że jest wzorowym sługą bożym.

- Więc w czym rzecz?

- W systemie. Michał jest przede wszystkim człowiekiem systemu, a nie można służyć Bogu i systemowi naraz. Prędeż już Bogu i mamonie...

- Albo lojalność wobec hierarchii albo wolna wola, czy tak?

- Mniej więcej. Tu bardziej chodzi o myślenie krytyczne, które jest pochodną wolnej woli... - Nerwowo rozmasował sobie kark. - Konformizm wobec systemu wypacza tożsamość, ogranicza jaźń i wyjmuje rozległe obszary umysłu spod władzy woli, a zresztą... - Machnął ręką. - Jest źle! - wybuchnął. - Cholernie źle!

- Co by się stało, gdybyś był w domu, kiedy Michał zadzwonił?

- Właśnie dlatego telefon w domu zawsze jest wyłączony, a ja zawsze wychodzę, kiedy chcę zadzwonić lub odsłuchać skrzynkę głosową. I dlatego zawsze upierałem się, abyś przestrzegała tych procedur bezpieczeństwa!

- Więc Tycki nas nie znajdzie - starała się go uspokoić.

- I co z tego, skoro znów musimy mu wejść w samą paszczę!

- Przecież odmówiłeś prośbie Michała.

- Nie odmówiłem, tylko tak powiedziałem. - Alef przestał się miotać po pokoju i usiadł ciężko na krześle. - Właściwie nie mamy wyjścia. Tycki wziął zakładników...

- O co chodzi?

- Pamiętasz sprawę trzech ćpunów, którzy półtora roku temu na haju zmasakrowali maczetami małe dzieci na placu zabaw?

- Tak... - Potrząsnęła głową. - Moja gazeta o tym pisała. Zginęły trzy matki i pięcioro dzieci, od dwóch latek do sześciu, kilkanaście osób rannych... Ja zbierałam wtedy telefoniczne opinie psychologów. To był zupełny koszmar...

- Rutynowa igraszka demonów - odparł Alef. - Jeden z tych bydlaków mówił wprost, że zrobił to dla Szatana, drugi bredził o tępieniu złych gremlinów... W każdym razie teraz ta sprawa wchodzi na wokandę.

- To chyba dobrze?

- Nie bardzo. Wchodzi, by zaraz zejść. Znosi się na uniewinnienie...

Helena aż się poderwała.

- Żartujesz?!!

- Ani trochę. Policja spieprzyła śledztwo, tak samo jak to z cmentarzem. Wszystko od początku było tak jasne, że nikt się nie silił na staranność. Najpierw więc, do tak oczywistej sprawy wysłano początkujących śledczych, którzy popełnili parę szkolnych błędów i na przykład oparli się na gołych przyznaniach się do winy, złożonych zanim goście całkiem wytrzeźwieli. Ci nie dość, że je potem odwołali, to teraz jeszcze twierdzą, że policja podrzuciła im narkotyki, a nawet, że je podała.

Żadnej skruchy, sama niewinność. Kluczowi świadkowie powyjeżdżali za granicę, jedni na leczenie, inni w siną dal, byle zabrać dzieciaki jak najdalej od tego kraju. Kontakty się urwały, Interpol szuka bez skutku. Mimochodem w trakcie śledztwa ciągle ktoś pieprzył coś w papierach pod względem formalnym. Do tego jakiś personalny kwas na linii policja — prokuratura. Parę ważnych dokumentów po prostu znikło. Ktoś za to beknął, ale winni nie czują się winni i odwołują się właśnie kolejny raz przed sądem pracy... W każdym razie te papiery są nie do odtworzenia. Tylko adwokaci okazali się nie w ciemną bici. Jeden z prokuratorów już podał się do dymisji na znak protestu przeciw pracy policji. Jednak bomba wybuchnie dopiero jutro, bo informacje o przebiegu śledztwa były wyciszane. Sąd zaś, jeśli chce pozostać w zgodzie z prawem, po prostu musi tych skurwysynów puścić...

- Przecież ludzie oszaleją!

- No właśnie. W artykułach zapowiadających początek sprawy już pojawiło się wystarczająco dużo niepokojących plotek, żeby podgrzać atmosferę. Cytowano choćby prawnika, który stwierdził, że wysokiemu sądowi nie pozostaje nic innego, jak przychylić się do wniosku, by oskarżeni odpowiadali z wolnej stopy. Samo to wystarczy...

- A wszystko zaraz po umorzeniu śledztwa w sprawie Sewczyka. - Helena zmarszczyła brwi. - Kiedy ludzie mają świeżo w pamięci całe medialne gadanie o nieudolności władz. To nie może być przypadek...

- I nie jest. Tycki postanowił pokazać nam, z kim zadarliśmy i na co go stać.

- Przecież w tym sądzie dojdzie do linczu!

- Być może nawet na sędziach - odpowiedział Alef spokojnie. - Rodziny ofiar rozpalają emocje do białości, system prawny się kompromituje, ludzie odchodzą od zmysłów, następuje zbiorowe opętanie. Tyle to nawet Koniczyn rozumie.

- Powinni obstawić budynek sądu.

Wzruszył ramionami.

- Chyba specnazem. Albo raczej Szturmowcami Imperium z odległej galaktyki. Bo i specnaz i nasi antyterrorysty oraz chłopcy z prewencji też mają małe siostrzyczki, braciszków oraz matki, żony i własne dzieci... Nie dam złamanego grosza, że w tej sytuacji dyscyplina wytrzyma i cała góra doskonale o tym wie. Tym razem naprawdę ktoś przegiął. Wysłanie sił specjalnych może skończyć się jeszcze większą kompromitacją państwa, gdy te przejdą na stronę słusznie wzburzonych obywateli. Może nie wszyscy, ale dość, by wynikała z tego porządna strzelanina i dodatkowe ofiary. Dlatego władze państwowe poprosiły o wsparcie episkopatu.

- I...? - spojrziała uważnie Helena.

- Biskupi zapewnili, że nie będą ustawać w modlitwie o pokój do świętego papieża oraz wydelegowali sławnego księdza Michała.

- Czyli jatka jest nieuchronna... - westchnęła ciężko.

- Chyba że znajdzie się tam ktoś, kto w odpowiednim momencie wejdzie w umysł pierwszej osoby opanowanej przez demona - dopowiedział Alef. - I zrobi jej to samo, co ja tobie... Wtedy jest cień nadziei.

- Chyba sam w to nie wierzysz! - parsknęła. - Ile osób naraz zdołasz powstrzymać?! Ale może powinni utajnić proces?

- I wypuścić morderców chyłkiem? To jeszcze gorzej. Potem byłaby zadyma w całym kraju, kryzys państwa i autorytetu demokratycznych instytucji. Mielibyśmy tu drugą Albanie, pamiętasz, co tam się działo po aferze z piramidami finansowymi? Trzeba by ogłosić stan wojenny i już nie tylko winni, ale cała klasa polityczna miałyby definitywnie przechlapane. Zresztą, prezes sądu wojewódzkiego, typ ze starego komuszego betonu, się zawiązał i mówi tylko o całkowitym zwycięstwie majestatu prawa. Politycy go nie mitygują, bo wychodzą z założenia, że lepiej, by wkurzeni ludzie spalili jeden sąd z zawartością niż w ogóle przestali na nich głośować.

- Więc co konkretnie radzisz?! - zażądała odpowiedzi Helena.

- Jak to co? - zachnął się. - Ktoś, do kurwy nędzy, musi zrobić coś, żeby bramy piekielne nie przemogły!

- Dobrze. - Skinęła głową. - Powiedzieliśmy A, to powiemy i B.

- Raczej Alef i Omega. Jednak tym razem ty zostajesz w domu!

Potem Alef ubrał się i znów wyszedł. Wrócił pod dwóch godzinach. Przyniósł ze sobą spory, mocno zawiązany worek, który upchnął głęboko pod stołem laboratoryjnym.

- To ostateczność - powiedział tylko.  
Helena nie zadawała pytań.

Kiedy już rozpletli ciała i umysły, i leżeli obok siebie, na pograniczu jawy, w stanie, który od dawna zastępował im sen, Helena nagle poderwała się z krzykiem.

- Boże... - Zakryła ręką usta, cała drżąca.

Usiadł i objął ją mocno.

- Co się stało?

- Moja mama...! - jęknęła.

- Skontaktowałaś się z nią?! - Alef zeszywniał z przerażenia i odruchowo wyculił jaźń. Za chwilę z kątów pokoju powinien zacząć wypełzać lodowaty chłód... Na ucieczkę było już za późno.

- Nie... nie... - zaprzeczyła z wysiłkiem. - Pamiętałam.

Alef odetchnął z ulgą. Za to Helena zaczęła szlochać.

- Powiedz, co się stało? - odezwał się najłagodniej, jak umiał. Spojrzała na niego roztrzęsiona.

- Nie żyje... - szepnęła. - Teraz ona! Nagły zawał...

- Jak się dowiedziałas? - spytał, starając się zachować spokój.

- Pamiętałam, żeby nie wprost... więc weszłam w umysł sąsiadki...

*Mądra dziewczynka!* Ale nie powiedział tego głośno.

- Ale przecież czułam, że mama jest w domu...

*Poprowadź mnie tam!* - Przeszedł na kontakt mentalny. - *Tylko ostrożnie.* Helena otarła szybko łzy i pochyliła głowę, zapadając w trans. Alef zbliżył jaźń do wskazanego miejsca tak, jak zbliża się palce do bardzo gorącego przedmiotu. Za moment już wiedział... *Wracamy* - polecił. Ujął twarz Heleny w obie dłonie.

- Musisz być dzielna - powiedział.

- Co się stało?

- To zasadzka, bardzo wyrafinowana i okrutna. Tycki zabił twoją matkę, ale to nie wszystko. Wysłany przez niego demon przejął jej tożsamość i czeka tam na ciebie, podszywając się pod nią...

- Musiałby pozbawić ją woli - zaoponowała szybko. - To niemożliwe! Mama na pewno nic nie brała...

Alef milczał. Potem spojrzał gdzieś w bok. Helena kurczowo chwyciła go za ramiona.

- No powiedz!

- Przekleła cię - wyrzucił. - Tak długo podszeptowali jej, że jesteś wyrodną córką, aż w ciebie zwątpiła.

Helena z głuchym jękiem rzuciła się twarzą na poduszkę.

- Gdy to się stało - kontynuował posępnie Alef - demon złamał jej wolę i zerwał więź pomiędzy jaźnią a tożsamością. Potem doprowadził do ustania akcji serca i twoja matka stała się zbłąkaną duszą, która nie wie, kim jest i do czego dąży.

Palce Heleny kurczowo wczepiły się w pościel.

- Jeżeli chcesz jej pomóc, nie możesz ulegać nienawiści - dodał stanowczo.

Odwróciła się i spojrzała na niego z zaskakującym spokojem.

- Wiem - powiedziała szorstko. - To się już nigdy nie powtórzy. - Znów całkowicie panowała nad sobą.

- Jaźń twojej matki odzyska tożsamość, gdy demon zostanie wygnany z powrotem do otchłani. Jakby puściła to mimo uszu.

- Nie mam już rodziny - stwierdziła, patrząc mu prosto w oczy. - Jesteś tylko ty...

- I zostanę. - Skinął głową.

- Chcę mieć z tobą dziecko - wyciągnęła do niego ramiona. - Natychmiast!

- Dobrze.

Alef stał w tłumie wypełniającym ulicę przylegającą do gmachu sądu. W ciemnych okularach, z rękami w kieszeniach i w kapturze dresu nasuniętym głęboko na czoło nie wyróżniał się od otoczenia.

Było jeszcze spokojnie, ale wielu młodych ludzi już demonstracyjnie naciągnęło kominiarki lub okryło twarze szalikami. Starsi mężczyźni podnosili kołnierze płaszczy.

Stojący naprzeciw policjanci, tworzący kordon wokół sądu, nie starali się wyglądać groźnie. Tarcze trzymali luźno, ręce z daleka od pałek. Demonstrowali niewerbalną solidarność. Tylko ich dowódca nerwowo przechadzający się w tę i z powrotem, co chwila wywarkiwał gniewne komendy. Podwładni wyraźnie go olewali.

Już pobieżne sondowanie umysłów upewniło szamana, że nie ma najmniejszych szans na rozładowanie atmosfery. Specjalnie nie wszedł do wnętrza sądu, bo tam z wolna rozkręcał się tak potworny tajfun nienawiści, że Alef obawiał się dezorientacji. Raz czy dwa mignęła mu w gąszczu emocji spanikowana świadomość księdza Koniczyna, który wraz z paroma zakonnikami naiwnie wlaź w sam środek grupy krewnych ofiar i z wolna zaczynał rozumieć, na czym polegał błąd w rozumowaniu.

Obecność duchownych uspiła czujność ochrony sądu. Wydawało się, że skoro Kościół przysłał oficjalnych przedstawicieli, wszystko jest pod kontrolą. Milczenie i pozorny spokój ludzi wypełniających sądowe korytarze oraz okoliczne ulice zinterpretowano jako przejaw wyniosłej godności i współczucia. Reporterzy telewizyjni komentujący sytuację w pełnych egzaltacji relacjach mówili o niemej manifestacji przeciw przemocy i najwyraźniej sami w to uwierzyli. Ale tylko oni i ochrona sądu...

*Alef, wracaj, nic tu po tobie!* - przekazała z domu Helena.

*Postaram się, by zginęło jak najmniej niewinnych ludzi. Ci gnoje są już trupami, ale może uda się uratować ich adwokatów.*

*Możesz próbować z bezpiecznej odległości...*

*Tylko z bliska mogę wpłynąć na wiele osób naraz. Zresztą, wiesz dobrze, w czym rzecz. Tycki chce, żebym tu był. Gdybym nie przyszedł, znów zorganizowałby coś podobnego...*

*On chce nas oboje.*

*Ale zadowolę się mną. Wszystkie ważne papiery i PIN-y masz w środkowej szufladzie stołu laboratoryjnego...*

*ALEF!!!*

*Kocham cię i ten mały okruszek jaźni w tobie...* - Przerwał kontakt, gdyż musiał się skupić.

Właśnie wprowadzano sprawców. Gmach sądu aż zadygotał w posadach.

- I odpuść nam, jako i my odpuszczamy!!! - zawołał wielkim głosem ksiądz Koniczyn, unosząc obie ręce do góry.

Dostał w zęby tak, że nie zdołał nadstawić drugiego policzka. Będący z nim duchowni czym prędzej odciągnęli go na bok.

Incydentu nie zauważył podoficer dowodzący ochroną piętra. Gdyby nawet, i tak niewiele mógł zrobić. Zgodnie z wcześniejszą instrukcją, by nie drażnić ludzi i pozwolić działać księżom, rozstawił swych podwładnych pod ścianami, tak że obstawa po prostu rozplynęła się w ludzkiej masie, tracąc zdolność zorganizowanego działania.

Proces się nawet nie zaczął. Kiedy wszystkie miejsca wypełniła publiczność, tłum po prostu odepchnął obu woźnych, wyłamał drugie skrzydło drzwi i dalej wpływał na salę sądową, napierając na ławę oskarżonych oraz barierkę dla świadków. Strażnicy, zamiast zdjąć kajdanki oskarżonym, po prostu się od nich odsunęli, przy okazji odkrywając adwokatów, którzy niespodziewanie znaleźli się w roli jedynej osłony własnych klientów.

Sędzia przewodniczący postanowił okazać zdecydowanie i natychmiast zarządził przesunięcie godziny rozpoczęcia rozprawy i opróżnienie sali. Tłum tylko zaszemrał ponuro i dalej robił swoje, skutkiem czego kamerzysta TVN razem z kamerą został wepchnięty na ławkę prokuratorów. W tym momencie jeden z ławników nie wytrzymał nerwowo i rzucił się do ucieczki przez pokój narad. W panice na glucho zamknął za sobą drzwi, odcinając jedyną drogę ewakuacji. To jednak do publiczności nie dotarło.

Sędzia główny, aby zyskać na czasie, zrezygnował z wydawania nierealnych poleceń i chwycił telefon komórkowy. Pozory porządku prysły dopiero za sprawą jednego z adwokatów.

- Wysoki sądzie, wnoszę o zapewnienie powagi i bezpieczeństwa! - zawołał rozdygotanym głosem, błady i spocony jak mysz.

- Proszę usiąść, panie mecenasie - zmytygował go przewodniczący, nieudolnie kryjąc niepokój.

Adwokat, nie bacząc już na nic, zepchnął swoje akta na podłogę i rzucił się szczupakiem pod stół sędziowski.

Jedna z czarno ubranych młodych kobiet zaczęła przeraźliwie krzyżeć.

Emocje eksplodowały.

Alef śledzący wydarzenia wewnątrz i na zewnątrz gmachu stwierdził tylko, że tłum w obu miejscach zareagował równocześnie. Nie zdołał opanować umysłu matki, która straciła dziecko, nie... dwoje dzieci... Został wypchnięty z taką siłą, że aż zakreśliło mu się w głowie. Dopiero kilka sekund później zrozumiał, że ta kobieta zawarła świadomy pakt demoniczny.

Na sali sądowej eksplodowały dwie rzucone z tłumu butelki z benzyną, bez trudu przeniesione przez bramki do wykrywania metalu. Jedna roztrzaskała się na ławie oskarżonych, druga na ścianie, za prezydium. Płomienie ogarnęły adwokatów i godło państwa.

Tłum na dole całą masą ruszył na kordon, który ustąpił miękko, wygiął się i stracił ciągłość w kilku miejscach, przez które ludzkie potoki natychmiast zaczęły wlewać się do budynku. Oficer dowodzący wrzeszczał i wymachiwał rękami. Wyglądał jakby stał za szklaną szybą, wszyscy wokół go omijali.

Jednemu ze strażników na płonącej sali sądowej przysła do głowy zbawienna myśl. Zrozumiał jasno i wyraźnie, w jaki sposób może ocalić swoje j życie. Przecież ci ludzie nic a nic do niego nie mieli... Z drugiej strony, adwokaci, żywe pochodnie, aż nazbyt jasno uzmysławiali, co go czeka, jeżeli będzie zwlekał choć sekundę dłużej... Natychmiast wyciągnął broń i strzelił w głowę najbliższego z oskarżonych. Drugi strażnik, idąc za przykładem kolegi, władował całą serię w plecy kolejnego zwyrodnialca. Potem zgodnie rozwalili trzeciego mordercę. Bezpośredni świadkowie zdarzenia zamarli na ten widok, kilka osób zaczęło bić brawo, ale na korytarzu ktoś niezorientowany krzyknął, że policja strzela do ludzi...

Nie było już nic do zrobienia. W tłumie szturmującym sąd znalazło się zbyt wiele zdecydowanych osób i całych zorganizowanych grup, zainteresowanych, aby w zamieszaniu przepadły różne papiery... Alef nie wycofał się jednak. Stał na skraju wiru wydarzeń i czekał na to, co było przeznaczone dla niego. Wiedział, że Helena go nawołuje, ale wyciszył kontakt, ażeby to, co spotkał w umyśle tamtej nieszczęsnej matki, nie trafiło do ich mieszkania. Znajomy, złowróżbny chłód już narastał wokół.

Czarny kształt załopotał w powietrzu, niemal dokładnie nad Alefem. Całkiem jak Batman, przemknęło szamanowi przez myśl, zanim ciało księdza Koniczyna, wypchniętego z okna na trzecim piętrze, łupnęło o trawnik, pięć kroków dalej.

Alef odruchowo przypadł do Michała i sięgnął jaźnią, by sprawdzić jego obrażenia. Koniczyn miał złamany kręgosłup... w dwóch miejscach... z przemieszczeniem kręgów... ale nisko... Skończy na wózku, ale przeżyje, jeśli go nie zdeptają...

Dostał pałką w plecy i omal nie upadł na nieprzytomnego księdza.

Natychmiast umknął przed następnym ciosem i ogarnął sytuację. Policja właśnie otrząsnęła się ze współczucia, odzyskała stanowczość i poprzednią opieszałość nadrabiała nadgorliwością. Jak zwykle na pierwszy ogień poszli ci, którzy nie mając nic na sumieniu, naiwnie sądzili, że nie trzeba uciekać. Tymczasem stróże porządku musieli szybko i bez zbędnego wysiłku wykonać limit wyłapania „najbardziej agresywnych uczestników zajść”.

Jednak w przypadku Alefa chodziło o coś więcej. Sfrustrowany dowódca kordonu pomyślał o swej złamanej karierze i też doszedł do wniosku, że trzeba kogoś zastrzelić, najlepiej jakiegoś dresa-skurwysyna. Szaman przezornie spojrzął oczami szaleńca, by upewnić się, w kogo ten celuje i to uratowało mu życie. Inaczej dostałby kulę w potylicę z odległości pół metra...

Zdażył powstrzymać rękę tamtego i przesunąć głowę na tyle, że pocisk przeszedł tylko przez kaptur, zrywając okulary i rozpryskując ziemię pod nogami policjanta, który chciał dalej pałować Alefa. Osilek w mundurze przystanął zaskoczony.

Alef poderwał się jak sprężyna, podbijając rękę składającą się do następnego strzału. Wyprowadził błyskawiczny cios z dołu w szczękę oficera, wykręcił mu ramię, wyłuskał pistolet i odrzucił. Szeregowiec z pałą nie miał już żadnych wątpliwości, tylko z rykiem rzucił się oficerowi na pomoc. Alef nie stracił zimnej krwi, zasłonił się bezwładnym ciałem i pałka trafiła w szyję niedoszedłego zabójcy. Wszyscy policjanci, którzy to widzieli, ruszyli kupą i szaman rzucił się do ucieczki.

Gumowa kula trafiła go w środek pleców, dokładnie w punkt kręgosłupa, zwany w japońskich sztukach walki *katsu*, całkowicie paralizując oddech. Każdy normalny człowiek padłby od razu, ale żelazna wola Alefa zmusiła ciało do biegu z wyłączonymi płucami. Wpadł w tłum, którego chaotyczne zawirowania okazały się na chwilę zbawczą kryjówką. Mózg już po kilkunastu sekundach zasygnalizował nadchodzącą śmierć z uduszenia, ale szaman odepchnął od siebie tę świadomość i biegł dalej.

Dwie przecznice od gmachu sądu było podwórko, skręcił w nie. Z braku tlenu wygasła już wyższa percepcja i Alef zmuszony był patrzeć samymi, rozstrojonymi oczami. Wszystko wokół falowało i rozmywało się. Zdołał jednak dostrzec śmietnik, wpadł do środka i po omacku ukrył się za jednym z kontenerów.

Uwolniony od fizycznego wysiłku skupił się na przywróceniu akcji płuc. Zdołał zaczerpnąć tylko trzy płytkie wdechy. Potem oddech znów ustał. Coś było w nim i blokowało dostęp woli do mięśni międzybrownych oraz przepony. Nie dawało się usunąć. Gasnącą świadomością Alef rozpoznał opętanie wegetatywne, prowadzące nieuchronnie do śmierci czynnościowej...

Helena kolejny raz nakazała sobie spokój, skoncentrowała się i poszukała jaźni Alefa. Wyczuła coś bardzo mętnego, nie dającego się jednoznacznie zidentyfikować. Intuicyjnie wiedziała, że dzieje się coś złego, ale percepcja, mimo najintensywniejszych wysiłków woli, nie dawała się wyostrzyć. Zrozumiała, że preparat „A-6” jest za słaby!

Natychmiast wyszła z transu i pobiegła do laboratorium. Z determinacją spojrzała na półkę: „A-7”... „A-8”... „A-9”... „A-10”... Chwyliła ostatnią flaszkę, kieliszek aptekarski i na oko odmierzyła porcję, która powinna odpowiadać masie jej ciała. Butelkę zostawiła na widocznym miejscu, usiadła na podłodze i uniosła kieliszek z brunatną zawartością. Wahala się tylko sekundę. Potem wypiła i znów zapadła trans.

*Alef! ALEF!!!*

Przez chwilę unosiła się w mętnej mgłę, a potem nagle jej jaźń wystrzeliła do przodu. Miała wrażenie, że przekracza barierę dźwięku i pędzi przez miasto jak pocisk artyleryjski, przesywając na wskroś domy, drzewa, samochody, filary wiaduktów i napotkanych ludzi. Pęd był nie do opanowania, a przyspieszenie narastało. Mimo pełnej mobilizacji woli pierwszy kop narkotycznej mieszanki wyrzucił Helenę poza rzeczywistość, w magmę wizji przyszłości, w których mogła sobie wybierać, jak chciała, jedną wspanialszą od drugiej. Nie dała się zwieść, ale musiała poczekać na samoistne wyhamowanie, starając się nie zagubić w kolejnych wymiarach o euklidesowych i nieeuklidesowych metrykach, które roztasowywały się gwałtownie przed jej umysłem. Dopiero potem chaos rozszerzonej percepcji dało się opanować. Porządkowała go krok po kroku, jak podczas pierwszych szkoleń, aż wreszcie znów znalazła się tu i teraz.

Przemknęła nad dymiącym gmachem sądu i w poszukiwaniu Alefa zeskanowała mentalnie okolice. Miała wrażenie, że jej jaźń jest jak brzytwa, tak szybko i szeroko cięła rzeczywistość na kolejne płaty percepcji. Jednocześnie czuła, że ta brzytwa nie ma rękojeści, tylko samo ostrze, które i w nią samą zagłębia się coraz bardziej. Coś w niej nieustannie ustępowało, topniało i zanikało, ale Helena bez wahania robiła swoje.

Wreszcie znalazła i natychmiast zapadła w umysł kochanka. Stwierdziła, że Alef się dusi, więc natychmiast weszła w jego ośrodki oddechowe, zmusiła je do działania. Preparat „A-10” transmitował jej wolę z dostateczną mocą. Płuca szamana ożyły.

Tylko mimochodem Helena zarejestrowała jakiś zgęsteczenie czerni, który umknął nagle, jakby gdzieś w bok, pod naciskiem jej jaźni. W pierwszej chwili nie zwróciła na to uwagi, bo Alef właśnie zaczął oddychać samodzielnie i zaczęła się budzić jego wyższa percepcja.

*To ja, Omega!*

*Jak... - docierało do niego powoli.*

*"A-10"*

*Coś ty zrobiła...!*

*Leż i oddychaj. Wybrałam ciebie. Co się stało?*

*Demon przejął funkcje rdzeniowe.*

*Więc to był on... - W Helenie przebudziły się Erynie. Gwałtownie obróciła jaźń, szukając tamtego zgęstka czerni. Zlokalizowała go momentalnie i rzuciła się w pościg.*

W środku pola świadomości stwór z zaświatów wyglądał jak kłębek czarnych jelit. Uciekając, nie przemieszczał się w przestrzeni, lecz kurczył. Omega dopadła go wcześniej i z furią rozdeptała mentalnie, całą siłą woli i gniewu. Wybuchł niewerbalny wrzask. Za moment wokół Heleny było już chyba z pięć wielkich kłębow czarnych kiszek, ale ona nie bacząc na nic, wpadła w nie jak kula armatnia i odrzuciła na boki, rozbryzgując w czarne kleksy. Wyczuła ich strach. Nie wiedziała, czego się boją, ale zaraz wydało się jej, że to odgadła.

Demony starały się chronić nie tylko sponiewieranego kompana. Za nimi było coś jeszcze... Czyjaś jaźń i tożsamość... Helena rozpoznała Tyckiego!

*Jestem Omega! Omega! Omega!* - runęła w umysł ordynatora, roznosząc wszystko, co stało się jej na drodze.

*Pomocy...!* - to było już czyste przerażenie.

Brutalnie rozgarnęła umysł Tyckiego, szukając wibracji woli, żeby ją wyrwać i zgasić, lecz nagle jakby zapadła się w jakieś mentalne błoto. Szarpnęła się gwałtownie i ten wysiłek sprawił, że niespodziewanie opuściły ją siły. Jaźń Heleny zaczęła tracić oparcie w jej własnym umyśle. Pojęła, że to cena za skuteczność preparatu „A-10”...

Coś pochwytiło ją i zaczęło wywlekać ze świadomości Tyckiego. Zdołała to odepchnąć dopiero wtedy, gdy urwał się kontakt.

Alef z wysiłkiem uniósł się na łokciu.

*Helena! Omega!*

*Jestem...* - jej przekaz drżał.

*Gdzie byłaś?* - Nie czekał na odpowiedź. - *Pomóż mi wstać. Moje mięśnie to jeden wielki zakwas...*

Posłusznie wzmocniła jego wolę swoją wolą. Alef dzwignął się na kolana i nagle poczuł, że Helena wiotczeje i osuwa się, jakby wypadając z niego.

*Co ci jest?!* - Już wiedział, że pyta niepotrzebnie. Zataczając się, opuścił śmietnik i poprawił kaptur. - *Hela!*

Jaźń dziewczyny gdzieś odpływała.

*Taaak...?*

*Trzymaj się, wracam do ciebie!*

*Taaak...*

Do domu miał co najmniej godzinę drogi. Klnąc pod nosem, Alef wtoczył się do bramy, płosząc babsztyla z ratlerkiem.

- Paszoł won, narkomanie! - usłyszał za sobą.

Czworonóg rozjazgotał się niemiłosiernie.

*Hela, mów do mnie!*

Cisza. Serce podeszło Alefowi pod gardło. Jednak nie mógł zaniechać ostrożności. Drugi rzut policyjnych odwodów właśnie obstawiał cały kwartał. Z wysiłkiem rozszerzył świadomość, szukając wolnych przejść.

Po pół godziny kluczenia bezpiecznie dotarł na przystanek i wsiadł w pierwszy nadjeżdżający tramwaj. Przejechał cztery przystanki i dopiero zdecydował się wziąć taksówkę. Wcześniej musiał jednak kupić sobie nowe ciemne okulary i wyrzucić dres, bo najwyraźniej w tamtym śmietniku przewrócił się w kałużę sfermentowanego moczu... Szczęściem w tramwaju ludzie udawali, że go nie widzą.

Helena nie odpowiadała na wezwania.

Za to taksówkarz okazał się szalenie rozmowny. Kiedy dojeżdżali pod dom, Alef był bliski szaleństwa. Zmusił się, żeby wysiąść dwie przecznicę wcześniej i dojść na piechotę, starannie unikając ludzi, którzy przypadkiem zwrócili na niego uwagę.

W kieszeni nie było kluczy!

Koszmar trwał trzy upiorne sekundy, zanim uświadomił sobie, że ma je w drugiej...

Nie wiedział, że będzie potrzebował aż tyle mobilizacji woli, żeby przekroczyć próg laboratorium.

Helena klęczała skulona, dotykając czołem podłogi. Krew sączyła się jej z nosa i ust. Znacznie więcej krwi ściekało po udach, tworząc kałużę pod skurczonym ciałem...

Była martwa!

Powściągając szaleństwo, jeszcze raz, dokładniej sięgnął jaźnią i stwierdził, że to tylko letarg. Nie zdołał zapanować nad nogami i bezwładnie osunął się obok. Jednak nie zważał na słabość ciała.



Wszedł mocno w nią, zmusił serce do bicia. Z ulgą stwierdził, że budzi się mózg, ale jednocześnie po nogach pocięła jej nowa fala krwi.

Alef wziął się w garść. Wstał, podniósł dziewczynę, zaniósł do wanny i zalał zimną wodą, aby osłabić krwotok. Nie opuszczając mózgu Heleny, wrócił do laboratorium. Butelka z „A-10”... Odtrutka! Ręce tak mu się trzęsły, że pierwsza igła wypadła podczas nakładania na strzykawkę jednorazówkę. Czym prędzej sam pociągnął haust odtrutki i powstrzymał żołądek przed zwróceniem mikstury. To nie wszystko, uświadomił sobie. Przecież Helena wcześniej brata „A-6”! Gryząc wargi, przygotował drugą strzykawkę i wrócił do łazienki. Serce dziewczyny znów ustawało...

Skoncentrował się ostatni raz. Powoli, starannie zrobił zastrzyki, a potem klęcząc przy wannie obserwował rezultaty.

Kiedy przekonał się, że będzie dobrze, ulga była tak wielka, że Alef po prostu zemdlął.

### 13. OSACZENI

Helena odzyskała świadomość po dwunastu godzinach. Alef stał się w tym czasie wrogiem publicznym numer jeden. Wszystkie stacje telewizyjne bez końca emitowały migawki z zamieszek pod sądem, pokazując, jak bije on w twarz oficera policji. Sekwencję z ujęć dwu policyjnych kamer zmontowano tak perfidnie, że kiedy Alef zrywał się na nogi, odskakując od ciała Koniczyna, wyglądało to tak, jakby wcześniej kopał wyrzuconego z okna księdza. Oczywiście, wycięto cały fragment z pistoletem oraz moment ataku szeregowca z pałąk. Podobno ktoś w zamieszaniu podbił operatorowi łokieć, toteż kiedy obraz powrócił w kadr bezwładne ciało oficera z naruszonymi kręganymi szyjnymi i naderwaną po ciosie pałki tętnicą właśnie osuwało się z rąk Alefa. Potem pokazano, jak szaman znika w tłumie, pomijając moment trafienia go gumową kulą. Z faktu, że Alef znajdował się na skraju zbiegowiska, wynikać miało, że dowodził on chuligańskim atakiem. Cóż, było rzeczą wysoce niepolityczną dodatkowo wkurzać ludzi i oskarżać o spowodowanie zamieszek którejkolwiek ze zboliałych matek...

Na domiar złego, po tym, jak kula strąciła szamanowi ciemne okulary, jego twarz na ułamek sekundy znalazła się w pełnym świetle dnia, co w półprofilu doskonale uchwyciła kamera. Zaledwie rąbek cienia kaptura położył się na czoło i oczy, ale z łatwością usunięto go podczas elektronicznej obróbki. Gotowe zdjęcie bez mała nadawało się do paszportu, bo lewe ucho było bardzo dobrze widać, odsłonięte przez włosy i kaptur, nie nadążające za ruchem głowy. Co prawda, żeby rozpoznać Alefa w realnych warunkach, trzeba było jednak odrobiny wyobraźni, o którą w narodzie trudno, ale wszystkie przypadki były wciąż po stronie Tyckiego.

Niemal natychmiast skojarzono Alefa z człowiekiem szarpiącym kobietę w budce telefonicznej, podczas pamiętnej, podwójnej katastrofy lotniczo--samochodowej. Ujawniono też, że kobietą ową była niejaka Helena Mirska, chora psychicznie, i w ten sposób Alef z dotychczasowej roli herszta zbirów awansował jeszcze na psychopatę, który uprowadził pacjentkę z kliniki profesora Tyckiego. Sam Tycki zboliałym głosem wygłosił do kamer wstrząsające oświadczenie, w którym zapewniał o swej niezachwianej wierze w głębokie człowieczeństwo Alefa. Apelował doń, by nie czynił dziewczynie krzywdy lub chociaż podał miejsce ukrycia zwłok.

Ale to jeszcze nie było wszystko. Zszokowany ksiądz Koniczyn, gdy odzyskał przytomność w szpitalu, dał sobie wmówić, że został dodatkowo skopany przez Alefa, a wobec kary bożej, która go tak jawnie dotknęła, postanowił dać świadectwo prawdzie i przyznał, kto był jego prawdziwym źródłem objawienia. Pseudonim przekreślono wprawdzie na "Alf", ale szamanowi doszło podejrzenie o satanizm i nekrofilie. Zdruzgotany Tycki, poproszony przez dziennikarzy o komentarz, zapewnił, że rzecz przerasta całe jego doświadczenie zawodowe.

Śledczy mieli zatem twarz Alefa, prawie jego pseudonim oraz tłum agresywnych reporterów z furią dopytujących się, kiedy dostaną nazwisko i adres tego człowieka. Ponadto, policja odczuwała ogromną potrzebę rehabilitacji w oczach społeczeństwa za dotychczasowe wpadki. Na każdym poziomie służbowej hierarchii mówiono tylko o honorze i kwestii czasu.

Jedyne na co Alef mógł jeszcze liczyć, to dotychczasowa praca nad świadomością sąsiadów, nastawiona na lekceważenie i bagatelizację jego osoby. Ta bariera obronna mogła jednak w każdej

chwili prysnąć jak bańka mydlana. Wystarczyło, żeby teraz choć na kilkanaście sekund wyszedł z mieszkania...

Przypadki czaiły się wokół jak skorpiony i jadowite węże.

Siedział przy łóżku i trzymał ją za rękę.

- Powiedz, czemu to zrobiłaś?

Uśmiechnęła się blado.

- Chyba starczy już mężczyźni, którzy poświęcili za mnie życie...

- A dziecko?

- Możemy spróbować znowu.

Pokręcił przecząco głową. Postanowił nie ukrywać prawdy.

- Praktycznie wygarbowałaś sobie jajniki.

- A ty? Przecież sam...

- Jeden z metabolitów "A-10" tworzy toksyczny kompleks z progesteronem, testosteronu to nie dotyczy.

- Zatem bezpieczny seks. - Próbowała nadrabiać miną.

- Co najmniej przez pięć lat. - Pokiwał głową. - Gdybyś była starsza, pewnie dożyłotnio.

- Miesiąc z turbodoładowaniem... - Dotknęła podbrzusza i odwróciła głowę do ściany.

- Przykro mi.

- Prawie go miałam... - wycodziła przez zęby. - Jeszcze chwila, a byłoby po nim... Wymiękłam w ostatniej chwili.

- Nie wymiękłaś - odparł oschle. - Zaczęła się agonia. Prawie umarłaś. Kiedy wróciłem, twoje serce uderzało raz na pół minuty.

- Wciąż masz mi za złe, że uratowałam ci życie?

- Mężczyzna nie powinien żyć takim kosztem. Spojrzała mu prosto w oczy.

- To był mój wybór.

- Kobieta nie powinna wybierać między życiem a śmiercią. Wy jesteście tylko dla życia.

- Szamanki też?

Milczał. Spuścił wzrok.

- Na ile poznałam tę tradycję... szamanki rozmnażają się raczej przez adopcję... - odpowiedziała za niego.

- Chyba że miały dzieci przed inicjacją.

Uścisnęła jego rękę

- Tego wyboru nie miałam. Nie gryź się. Przecież nie po to mówiłeś mi tyle o wolnej woli, żeby we wszystkim być moim przewodnikiem.

- To prawda - przyznał z westchnieniem.

- Wiesz, że one wcale nie są takie groźne, jak mnie straszyles? - Spróbowała się uśmiechnąć. - Wiały przede mną, aż fruwały te ich czarne flaki...

- Nie przed tobą uciekały.

- A przed czym?

- Przed twoim poświęceniem i ofiarą. To jest coś, co wymiata je z naszego świata... z siłą wodospadu.

- Dlaczego?

- Tak mamy ten świat poskręcany. Zgadnij, czyja to robota...?

- Tego, którego lubisz.

- Tak.

Pomilczeli chwilę. Nagle pacnęła się w czoło, jakby coś ją zdumiało.

- Wiesz, że z tym Tyckim jest trochę nie tak...

- Nawet bardzo nie tak - odparł z przekąsem.

- Nie o to chodzi. Kiedy byłam w jego umyśle, on wcale nie wydawał się straszny...

- Domyślałam się, że to ty napędziłaś mu strachu.

- Nie w tym rzecz! - syknęła poirytowana. - Nie mogłam znaleźć woli... Wszystko było tam takie miękkie, rozlazłe...

- Jak u tych ćpunów w bramie? - podsunął.
- Właśnie! - Aż się poderwała.
- Przytrzymał ją stanowczo.
- Leż spokojnie. Bo znowu wylądujesz w wannie z lodem między nogami.
- Tycki też jest narkomanem?! - spytała z niedowierzaniem.
- Niezupełnie. Po prostu obcuje z demonami.
- W tym celu musi coś brać! - domyśliła się. - Pamiętam, co mówiłeś... jakieś narkotyki!
- To nie są narkotyki w ścisłym znaczeniu tego słowa.
  
- Chyba powinnam wreszcie zaliczyć i ten etap wtajemniczenia. Wbrew zapewnieniu wahał się długo, przygryzając wargi i kręcąc głową.
- Dobrze...
- Alef! - ponagliła zniecierpliwiona.
- Jeżeli to powiem, zrobię coś nieodwracalnego...
  
- Podobno mamy wolną wolę? - odrzekła. - Zasłyszane słowa do niczego nas nie zobowiązują.
- Ale to jest czarna wiedza. Fundament nekromancji.
- Powiedz.
- Tycki zażywa ptomainy, alkaloidy trupie.
- Więc dlatego Sewczyk... - powiedziała Helena. I zamilkła, w olśnieniu kojarząc kolejne fakty.
- Nekrofil — farmaceuta, osobisty diler pana profesora - Alef postawił kropkę nad i.
- Więc po to wyprawa na cmentarz... narzędzia... woreczki do transplantacji...
- Zapewniają hermetyczną i sanitarną szczelność. Istotna sprawa, jak się przewozi tkanki w stanie zaawansowanego rozkładu gnilnego.
- Czego jeszcze nie wiem? - spytała.
- Powinno to być gnicie odbywające się w warunkach beztlenowych. Wtedy ptomainy tworzą się w większej liczbie odmian i są aktywniejsze. Tamten cmentarz jest wyjątkowy pod tym względem, bo ma gliniastą ziemię, nieprzepuszczającą powietrza. Gdzie indziej dominują luźne, morenowe piaski.
- I Tycki to je? - wzdrygnęła się. - Jak hiena lub sęp...
- Bez przesady, nie na surowo, tylko po rafinacji. Od tego ma Sewczyka. A hieny i sępy, skoro je już wspomniałaś, to bardzo ciekawe przystosowania ewolucyjne. Sępy, na przykład, mają wprost rewelacyjne zmysły, zwłaszcza wzrok i węch, tak dobre, że nie sposób wytłumaczyć tego prawami optyki i chemii. Czasem sprawiają wrażenie, jakby przewidywały bliską przyszłość...
- Wyższa percepcja - odgadła. - Jak nasza!
- Z nami bym ich jednak nie porównywał. Przypominam, że przyszłości nie da się przewidzieć ani wyliczyć, jeśli w grę wchodzi wolna wola. Wtedy przyszłość można tylko aranżować, zaś sępy i inne ścierwojady reprezentują bardzo szczególny rodzaj symbiozy. Ponadto, hieny miewają niezwykle poruszający śmiech...
- Ogarniam - mruknęła Helena. - Ale Tyckiemu chyba nie jest do śmiechu. Każda hiena to okaz zdrowia i odporności, on zaś płaci ceną za swoją... wolę mocy. Od wewnątrz jest wrakiem.
- Tak jak jego idol Fryderyk Nietzsche. - Alef wzruszył ramionami. - O tym proroku nihilizmu można powiedzieć wiele, ale nie to, że był okazem zdrowia fizycznego i psychicznego.
- Więc Nietzsche też brał te pto..?
- Ptomainy - powtórzył. - Recepty się nie zachowały, ale jak wytłumaczysz fakt, że bredzący szaleniec zyskał aż taki posłuch, zainteresowanie i odzew? Taką promocję i pijar, jakbyśmy dziś powiedzieli. Był rzecznikiem demonów i za to został wynagrodzony. Co prawda, przez ostatnie dziesięć lat życia funkcjonował jako zombi, ale coś za coś.
- Więc Tycki skończy podobnie!
- Nie tak szybko. Jego demony dokładają starań, aby nie odczuwał skutków ubocznych i na razie im się to udaje.
- Jednak znamy już jego słabą stronę - podkreśliła.
- I dlatego Tycki postawił teraz wszystko na jedną kartę, żeby skończyć z nami.
- Wyczuła drżenie w jego głosie. Zaszło jej w ustach.
- Jaka jest sytuacja?

- Wielki profesor Tycki wyszedł z cienia... - wyjaśnił Alef i opowiedział, co działo się, gdy leżała nieprzytomna.

Kiedy skończył, Helena była przerażona.

- Niemożliwe, żeby nas nie znalazł! - stwierdziła bliska paniki. - To musi być kwestia czasu...

- Jest to wysoce prawdopodobne - przyznał niechętnie.

- Więc co możemy zrobić?!

- Czekać.

- Na co?!

- Choćby na to, aż jakiś człowiek dobrej woli, może dziennikarz, odkręci te pomówienia...

Helena wybuchła histerycznym śmiechem. Pocięły jej łzy, dygotała od narastających spazmów, aż wreszcie zaczęła wyginać się w łuk.

- Uspokój się! - Uderzył ją w twarz, przerywając szaleństwo.

Spojrzała na niego złowrogo, masując policzek.

- Już jestem spokojna.

- Przepraszam...

- To ja przepraszam. - W jej oczach znów pojawiło się człowieczeństwo. - Po prostu pomyślałam, że jeśli mam polegać na moich kolegach z redakcji, to jestem już martwa i pogrzebana.

- Przecież czasem dziennikarze robią też... coś dobrego - odparł oszołomiony jej czarnym humorem.

- Sam mówiłeś kiedy. Mówiłeś, jaki jest warunek otrzeźwienia.

- Pamiętam.

- Straciliśmy dziecko. Co jeszcze możemy poświęcić?

Nie odpowiedział.

- No co?! - nalegała.

- Jeżeli będzie trzeba, staniemy do ostatecznej bitwy - odrzekł wreszcie. - Ale na razie damy szansę ludziom dobrej woli, Tyckiemu i sobie. Będziemy czekać!

- Ten worek pod stołem... - domyśliła się. - Co w nim masz?

- Odpoczywaj.

Mijały kolejne dni.

Nie ruszali się z domu. Ich zdjęcia nie schodziły z czołówek mediów. Helena była poszukiwana jako osoba zaginiona, za głowę Alefa wyznaczono sto tysięcy złotych nagrody. Szybko znaleźli się hojni, prywatni sponsorzy i sumę podniesiono do pół miliona. Zwykli ludzie też chcieli pomóc. Takiej liczby donosów, jawnych i anonimowych policja i służby specjalne nie miały od pierwszej połowy lat pięćdziesiątych XX wieku. Paradoksalnie było to jednak korzystne dla Alefa i Heleny, bo machina śledcza grzęzła w masie zgłoszeń i przypadkowych sprawach, wypływających przy okazji. Jednak wciąż działała, gdyż dwie niezależne grupy zadaniowe nie zajmowały się niczym innym. Natężenie woli i inteligencji pracujących nad sprawą było niemal fizycznie namacalne. W kościołach odczytywano listy pasterskie, zachęcające do współpracy z władzami i odprawiano msze w intencji walczących o ludzką sprawiedliwość. Doszło na tym tle do czterech pogromów zespołów muzycznych, posługujących się symboliką satanistyczną. Oberwali też wyznawcy kilku egzotycznych wyznań, spalono jeden meczet.

Tymczasem parze szamanów zaczęła kończyć się żywność, a co gorsza, w pierwszej kolejności wyczerpał się zapas cukru i słodczy. Alef rozmontował jeden z bibliotecznych regałów z płyty wiórowej i po obdarciu płyt z okleiny, zaczął scukrzać drewno, gotując je w autoklawie z rozcieńczonym kwasem siarkowym. Celuloza zamieniała się w glukozę, ale o tym, co zostawało po zobojętnieniu reakcyjnej pulpy wapnem gaszonym, można było powiedzieć wszystko, tylko nie to, że było słodkie. Nazywali preparat „tynkturą”, bowiem smakował jak tynk ze ściany, ale przynajmniej pozwalała zachować stan wyższej percepcji.

Po tygodniu w laboratorium zabrakło wapna.

- Ile musimy jeszcze czekać? - zapytała wtedy Helena.

- Co najmniej pięć dni.

- Rozumiem, że nadal coś przede mną ukrywasz...
- Pięć dni - powtórzył Alef z uporem.
- Więc ktoś z nas musi iść na zakupy - rzekła krótko. Skinął twierdząco.
- Ty jesteś bardziej poszukiwany, więc ja mam większe szanse. Spojrzał jej prosto w oczy.
- Tak. Pod warunkiem że zażyjesz mieszankę bojową. - Znowu „A-10”?
- Nie żartuj... Uśmiechnął się nerwowo.
- Co jeszcze mam do stracenia?

- Kobięcy wygląd. Po drugim razie zacznie się maskulinizacja. Myślę, że ja nie potrafię być jak Gosiek...

- Dobrze. - Zmarszczyła brwi. - Ale na „A-6” chyba nie muszę już poprzestawać?
- Możesz zażyć „A-8”, ale nie wyżej. I weź poprawkę, że po tym, co czułaś na „A-10”, jest prawdopodobne, że teraz będziesz rozczarowana.
- W porządku. Przygotuj, co trzeba.

Płaszcz, ciemne okulary, chusta na głowie, a w garści torebka i siatka na zakupy. Naprawdę nie wyglądała szczególnie, nie było nic, co mogłoby zwracać uwagę. A mimo to jadowite przypadki podpełzły do drzwi, gdy tylko Helena dotknęła klamki. Przez pół godziny nie mogła wyjść z mieszkania, bo na korytarzu jak na złość ciągle ktoś się kręcił. A to z windy przez pomyłkę akurat na tym piętrze musiał ktoś wysiąść i potem odczuwać palącą potrzebę opowiedzenia o swym roztargnieniu pierwszemu napotkanemu bliźniemu, a to dwie sąsiadki musiały z oburzeniem poplotkować o „tym bandziorze z sądu, co świętą osobę katował”. Oczywiście, pod drzwiami Alefa.

Wreszcie wyczekali na właściwy moment i Helena wybiegła z mieszkania, po czym szybko, lecz bez zbędnego pośpiechu zeszła po schodach. Winda nie wchodziła w grę, ponieważ było więcej niż pewne, że zdarzy się współpasażer, który zbyt dobrze się jej tam przyjrzy.

Kiedy dziewczyna znalazła się na ulicy, odetchnęła głęboko i ruszyła w stronę supermarketu, miękko przeczesując jaźnie mijanych osób. Miała do przejścia dwa przystanki autobusowe. Komunikacja miejska była zbyt ryzykowna, bo najpierw musiałaby kupić bilet, a kioskarka miała akurat przed oczami zdjęcie Heleny w jednym z brukowców. Zresztą, w autobusie, który właśnie podjechał, kasowniki byty zepsute, a na następnym przystanku już czekały kanary...

W połowie drogi jakiś gówniarz w dresie postanowił wyrwać torebkę właśnie jej. Zareagował Alef, naprowadzając napastnika tak, że słupek znaku drogowego znalazł się dokładnie w ślepej plamce oka młodego opryszka. Nagle uderzenie w łeb zresocjalizowało go w ułamku sekundy. Helena udała, że nic nie spostrzegła, ale nie była spokojna.

*Przecież one bawią się z nami w kotka i myszkę!* - przekazała zdenerwowana.

*To nie demony Tyckiego - uspokoił ją. - To tylko bierne działanie klątwy, którą zostaliśmy obłożeni, a która ma je na nas naprowadzić. Staraj się przewidywać zdarzenia, a powinno się udać.*

*Dobrze.*

Sto metrów dalej doszło do bójki dwóch pijaków, którzy nagle wytoczyli się z bramy. Tym razem Helena i Alef zadziałali razem. Podpici mężczyźni chwycili się nawzajem za gardła i trzymali tak długo, póki obaj nie padli. Do supermarketu jednak dziewczyna wejść nie zdołała. Zatrudniony tam detektyw sklepowy wręcz obsesyjnie marzył o nagrodzie za Alefa. Świadomie porównywał z opublikowanymi zdjęciami każdą zauważoną osobę, a po godzinach do upadłego przeglądał zapisy z kamer monitoringu.

*I co teraz?* - zapytała, omijając samoczynne drzwi szerokim łukiem.

*Musisz poszukać jakiegoś małego sklepu.*

*W sąsiedztwie hipermarketu?*

*Szlag... Trzeba zmienić dzielnicę.*

*Więc muszę kupić bilet!* - Zdesperowana podeszła do kiosku.

Tutaj się udało. Sprzedawca miał własne problemy, akurat myślał, co teraz robi jego żona. Ponadto Helena zdołała ukryć twarz za spiętrzonymi nad okienkiem paczkami papierosów i prezerwatyw. Kiedy podjeżdżał tramwaj, sprawdziła, czy nikt nie miał problemów ze skasowaniem

biletu. Błąd polegał na tym, że sprawdziła tylko to, zaś Alef obserwował akurat to, co działo się za jej plecami. Zamykające się drzwi odcięły odwrót.

- Wszystkie jesteście kurwami! - oznajmił oprych z gębą pełną blizn i cyngwajców. W towarzystwie trzech mu podobnych tłumaczył kobietom w tramwaju, że muszą się puszczać, bo są za dobrze ubrane. Był przepelniony nienawiścią do świata. Właśnie odebrał pismo z informacją o odwołaniu warunkowego zwolnienia i jeszcze nie zdążył się napić.

*Potrzebujemy kogoś odważnego...* - przekazał Alef, starając się zachować spokój.

Wszyscy pasażerowie gapili się w okna z hipnotyczną intensywnością. Tylko jeden mężczyzna z długimi włosami i krótką brodą, stojący na końcu wagonu obserwował bandytów kątem oka. Oprych zauważył brak lęku.

- A ty co, pedale jeden?!!

- Pierdol się na drzewo, leszczu w dupę jebany! - poleciała w odpowiedzi błyskawiczna wiązanka.

*Bogu dzięki!* - jęknął w duszy Alef. Bandzior poderwał się z miejsca.

- Tyyy!!!

Mężczyzna był szybszy. Bez wahania wyskoczył do przodu i z impetem całego ciała uderzył głową, czołem w podbródek napastnika. Gdyby to była kreskówka, cyngwajcy zostałyby w powietrzu i osypały się na ziemię. Bandyta po prostu odfrunął, przelatując pół długości wagonu. *Brawo Alef!* - przekazała rozentuzjarmowana Helena. *Ja jeszcze nie zdążyłem nic zrobić...* - przyznał zaskoczony. *Więc zrób teraz.*

Trzej kompani poderwali się z miejsc i ruszyli na śmiałka. Ten ani myślał się cofać. Nagle ogarnęło go radosne, drapieżne uniesienie. Powtórzył atak „z dyni” i drugi oprych, celniej trafiony w klawiaturę, runął na plecy z gębą pełną krwi. Ten pierwszy zaliczył na poprawkę prawy sierpowy w szczękę i zmienił zdanie - przynajmniej na razie zdecydował nie wstawać. Kolejny cios pięści powstrzymał na chwilę trzeciego, czwarty postanowił nie narażać się w pierwszej linii.

Jednak wciąż było czterech na jednego... Mężczyzna nie zaryzykował otoczenia i rozsądnie wycofał się, opierając plecami o tył wagonu. Ruszyli na niego, zionąc obelgami, ale po krótkiej wymianie ciosów zorientowali się, że obrona jest nie do przełamania i przerwali atak.

- Coś ty za jeden?! - wrzasnął żul z zakrwawioną gębą.

- Warszawiak z Woli - padła dumna odpowiedź.

Zamarli z wrażenia. Potem zaczęli oglądać się jeden na drugiego.

- On z tego tramwaju nie wysiada! - zdecydował ten z cyngwajcami, przezornie trzymając się za plecami kompanów.

Mało mu to pomogło, bo właśnie otworzyły się drzwi na kolejnym przystanku i osaczony mężczyzna wykonał zwrot zaczepny. Herszt po raz kolejny wylądował na podłodze, gdyż dziwnym trafem wszyscy kompani znaleźli się nagle za nim. Mężczyzna bez trudu przebił się do drzwi i wyskoczył z tramwaju. Tamci też wysypali się na przystanek, ale na ulicy pełnej ludzi już nie ważyli się atakować, ani nawet śledzić odchodzącego mężczyzny. Zbici w grupkę ponuro patrzyli, jak znika w przejściu podziemnym. Tramwaj z Heleną ruszył dalej.

*Jak masz na imię?* - zwycięzca usłyszał nagle miły, kobiecy głos.

- Radosław - odpowiedział i przystanął, zdumiony rozejrzawszy się, kto pyta.

*Następnym razem nie wsiadaj do drugiego wagonu* - przekazał Alef dziewczynie. - *A teraz możesz już spokojnie zrobić zakupy.*

*Dlaczego?*

*Kłątwa przysła dzięki jego odwadze. Masz co najmniej godzinę, zanim nałożą drugą.*

Godziny jednak nie miała. Kiedy taszcząc dwie torby z zakupami jakieś czterdzieści minut później Helena zbliżała się do osiedla Alefa, drogę zastąpił jej cwaniaczek w pomiętej marynarce, rozchelstanej koszuli, włosami przylizanymi żelazem i grubym, złotym łańcuchu na szyi.

- Czy my się aby nie znamy? - zapytał z porozumiewawczym uśmiechem.

- Nie. - Helena starała się ustawić tak, żeby nie mógł dobrze przyjrzeć się jej twarzy.

- Nie pierdol, dzidzia! Przecież robiłaś mi laskę na imprezie u Aleksa! Kokos jestem... Ale może to nie ty... - przypatrzył się jej badawczo.

Uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Brałeś - oznajmiła.

- A bo co? Kreskę koki i wesołe ziolo... Chciałabyś?
- Narkotyki szkodzą.

Potem Kokos twierdził, że coś go łupnęło w skorupę. Tak jakby łupnęło... Nie wiedział, co się właściwie stało ani kiedy; miał totalną, czarną dziurę w mózgu. Odczuwał tylko nieokreślony dyskomfort... Wkrótce jednak dyskomfort się dookreślił i Kokos stwierdził, że stoi na środku osiedla w zaszczytach spodniach, coś znacznie gęściejszego wypełza mu nogawką, a gromadzona wokół dzieciarnia i paru ziomali pokłada się ze śmiechu.

Alef też już się nie opatyczał. Sąsiad z góry, który zamiast użyć windy, dla zdrowia postanowił zejść po schodach i przypadkiem miał spotkać Helenę akurat wchodzącą do mieszkania, źle stąpnął, skręcił nogę i klapnął ciężko dupskiem na krawędź stopnia, tłukąc boleśnie kość ogonową. Wstając obolały nie wiedział, że spóźnił się na przypadkowe spotkanie, ale przyszła mu do głowy myśl, że nie powinien łykać aż tyle walium...

Helena rzuciła siaty na podłogę, a potem uwiesiła się Alefowi na szyi.

- Chodź do łóżka! - szepnęła, gdy na chwilę przestali się całować.

Przez ostatnie dni, z obawy przed kolejnym krwotokiem dotykali się tylko umysłami. Teraz musieli to nadrobić.

## 14. CZARNA PSYCHOZA

Przez parę dni znów niemal nie wychodzili z łóżka, jak po inicjacji Heleny. Uciekali w siebie przed światem i odwlekali moment decyzji. Mówili mało, wymieniali głównie emocje. Na zagrożenie odpowiadali zwiększoną bliskością i intymnością. Nie rezygnowali jednak z kontroli otoczenia. Alef nie dopuścił, aby zalał ich sąsiad z góry, Helena powstrzymała sąsiadkę z dołu przed spowodowaniem eksplozji gazu. Pożar wybuchł dopiero w sąsiedniej klatce. Lęk i rozkosz walczyły w nich tak długo i intensywnie, aż oba te uczucia stopiły się w chłodne wyczekiwanie. W końcu dłużej nie dano się czekać i to nie dlatego, że znowu kończyły się zapasy.

Sąsiedzi zaczęli sobie przypominać Alefa. Zrazu bez negatywnych emocji, ale jednak przestał być anonimowym cieniem na korytarzu czy w windzie. Już wiedzieli i kojarzyli, że ktoś taki tu mieszka. Demoniczna triangulacja działała bez zarzutu, pętla się zaciskała. W telewizorach wyżsi oficerowie policji demonstrowali tępy upór, który nazywali determinacją. Było kwestią nieodległego czasu, że ktoś skojarzy spokojnego sąsiada z rozklejonym na mieście i przywoływanym w mediach listem gończym.

W pewnym momencie, porozumiewszy się bez słów Helena i Alef po prostu wstali z łóżka, ubrali się i przeszli do laboratorium. Założyli fartuchy. Alef wyciągnął spod stołu dziwnie rozdęty worek.

- Co tam jest? - spytała po raz kolejny Helena. Tym razem otrzymała odpowiedź.

- Zdechły pies. Wpadł pod samochód.

Spojrzała pytająco.

- Nie. Ja go nie posłałem pod koła - rzeki Alef, rozwiązując jutowy worek. W środku był podwójny balon z czarnej folii, związany mocniej niż zewnątrz opakowanie. - Doznania węchowe wyłącza się tak samo jak bólowe - poinformował Helenę. - Jedno i drugie to po prostu zmysły...

- OK.

- Włącz wyciąg i uchyl okno. Mam jeszcze wentylator z węglowym pochłaniaczem, którego używam podczas ekstrakcji opiatów, bo to na początku też strasznie śmierdzi. Zaraz go przygotuję...

- otworzył jedną z szafek.

Helena z niechęcią spoglądała na wzdęty pakunek.

- Może jednak nie wypuszczajmy tego tak po prostu... Licho wie, kto może poczuć?

- Masz rację. Odessiemy gazy pompką wodną. Załóż rękawiczki i okulary ochronne.

- Ty też! - dodała z naciskiem.

- Miałem taki zamiar.

Przygotowania trwały pięć minut. Dodatkowo uszczelnili wilgotnymi szmatami drzwi do przedpokoju. Z utłuczonej na skos szklanej rurki zrobili sondę, którą przebili folię, po czym spieniony strumień wody porwał gazy gnilne w głąb kanalizacji. Potem otworzyli worek.

- To był pudel?  
 - Tak.  
 - Spory... - odplynęła na chwilę myślami. - „Zrozpaczone dzieci czekają na wiadomość” - zacytowała fragment ogłoszenia.  
 - Przykro mi.  
 Alef podał jej duży skalpel i szczypce.  
 - Co mam robić?  
 - Odcinaj fragmenty tkanek o zabarwieniu brunatno — zielonkawym. Mięśnie i narządy mięszone, wątrobę, płuca... Poradzisz sobie?  
 - Jak dasz sekator.  
 Sięgnął do szuflady z narzędziami.  
 - Mam tylko nożyce do blachy. Na żebra wystarczy. Ja zajmę się resztą... - wyjął starą, żeliwną maszynkę do mięsa i przymocował ją do brzegu stołu.  
 Pod wylot podstawił kuwetę i napełnił ją do połowy piętnastoprocentowym kwasem siarkowym.  
 Helena przysunęła wentylator, przetłaczający zasysane powietrze przez puszkę z węglem drzewnym i wykonała pierwsze cięcie. Skóra pokryta lepka, mierzwioną sierścią ustąpiła łatwo, odsłaniając rozmiękłe mięśnie.  
 - Części siniofioletowe są jeszcze niedojrzałe - wyjaśnił Alef. - Tylko zielonkawę! Nie interesuje nas także tłuszcz. Uważaj, żeby się nie skaleczyć, zwłaszcza odłamkami żeber...  
 - Postaram się - mruknęła Helena.  
 - Jady trupie to nie wszystko, są tu jeszcze bardzo agresywne gatunki bakterii.  
 - Proszę! - wrzuciła do maszynki pierwszy kawałek gnijącego mięsa.  
 Alef zmielił go kilkoma ruchami korby i mieszając szklaną bagietką, rozprowadził papkę w kwasie. Helena już podawała nową porcję.  
 Pracowali w milczeniu, robiąc każde swoje. Wyciąg pracował na najwyższych obrotach. Po godzinie Alef uznał, że już wystarczy i Helena spakowała pocięte szczątki z powrotem do worków, starannie zaklejając plastrami dziury w folii. Alef zlał z kuwety roztwór produktów gnicia, roztworzonych w kwasie siarkowym, po czym wyrzucił upiorną mielonkę do sedesu i dwa razy spuścił wodę.  
 - Ciśnienie gazów chyba wkrótce oderwie te łaty - powiedziała Helena, gdy Alef wrócił z łazienki. - Nie możemy dłużej trzymać tego w domu.  
 - Zgadza się - przyznał zafrasowany.  
 - Gdybyśmy mogli zahamować dalsze gnicie...  
 - Nie mamy już wapna - przypomniał. - Wyszło na „tynkturę”.  
 - Więc trzeba wyjść i wyrzucić...  
 - Zajmę się tym - odparł bez wahania. - Na razie dokończmy sprzątnięcie.  
 Narzędzia chirurgiczne oraz rozebraną maszynkę do mięsa umyli najpierw w roztworze sody kaustycznej, potem w zwykłych detergentach. Resztki białek z kwasowego wyciągu Alef wytrącił za pomocą formaliny, a następnie odsączył je i wyrzucił osad do sedesu. Po dwóch godzinach pracy mieli z powrotem starannie zawiązany worek oraz dużą zlewkę z litrem zielonkawego, już bezwonnego roztworu. Alef zobojętnił go ługiem sodowym.  
 - Alkaloidy jak sama nazwa wskazuje są związkami zasadowymi - mówił, starannie mieszając odczynniki. - Teraz w roztworze zostały nam siarczany ptomain oraz aminokwasy, aminy, a ponadto siarczany i fosforany sodu.  
 - Skąd się wzięły fosforany? - spytała Helena.  
 - Ze związków biofosforowych, typu ATP - odparł. - Na bieżąco wchodziły w reakcję z produktami rozkładu białek, tworząc sole alkaloidów trupich. Kwas siarkowy wyparł fosforowy i przejął ptomainy.  
 - Co teraz?  
 - Sita molekularne numer 3 i 5 - oznajmił, sięgając po słoiki. - Najpierw pozbedziemy się soli nieorganicznych... - umieścił w statywie grubą, pionową rurę szklaną, z kranikiem u dołu, po czym wypełnił ją szarym granulem z jednego ze słoików i dwukrotnie przelał przez nią roztwór z kuwety.  
 - Do wylania! - Wskazał zlewkę. - To, co nas interesuje, już się zaadsorbowało...  
 Helena pozbyła się wyczerpanego roztworu, zaś Alef zmontował drugą, identyczną kolumnę adsorpcyjną, wypełnioną subtelniejszym sitem molekularnym numer pięć. Następnie roztworem



solanki z kwasem solnym wypłukał z pierwszej kolumny unieruchomione związki i przepuścił je przez drugą. Helena wylała kolejny zbędny roztwór, zaś Alef wykorzystując resztę sody kaustycznej, wyparł z unieruchomionych na sicie siarczanów czyste ptomainy i wyekstrahował je z zawiesiny alkoholem. Po kolejnym sączeniu mieli już czysty, delikatnie opalizujący roztwór.

Alef zatarł ręce.

- A teraz wyższa szkoła jazdy! Czyli chromatografia sprzężona z polarymetrią. - Montował sprzęt i objaśniał: - Wypełniamy kolumnę chromatograficzną najsilniejszym adsorbentem zeolitowym, znaczy bierzemy sito molekularne numer dziewięć. Ono już nie zatrzyma ptomain na stałe, tylko spowolni ich przepływ, przy czym każdy z alkaloidów trupich przejdzie przez kolumnę z inną prędkością. Wszystkie alkaloidy są optycznie czynne, więc zmianę frakcji rozpoznamy po zmianie kąta skręcenia światła spolaryzowanego, przechodzącego przez roztwór... Rozumiemy się?

- Mów do mnie jeszcze - wzruszyła ramionami Helena.

- Lepiej się skup, bo ty będziesz obsługiwać ten polarymetr! - oznajmił, wyjmując urządzenie. - Patrzysz tu, w ten okular i widzisz dwa półkola, ciemniejsze i jaśniejsze. Roztwór z kolumny będzie stale przepływał przez polarymetr. Ty kręcisz tym pokrętkiem, wyskalowanym w stopniach katowych, tak aby oba półkola miały stale taką samą jasność. Po każdej zmianie o dwa stopnie będziesz miała inną frakcję ptomain, którą zbierasz do osobnej kolby. Jasne?

- Chyba muszę poćwiczyć - skrzywiła się zafrasowana.

Posunął się i zrobił jej miejsce przy stole.

- Masz, baw się! Tu są roztwory kontrolne... - pokazał. Sam wyjął z szafki trzydzieści małych, stożkowych kolbek erlenmajerek, starannie ponumerował je markerem i ustawił w kolejności. - Do nich zbieraj frakcje - polecił - a ja się tym zajmę - wskazał worek z resztkami psa.

Spojrzała z niepokojem.

- Dokąd pójdziesz?

- Nigdzie daleko - odpowiedział z powagą. - Tylko do naszego zsypu. Dalej i tak nie ma sensu...

- To też niebezpieczne.

- Będę uważał. No, bierz się do roboty!

Został z nią jeszcze kwadrans, aby upewnić się, że wszystko robi prawidłowo. Potem zdjął laboratoryjny fartuch, wziął worek i zaczął się czaić przy drzwiach. Oczywiście, od razu trafił na korowód akwizytorów oraz roznosicieli ulotek, którzy ochoczo wykorzystywali fakt, że zepsuł się domofon na dole. Helena już od dłuższego czasu pobrzękiwała przestawianymi kolbami, zanim Alef zdołał wychwycić dobry moment, by wyjść na klatkę.

Za drzwiami, ku swemu zaskoczeniu, znalazł się na planszy realnego, trójwymiarowego go. Myśli i ruchy osób przemieszczających się w górze, w dole i po bokach osaczyły szamana zewsząd, niczym kamienie przeciwnika. Partia rozstrzygnęła się szybko. Po trzech sekundach Alef wiedział, że wybrał jednak zły moment, a po dziesięciu, że przegrał tę grę i nie ma odwrotu. Nie był w stanie uniknąć spotkania z którymś z sąsiadów, którzy nagle, z różnych powodów powychodzili z mieszkań. Jeden postanowił akurat wyczyścić wycieraczkę pod drzwiami, kobieta z dołu wyskoczyła na papierosa, żeby nie palić przy dziecku, trzeci sąsiad też wyruszył ze śmieciami. Alef mógł jedynie wybrać, które z nich spotka. Postawił na sąsiada z piętra wyżej, z którym widywał się najrzadziej, ale w zamian musiał pogodzić się z faktem, że obaj zdążają do tego samego zsypu.

- Patrz pan, sąsiedzie! - oznajmił tamten na widok Alefa. - Kłapa mi się zacięta, no to musiałem tu zejść!

- Dziadostwo dziś robią - przytaknął szaman.

- A gdzie tam! To te gówniarze, znów coś z zawiasami porobili! Jakbym którego dorwał, to nogi z dupy... - Bezceremonialnie wepchnął się przed Alefa i wyrzucił swoje śmiecie.

Cisnął worek w czeluść, starając się zachować maksymalny spokój. Niestety, fakt, że z wierzchu była jutowa tkanina, zamiast zwykłej folii na śmiecie, zainteresowała gadatliwego mężczyznę.

- To po ziemniakach? - zagadnął domyślnie.

Alef skinął głową. Pamiętał, by nie stanąć do sąsiada profilem.

- Może jeszcze by się przydał?

- Brudny był.

Mężczyzna skrzywił się nagle.

- Ależ capi z tego zsypa!

Alef błyskawicznie zrozumiał, że to nie zsyf. Woń padliny wsiąkła mu we włosy, czego on, nastawiwszy się na psychiczne ignorowanie smrodu, nie zauważył i nie umył głowy przed wyjściem z domu. Teraz, czym prędzej odsunął się od sąsiada. Ruch był nienaturalny, bo jednocześnie nie mógł pokazać profilu.

- Śpieszy się pan, sąsiedzie?

- Schabowy zostawiłem na patelni!

- A tak, ja też lubię, wiesz pan, najlepsze są...

Jeśli zostanie choć o sekundę dłużej, to spotka jeszcze kogoś. Musiał uciekać bez pożegnania, co też zrobił.

Sąsiad popatrzył zdziwiony, wzruszył ramionami i poszedł do siebie.

- Skończyłam! - oznajmiła Helena, słysząc stuk zamykanych drzwi wejściowych. - Jak ci poszło?

- Bierzmy się za krystalizację! - rzekł wymijająco. - Ile masz frakcji?

- Dwadzieścia osiem... - odparła niepewnym tonem. - Miało być trzydzieści?

Powoli nakładał fartuch, starając się odzyskać spokój.

- Nie szkodzi, wystarczy. - Wziął głęboki wdech. - Wybierz teraz te kolby, które oznaczone są liczbami pierwszymi.

- 1...2...3...5...7...11...13...17...19...23...! - odliczyła głośno. - Co z pozostałymi?

- Wylej, tylko te roztwory są trujące.

Zdjął z półki parowniczkę i maszynkę elektryczną.

Godzinę później było po wszystkim. Uprzątnęli i wywietrzyli laboratorium, a fartuchy i ubrania, które mieli pod spodem trafiły do pralki. Na koniec, umyć i przebrani usiedli przy stole w kuchni. Przed nimi leżało szkiełko zegarkowe, na którym piętrzyła się stołowa łyżka białego, krystalicznego proszku.

- My mamy to zjeść?! - Helena zrobiła minę, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę, do czego zmierzali przez ostatnie godziny.

- Oby nie... - westchnął bez przekonania Alef. - Ale jak będzie trzeba, to nie więcej niż jedną czwartą. Dokładnie dobierać dawki do masy ciała już nie musimy.

Z wysiłkiem przełknęła ślinę.

- Z czym my to...?

- W lodówce mamy puszkę stronga. To piwo uwarzono jakby specjalnie do tego celu. Zawiera dość alkoholu, by ptomainy dobrze się rozpuściły i jest wystarczająco gorzkie, by ukryć ich smak...

- Nalać?

- Jeszcze nie.

Wzdrygnęła się nagle.

- Czego trzeba się bać?

- Siebie. - Spojrzał jej w oczy. - To będzie czarna psychoza.

- Dlaczego nie mówisz „trans”, tak jak zwykle?

- Jak wolisz, niech będzie: czarny trans... - Pokręcił głową. - Dla psychiatrów każdy stan po zażyciu narkotyków jest psychozą albo delirium. Doświadczenia szamańskie to dla nich tylko épunowsko-etniczny folklor. Dla mnie i ciebie dotąd była to jednak biała psychoza, dobry trans. Teraz...

- Alef, ty tego już próbowałeś! - Oskarżycielsko wskazała na proszek.

- Nie chcę o tym mówić. Jak sądzisz, dlaczego wołałem raczej zginąć niż zrobić to drugi raz?

Zbladła tak, że aż się przestraszył.

- To jak historia z Lovecrafta... - próbował łagodzić.

- Spotkamy Przedwiecznych?

- Trafnie to ujęłaś.

- I co oni nam zrobią?! Zjedzą?! Doprowadzą do szaleństwa?! - pytała bliska histerycznego śmiechu.

- To zależy tylko od nas. Zacznie się targ. Profesjonalne negocjacje połączone z rozmiękczeniem kontrahenta... My chcemy, żeby one się wyniosły, one też będą coś od nas chcieć.

- Co?!!

- Opanuj się - powiedział z naciskiem. - Może, na przykład, zechcą zmienić firmę i zacząć służyć nam. Tycki się kończy, więc...

- To przecież nie wchodzi w grę! - zaproponowała stanowczo, odzyskując równowagę. - Mamy wejść

w ich pasmo percepcji po to, żeby pogonić je tam, skąd przyszły, czyli w diabły. Taki byt plan! - zmrużyła oczy. - Rozumiem, że jakoś za to zapłacimy... Jak?

Pochylił głowę.

- To zawsze jest pakt lub antypakt. Jeśli nie dają, to biorą...

- Alef, czym my im musimy zapłacić, żeby odeszły?!

Nie zdołał powiedzieć tego słowami.

*Czymś, co naprawdę jest dla nas cenne.*

*Albo?*

*Staniemy się jak Tycki.*

- Może to lepiej wyrzucimy? - Spojrzała na prosek.

- Już nie możemy.

- Dlaczego?

- Zobacz, co się dzieje pod blokiem...

Bezdomny mężczyzna, dla przyjaciół dziadek Maniek, skorzystał z okazji, że śmieciarze zapomnieli zamknąć drzwi od zsypu i wygrzebał ze śmieci całkiem jeszcze dobry worek. Na dodatek z intrygującą zawartością. Niespodzianka była faktycznie duża... Dziadek Maniek nie porzygał się jednak, bo był zwyczajny. Tylko z namaszczeniem podrapał się w głowę i zaczął myśleć. Głównie o satanistach i o tym, że ostatnio naprawdę ostro takich gonili. No bo kto inny robiłby psom takie rzeczy, jak nie sataniści? O czarnych mszach co nieco się słyszało.

Tak się składało, że dziadek Maniek był na prowizji w jednym brukowcu. Człowiek na ulicy rozmaite rzeczy ogląda, więc wizytówkę i kartę telefoniczną miał na stałym wyposażeniu, z perspektywą pięciu dych, jakby temat był do kupienia. Zatem dziadek Maniek prawidłowo oszacował wartość znaleziska i żwawo podreptał do budki. Ta akurat nie była zajęta, ani aparat nie okazał się zepsuty, ani żaden samolot w trakcie rozmowy nie spadł. Pan redaktor przyjechał szybko, a że zwyczajny nie był, to się porzygał. Musiał go dziadek Maniek paroma tykami denaturatu pokrzepić.

Dziennikarz, jak już doszedł do siebie, zadzwonił po fotoreportera i animalsów, ci zaś po policję. Dwie ekipy telewizyjne wyrosły jak spod ziemi. Na początek reporterzy zaczęli wypytywać wchodzących i wychodzących z bloku, kto tu może praktyki satanistyczne odprawiać? Zrobiło się zbiegowisko, po czym policja sprawnie uporządkowała śledztwo i w towarzystwie dziennikarzy zaczęła robić wywiad środowiskowy, chodząc od drzwi do drzwi.

Alef mieszkał na ósmym piętrze.

- Wcale nie musimy otwierać - zauważyła Helena.

- Za pierwszym razem nie - odparł Alef. - Dopiero jak wrócą.

- Dlaczego mieliby wrócić?

Jak dojdą do sąsiada z góry. On już na pewno skojarzy, gdzie widział worek, w którym znaleziono szczątki psa... - opowiedział o spotkaniu przy zsypie.

Dziewczyna znów pobladła.

- Czemu nie mówiłeś?

- Miałem nadzieję, że się rozejdzie po kościach.

- A teraz...?

- Albo stracimy bardzo dużo, albo wszystko. Jak nas złapią, nie przeżyjemy doby. Ty już jesteś ofiarą psychopaty, więc nie trzeba będzie dużo mieszać w papierach. Ja pewnie wpadnę w depresję i powieszę się w celi albo na narkotykowym głodzie podetnę sobie żyły. Oczywiście, kamery jak zwykle będą zepsute. Nie wykluczam też próby ucieczki lub zamknięcia ze świeżo nawróconym kryminalistą, który bardzo nie lubi takich, co biją rannych księży...

- Proszę, zaczekajmy jeszcze! - szepnęła.

Siedzieli w milczeniu i patrzyli sobie w oczy. Wreszcie zelektryzował ich dzwonek do drzwi. Żadne się nie ruszyło. Nasłuchiwali. Zadzwoniono po raz drugi.

- A tu taki jeden mieszka... - powiedział kobiecie głos. - Spokojny chłopak.

- Młody i spokojny...? - zapytał męski głos, stanowczo, ale i z powątpiewaniem. - A jest w domu ten ideał?

- Nie widziałam.

- Jeszcze sprawdzimy. Kroki oddaliły się.

- Kiedy dojdą do tego sąsiada? - spytała szeptem Helena.

- Piętnaście, dwadzieścia minut...

Dziewczyna wstała bez słowa i wyjęła piwo z lodówki. Alef wziął łyżeczkę i rozpuścił ptomainy w ciemnożółtym płynie. Ze szklankami w dłoniach przeszli do sypialni. Usiedli naprzeciw siebie w pozycjach do medytacji, tak jak podczas pierwszego szkolenia, tylko bliżej. Mogli się trzymać za ręce.

- Pamiętaj, że one wygrzebią ci wszystko z pamięci - mówił cicho. - Zwłaszcza rzeczy, o których zdołałeś zapomnieć i spróbują wykorzystać to, żeby cię złamać. Czy jest coś, o czym powinienem wcześniej wiedzieć?

Pokręciła przecząco głową.

- Ja też nigdy nie miałem wobec ciebie żadnych ukrytych zamiarów. Pijmy.

- Alef! - kurczowo chwyciła go za rękę, omal nie rozlewając mikstury. - Zaczekaj, proszę!

- Nie mamy czasu.

- Opowiedz mi jeszcze coś o białej psychozie, o dobrym transie... - prosiła skrajnie przerażona. - Proszę, Alef... - szcęknęła zębami.

- Błażej Pascal, francuski filozof, 23 listopada 1654 roku przeżył coś, co nazwał „nocą ognia” - Alef mówił powoli, spokojnie, powstrzymując ogarniającą go panikę. - Przez dwa dni nie jadł, nie pił i nie spał, tylko czytał Biblię. Nagle oślepił go ogień, w którym wyraźnie poczuł obecność Boga. Wtedy zemdłał, a kiedy się ocknął, spisał swoje uczucia, zaczynając od podania dokładnej daty i godziny. Potem były słowa: *Ogień, Pewność. Pewność. Uczucie. Radość. Pokój*. I wyznania wiary. Kartkę tę nosił przy sobie do końca życia, zaszytą w ubraniu, znaleziono ją po jego śmierci. Są podstawy przypuszczać, że Pascal był wtedy w stanie psychozy, spowodowanej odwodnieniem organizmu. Antoine de Saint-Exupery, gdy opisuje, jak rozbił się samolotem na pustyni i był bliski śmierci z pragnienia, wspomina, że w ostatnim momencie takiej agonii człowiekowi staje przed oczami ściana płomieni. Jednak wiadomo też, że odwodnienie organizmu może powodować także wizje zupełnie koszarne, trupy i egzekucje. Do tego masz jeszcze przypadek Mojżesza na pustyni, wtedy, kiedy zobaczył gorejący krzak...

- Zatem to, co zobaczą za ścianą ognia, zależy tylko ode mnie, nie od żadnych prochów! - powiedziała Helena, głośno i wyraźnie.

-Tak.

Pierwsza chwyciła swą szklankę i wychyliła ją duszkiem. Alef zrobił to samo. Mocno chwycili się za ręce.

Czarne spirale oplotły ich niczym macki.

Zapadli w mokre i ciemne labirynty, których ściany nie miały kątów ani łuków, które zarazem gięły się i prostowały, przechodziły przez inne wymiary i kończyły się ślepo, nieodwracalnie. Zarazem wiły się jak jelita i łamały w smoliste swastyki o tępych i zarazem ostrych krawędziach. Mrok był płynną twardością i skamieniałym eterem. Tylko ciemność nie przeczyła sobie jasnością.

**PRZYBYWAMY W POKOJU JESTEŚMY ISTOTAMI Z INNYCH WYMIARÓW CZASOPRZESTRZENI NA WYŻSZYM STOPNIU ROZWOJU NIŻ WY CHCEMY WAM POMÓC W ROZWOJU MAMY LEKI NA WASZE CHOROBY**

*Prześciancie pieprzyć!* - odpowiedział Alef. - *Wiedzą, że lubię czytać fantastykę...* - przekazał Helenie.

**DLACZEGO NAM NIE UFASZ**

*To jest nasz świat, wy zostańcie w swoim. Władzie tu od tysiącleci raz podając się za bogów, raz za braci w rozumie, zależnie od stanu kultury. Zawsze jednak chcecie się nami bawić. Precz!*

*Precz!* - powtórzyła za nim Helena.

**A TY MAŁA DZIWIJKO JUŻ ODŻAŁOWAŁAŚ ŻE NIE BĘDZIESZ PANIĄ TYCKĄ JESTEŚ DLA NIEJ TYLKO CIENIEM SAMCA ALFA KIEDY JEST Z TOBĄ SKRYCIE MYŚLI ŻE DAJE JEMU**

*Kłamią* - odparła stanowczo Helena. - *Raz, jak byłam z tobą, miałam przez chwilę taką perwersyjną fantazję seksualną, tylko fantazję. A na początku, w klinice też przyszło mi do głowy, że mogłabym być panią Tycką, ale to nic konkretnego. Kocham cię, Alef.*

*Wiem, że kłamią. Ja też cię kocham Hel.*

CHCESZ KONKRETÓW HEL TO PRZYPOMNIJ SOBIE SWOJEGO DZIESIĘCIOLETNIEGO KUZyna KRZYSIA WTEDY JAK PIERDOLIŁAŚ SIĘ ZE WSZYSTKIMI WOKÓŁ ON BRONIŁ SIĘ PRAWDA ALE ŚCIAGNĘŁAŚ MU MAJTKI I SSAŁAŚ AŻ SIĘ PODNIECIŁ WTEDY KAZAŁAŚ MU SOBIE WSADZIĆ A JAK SKOŃCZYŁ POWIEDZIAŁAŚ MU ŻE JEST ŚWINIA MUSISZ GO UKRARAĆŁ TŁUKŁAŚ GO PASEM NA GOŁY TYLEK ON TERAZ BOI SIĘ KOBIET WOLI MAŁE DZIEWCZYNKI TY JESTEŚ TEGO PRZYCZYNA

Hel...?

Cisza i mrok.

Odpowiedz im!

Milczała.

NICZYM NIE RÓŻNISZ SIĘ OD TYCKIEGO ZAWSZE BYŁAŚ JAK ON TYLKO ON NICZEGO NIE UDAJE BIERZE CO CHCE ZACZNIJ WRESZCIE BYĆ SOBĄ

Jestem sobą - odparła wreszcie. - I wierzę, że Krzysio znajdzie w sobie dość siły, by pokonać traumę, tak jak ja. Walczy ze sobą i wygra. Zawsze znajdzie się ktoś, kto da mu miłość, która go uleczy.

SKORO CHCESZ ŻEBY CZYJAŚ MIŁOŚĆ GO ULECZYŁA ODDAJ MU WŁASNĄ ODDAJ TO CO TERAZ CZUJESZ NIE ZASŁUGUJESZ NA TO

Macie się wynieść!

ODDAJ TO CZEGO NIE JESTEŚ WARTA

Podali swoją cenę! - oznajmił Alef.

Nie rozumiem...

Jeśli się zgodzisz, zanim odejdą okaleczą nasze jaźnie i tożsamości. Ockniemy się z tego transu jako obcy ludzie, z poczuciem winy za to, co robiliśmy, brzydząc się sobą, gardząc coraz bardziej i nienawidząc.

TE MIŁOŚĆ DOSTANIE KRZYŚ

Kłamiecie! - stwierdziła Helena.

Oczywiście, że kłamią.

DLA WAS TO BEZ ZNACZENIA PŁAĆCIE

Nie zabijecie tego, co między nami.

MASZ INNE PROPOZYCJE BEZPŁODNA SAMICO

Jest ogień, który was spali. Już raz oparzył...

TYS PŁONIESZ W NIM JAK MY

Ale miłość zostanie!

Alef zaczął rozumieć i zadrżał.

Hel!

Za Pawła i rodziców. Dla Krzysia i Alefa.

Hel!!! - Alef poczuł, że znów leży w tamtym śmietniku, że dusi się i umiera.

Nie rozpaczaj. Jestem Omegą, czyli końcem. Ich końcem. Waszym końcem!

ZACZEKAJ PANI

Precz.

Nie wiadomo, skąd trysnął snop białych iskier, które momentalnie rozrosły się w oślepiająco białe plamy, podobne do łąt płonącego termitu, błyskawicznie połączyły w falę stopionej stali i zalały ponure labirynty, wirujące spirale, swastyki, czarne bebechy, drgające macki. Zanim całkiem spłonęły, Alef oślepl, potem zapadł w białą ciemność.

Sąsiad z góry nie poznał worka i nie miał żadnych skojarzeń ze spotkaniem podczas wyrzucania śmieci. Dziadek Maniek za zainkasowane pieniądze kupił sobie pół litra, które rozpił w krzakach i w samotności, na podkładzie z denaturatu, po czym wyszedł chwalić się przed kamerami, jaki to z niego zapobiegliwy gość. Zapewnił, że jak trzeba, to on dla kochanej czwartej władzy absolutnie wszystko! Do każdej redakcji, każdą ilość zdechłych psów dostarczy, biznes jest biznes, a jak się z kumplami skrzyknie, to ho, ho... Tylko kocich zwłok, nie ma bata!, za żadne pieniądze profanować nie będzie, bo to ludzkie stworzenia i po chrześcijańsku pogrzebać trzeba... Reporterzy rozpierzchli się w takim popłochu, jakby ich tam nigdy nie było.

Policja też poszła, jak zmyta. Tym skwapliwiej, że w jednym z mieszkań stróża prawa zobaczyli pokazywane już na wszystkich kanałach TV, całe, nieprzemontowane nagranie z zamieszek przed sądem z Alefem w roli głównej. Od tego ciągłego, a podniosłego gadania o honorze służb mundurowych kogoś wreszcie ruszyło sumienie i przekazał dziennikarzom oryginalną kasotę.

Wkrótce potem oficer policji z kołnierzem ortopedycznym na szyi, w odpowiedzi na pytanie, dlaczego chciał zamordować niewinnego człowieka, tłumaczył się szokiem sytuacyjnym i pomrocnością jasną.

Książd Koniczyn na szpitalnym łóżku ze łzami w oczach przepraszał Boga i ludzi za złożenie fałszywego świadectwa. Przy okazji zaprzeczył, że jego znajomy nosi pseudonim „Alf”, lecz i nie podał prawidłowej wersji. Stwierdził, że swoje dalsze życie widzi już tylko w klasztorze.

Profesor Albert Tycki zasłabł nagle podczas uroczystego bankietu i mimo intensywnej reanimacji w wykonaniu obecnych na miejscu lekarzy, zmarł zanim zdążyło dojechać pogotowie. Sekcja zwłok wykazała zator tętnicy płucnej.

Alef, zataczając się, wypadł z sypialni do laboratorium. Chwył butelkę ze spirytusem, otwierając ją zgubił nakrętkę, nie bacząc na to pociągnął zachłannie wielki haust. Następnie drugi i trzeci. Wtedy uświadomił sobie, że przewód pokarmowy zablokuje wchłanianie tak stężonego alkoholu, więc przypiął się do butli z wodą destylowaną, zalewając brodę, szyję i nos. Chciał poczuć szybciej. Otepienie, ukojenie, szybko, natychmiast, bo włosy już jeżyły mu się na głowie.

Oparty oburącz o stół laboratoryjny czekał, aż fala oszołomienia uderzy go z dołu w dno czaszki. Była za słaba, więc powtórzył procedurę. Potem znów stał, tak długo, aż ugięły się pod nim kolana. Wtedy dopiero zdołał wziąć się w garść i wczółgał się z powrotem do sypialni.

## 15. ZŻAGWIENIE

Podczas napadu na filię banku PKO ochrona wykazała się podziwu godną sprawnością i zdecydowaniem. Po krótkiej strzelaninie napastnicy więci w krzyżowy ogień poddali się, przy czym ich herszt, uzbrojony w pistolet z tłumikiem zginął na miejscu. Na jednym z niewystrzelonych nabożów znaleziono odcisk palca, nienależący do denata. Technik daktyloskopii błysnął nie lada intuicją, kojarząc ślad z jakimś Markiem Sewczykiem, magistrem farmacji, zatrudnionym w klinice psychiatrycznej im. Andrzeja z Kobylina. Umorzone śledztwo wobec Sewczyka podjęto na nowo, a zaczęto je od przeszukania mieszkania podejrzanego, czemu żaden prokurator już nie oponował. Pod adresem zameldowania ujawniono dowody, które wzbudziły głębokie, „graniczące z szokiem”, jak to potem ujął jeden z ekspertów, zdumienie lekarzy sądowych.

Śledztwo we wznowionej sprawie Sewczyka prowadzili młodzi, energiczni komisarze z fali świeżych awansów, sypnęły się wkrótce potem, jak do prezesa rady ministrów wezwano w trybie nagłym całą generalicję policji i MSW, nieoficjalnie dodając, że zainteresowani mają stawić się z gotowymi prośbami o dymisję. Wszyscy motywowali odejście złym stanem zdrowia, skutkiem czego w miasto poszła wieść, że panowie zarazili się ptasią grypą od Orła Białego, z którym byli zbyt blisko.

Postępowanie przebiegało więc sprawnie, szybko ujawniano kolejne fakty. Zwłaszcza trop prowadzący do kliniki okazał bardzo rozwojowy. Odkryto tam poważne nadużycia. Tym większe, że Sewczyk dostał status świadka koronnego i zaczął sypać równo, aczkolwiek większość z tego, co mówił, choć literacko interesujące, było mało prawdopodobne i miało nikłą wartość procesową. Ostatecznie stwierdzono ograniczoną poczytalność podejrzanego.

Media relacjonowały te wydarzenia z zadziwiającą powściągliwością. Nawet brukowce ograniczały się do suchych notatek bez zdjęć, a wszystko to z powodu krążącego nad czwartą władzą widma pewnego bezdomnego. Do profesjonalnego żargonu weszło nowe określenie: „dziadek Maniek ze zdechłym psem”, oznaczające wyższy stopień kaczki dziennikarskiej. Tylko „Gazeta Wyborcza”, rehabilitując się za publikację wazeliniarskiego nekrologu prof. Tyckiego, zamieściła obszerny, poruszający reportaż o seksualnym molestowaniu pacjentów płci obojga, co odbywało się pod pretekstem „terapii etnicznej”, za niewątpliwą zgodą zmarłego. Inne ujawnione sprawy nie dawały się sensownie opisać, udowodnić ani nawet racjonalnie wytłumaczyć. Używanie miała za to prasa parapsychologiczna, snując najdziksze domysły, przeważnie o kosmitach, co jeszcze bardziej pogłębiało chłodny dystans mediów głównego obiegu.

Krajowa Izba Lekarska wszczęła własne śledztwo, które szybko utajniła ze względu na tajemnicę lekarską. Podobno jeden z członków medycznej komisji śledczej zwariował. Ponieważ jednak całą

sprawę koniecznie trzeba było wyjaśnić racjonalnie, karierę w oficjalnych dokumentach zrobiły określenia: „atmosfera sekty” i „paranoja indukowana”. Ulica, jak to ona, odświeżyła parę kawałów o psychiatrach nie różniących się niczym od swoich pacjentów.

Ministerstwo Nauki i Informatyzacji odmówiło dalszego finansowania programu Schizofrenicznej Sztucznej Inteligencji. Wstrzymano realizację aktualnego grantu. Instalację o nazwie „Edek” rozmontowano, części sprzedano na wolnym rynku, a kluczowe twarde dyski komisyjnie zniszczono, dowodząc, że zawierają one chronione prawem dane osobowe i historie chorób. Wydawało się to mało prawdopodobne, ale osobistej decyzji ministra nikt nie kwestionował.

Inne wątki śledztwa prowadziły za ocean, prosto w oko cyklonu rozpętanego przez instytucje powołane do kontroli obrotu papierami wartościowymi. Chodziło o grupę najbardziej innowacyjnych przedsiębiorstw, wśród których ujawniono rozległy system przekazywania nielegalnych informacji, ze szkodą dla zwykłych akcjonariuszy. Kroiła się afera na miarę Enronu. Na warszawskiej giełdzie usunięto z parkietu dwie firmy.

Alef ułożył ciało Heleny w pozycji embrionalnej, jak wtedy, gdy dziewczyna nie sprostала próbie Jeremiasza. Tylko dłonie umieścił jej pod policzkiem, tak jakby spała. Potem siedział przy niej godzinami, głaskał ją po głowie, tracąc i odzyskując świadomość w alkoholowej malignie, przechodząc z koszmaru w koszmar. Kiedy wreszcie doszedł do siebie, Helena była już zimna i sztywna.

Wtedy poprosił o pomoc.

*Szaman zaczyna swe wojny wedle swojej woli, zawiesza je wedle woli i kończy je wedle woli własnej. Nikt nie będzie obarczony cudzą odpowiedzialnością* - wygłosił w mentalnej przestrzeni formułę nawiązania ogólnego kontaktu.

Pierwszy odzew nastąpił szybko. Alef nie odpowiedział słowami, tylko biernie otworzył swą pamięć. Pozwolił ją czytać.

Później pod blok zajechał zdezelowany polonez. Wysiadł z niego staruszek z przenośnym aparatem tlenowym, z którego musiał korzystać co kilka minut. Przybysz udał się prosto do mieszkania Alefa.

Ciało Heleny było już zawinięte w prześcieradło i ułożone w dużej walizce. Wynieśli ją trzymając cały czas płasko, choć chwilami było to bardzo niewygodne. Nie rozmawiali ze sobą ani nie spotkali nikogo. Każdy, kto zamierzał choćby tylko spojrzeć w ich kierunku, zaraz odczuwał silną potrzebę, by odwrócić wzrok i zająć się czymś innym. W środku ruchliwego osiedla, na minutę zrobiło się całkiem pusto. Walizkę delikatnie położyli w bagażniku, po czym starzec musiał dłuższą chwilę odpocząć, łączywie wdychając tlen. Potem wsiedli i ruszyli.

Odjechali daleko, w bezpieczne miejsce. Tam wznieśli pogrzebowy stos. Z pietyzmem umieścili na nim zwłoki Heleny, a następnie usiedli obok i czekali w milczeniu.

Godzinę później z lasu wyszły dwie kobiety, stara i młoda. Pierwsza podpierała się kosturem, druga miała bardzo grube okulary. Była jeszcze przed inicjacją, ale oczy już nie wytrzymały walki z bólem.

Obie zbliżyły się do stosu. Młodsza położyła na nim bukiet niezapominajek. Alef bez słowa zdjął bluzę, koszulę, wziął nóż, który podał mu starzec, wyciął sobie z piersi kawałek ciała i wsunął go pod całun Heleny. Potem cofnął się i dalej stał nieruchomo, półnagi, ociekający krwią. Jego towarzysz przygotował pochodnię, zapalił ją i podał starej kobiecie. Ta odrzuciła kostur i wyprostowała się dumnie.

- Dziecko gwiazd! - mocnym głosem zwróciła się do Heleny. – Odejdź w ogień, z którego powstałaś!

Zapaliła stos.

Płomienie długo odbijały się w ich oczach, aż wreszcie zaczęły przygasać. Dogasili je przyniesionym z samochodu piwem i miodem, po czym popioły, których nie zabrał wiatr powierzyli leśnemu potokowi.

Przypadek Heleny Mirskiej powiększył statystyki osób zaginionych bez wieści.

- W miejscu zżagwienia ulóżcie z kamieni krzyż! - nakazała stara kobieta.

- On też przeszedł przez największy ból, po to, aby wygnać demony z tego świata, więc jest jednym z nas.

Tak zrobili.

Po powrocie do domu pierwszą rzeczą, za którą wziął się Alef, było staranne splukanie reszty ptomain do zlewu. Potem wyłączył zasilanie ekranu Bielousowa-Żabotyńskiego i siedział przed nim tak długo, aż czerwień i błękit zlały się w jedną, nieruchomą szarość. Wtedy zdjął ekran ze ściany i wyniósł go do piwnicy. Wiedział dobrze, co dalej należy zrobić. Poszedł do laboratorium, wyjął z szuflady sztabę srebra oraz potrzebne narzędzia. Przeniósł to wszystko do kuchni, zapalił gaz, położył sztabę na palniku. Stał, patrzył i czekał, aż metal rozżarzy się do czerwoności. Wówczas chwycił go w szczypce, położył na kowadle i uderzył młotkiem. Srebro rozgrzane do jasnowisniowej barwy stało się miękkie jak plastelina. Pod ciosami młotka uległe zmieniało kształt. Stuk... stuk... stuk... Nie dźwięczało metalicznie, odgłos przypominał raczej mlaskanie, ale nie było to ważne.

Alef kul srebro w zapamiętaniu, jakby to ono było jego bólem. Wybijał go z siebie. Równo, skutecznie i raz za razem.

Stuk... stuk... stuk... stuk...

KTL

Warszawa, wrzesień-październik, 2005 r.